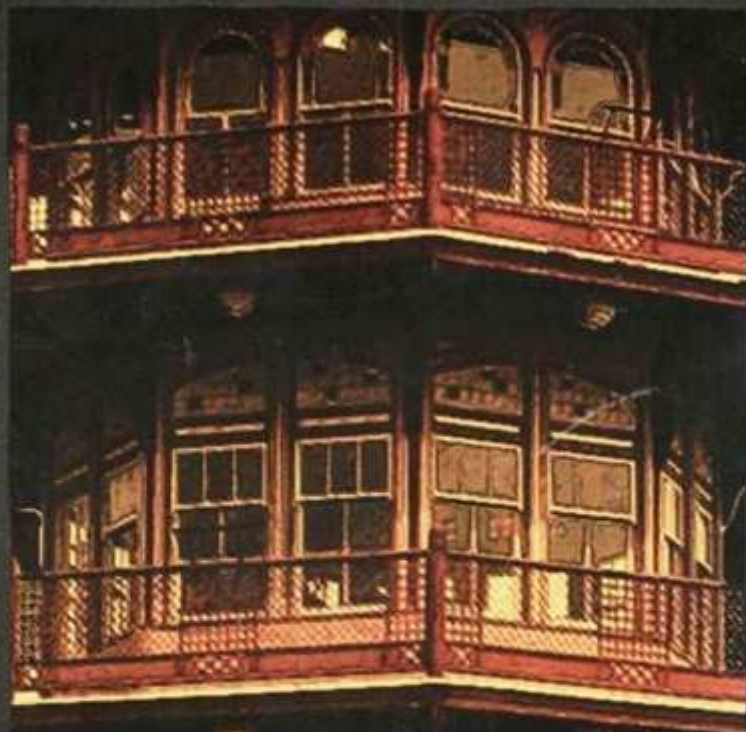


KRYMINAŁ Z KLASĄ



WZGÓRZE  
RZEŹNIKA

---

LAURA LIPPMAN

Kryminal uhonorowany najważniejszymi nagrodami gatunku:  
Agatha i Anthony Award oraz nominowany do nagród  
Edgar, Shamus i Macavity

Pierwsza część serii z młodą prywatną detektyw Tess Monaghan

Pięć lat temu Luther Beale zastrzelił chłopca, który wybił szybę  
w jego samochodzie. Został skazany, odsiedział wyrok.  
Teraz wychodzi z więzienia i zwraca się do prywatnej detektyw  
Tess Monaghan o pomoc w odszukaniu dzieci, które wtedy były  
na miejscu tragedii. Chce im zadośćuczynić za to, co się stało.  
Ale kiedy Tess zaczyna poszukiwania, ktoś zaczyna zabijać  
nastoletnich już teraz świadków zbrodni sprzed lat...

Laura Lippman to sławna amerykańska autorka, jedna z najlepszych  
twórczyń literatury kryminalnej. Mroczny klimat, postacie o pogmatwanych  
psychikach i życiorysach oraz misternie spleciona fabuła przyniosły  
jej kryminałom wszystkie najwyższe nagrody gatunku:  
Edgar Award, Agatha Award, Shamus Award i Macavity.  
Co wiedzą zmarli nagrodzono Quills Book Award 2007,  
prestiżową nagrodą literacką przyznaną przez czytelników.  
*Wzgórze Rzeźnika* to powieść z serii, która przyniosła Laurze Lippman  
światową sławę i wszystkie najważniejsze nagrody.  
Bohaterką jest młoda prywatna detektyw z Baltimore,  
której praca niebezpiecznie splata się z jej życiem prywatnym.

*W swoich kryminałach Laura Lippman wczuwa się w psychikę wszystkich swoich  
niedoskonałych bohaterów: nie tylko ofiar, ale i zbrodniarzy. „Publishers Weekly”*

*Laura Lippman za każdym razem rozwiązuje zagadkę kryminalną  
i zagadkę ludzkiej duszy. „Chicago Sun-Times”*

Cena det. zł 29,80

www.wydawnictwoamber.pl



# WZGÓRZE RZEŹNIKA

LAURA LIPPMAN

Przekład  
AGNIESZKA WESELI



Redakcja stylistyczna  
Lucyna Łuczyńska

Korekta  
Katarzyna Pietruszka  
Anna Tcnerowicz

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce  
Wydawnictwo Amber

Opracowanie graficzne okładki  
Wydawnictwo Amber

Skład Wydawnictwo  
Amber

Druk  
Drukarnia Narodowa S.A., Kraków

Tytuł oryginału  
Butchers Hill

Copyright © 1998 by Laura Lippman.  
AU rights reserved.

For the Polish edition  
Copyright © 2008 by Wydawnictwo Amber Sp. z  
o.o.

ISBN 978-83-241-3145-7

Warszawa 2008. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
00-060 Warszawa, ul. Królewska  
27 tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Susan Seegar, która nauczyła mnie czytać,  
zachęcała do pisania i przekonała,  
żebym ostrzygła swoją Barbie.  
Cieszę się, że nie jestem jedynaczką

Kiedy dni niezliczone  
jak dni kolejnego lata  
rozplynęły się w nicość  
znow wróciła ta ulica która nigdy  
nie zapomniała oczu swojego dziecka

# Prolog

Pięć lat wcześniej...

GŁĘBOKO W ŚRODKU SWOJEGO ULUBIONEGO SNU, tego o Annie, usłyszał coś jakby stukot kamieni, rzuconych w szybę. Trzask, trzask, trzask. Nie, to przecież on rzucał kamieniami w okno Annie, dawno, dawno temu, jeszcze na Castle Street. A kiedy odstaniała firankę, śpiewał: „Dziewczyno z Buffalo, czy wyjdiesz dziś, czy wyjdiesz dziś, czy wyjdiesz dziś?” I wychodziła.

Chuda, długonoga dziewczyna. Zsuwała się po drabinie ewakuacyjnej, boso, z butami na wysokich obcasach wciśniętymi w kieszenie sukienki. Wystawiały z nich szyje jak jaskrawoczerwone czaple. „Nakładane kieszenie” - wyjaśniała, kiedy patrzył z zachwytem. Wszystko go w niej zachwycało: biała lamówka, którą obszyła brzeg spódnicy i dekolt - „żeby zadać szyku” - jej trójkątna twarz w kształcie serca, zagłębienie u nasady szyi, gdzie zawiesił medalion, też w kształcie serca.

Zawsze, za każdym razem - a było ich wiele - kiedy schodziła do niego po drabinie, zatrzymywała się na ostatnim szczeblu, pół piętra nad ziemią, jakby się bała, że spadnie. Ale wiedział, że to jego się boi - boi się go kochać, tak jak młoda, wesoła dziewczyna może bać się pokochać poważnego mężczyznę, który bierze życie serio. „Wahała się w powietrzu, wisząc nad ulicą, palce jej bosych stóp kurczyły się ze strachu, a on się śmiał: nie mógł się powstrzymać od śmiechu na widok chudej, długonogiej dziewczyny, kołyszącej się nad Castle Street. „Księżę powinien zabrać księżniczkę do zamku, ale ty już mieszkasz w zamku” - mówił. „Dokąd mam cię zabrać, księżniczko?” Obiecał jej Europę, Jamajkę, Nowy Jork, a zabrał ją do domu stojącego pięć przecznic dalej, przy Fairmount Avenue, i co roku w sierpniu wywoził na tydzień do Virginia Beach.

Trzask, trzask, trzask.

Ale to było czterdzieści lat temu. Annie nie żyła już od prawie dziesięciu lat, a on spał sam w ich łóżku. To na pewno gałąź trze o szybę. Albo pada grad. Tylko że na Fairmount Avenue rosło ledwie kilka drogocennych drzew i był początek czerwca. Trzeci czerwca. Nawet w półśnie umiał podać datę i wiedział, jakie numery przysły, bo zawsze notował je w kalendarzu. Tripla 4-6-7. Kwadrupla 4-5-2-6, wygrał na czysto trzysta pięćdziesiąt dolarów. Fartowny dzień. Ale to było wczoraj. Zdążył już odebrać wypłatę u Koreańca. Rano musi sprawdzić sennik i zobaczyć, jakie numery mają utracona miłość, serce, czerwień.

Trzask, trzask, trzask. A potem głośniejszy dźwięk. Rozpoznał natychmiast. Teraz stale go słyszał: brzęk tłuczonego szkła. Szyba, tuż pod jego oknem - nie, tym razem wiatrochron. Dźwięk rozproszył to, co zostało z jego snu, z jego snów i z jego Annie.

Przekłęte dzieciaki. To te z Fayette. Dość tego, postanowił i powiedział na głos:

- Dość tego.

Trzymał pistolet w dolnej szufladzie biurka, w gniazdku z pojedynczych skarpetek, przechowywanych na wypadek, gdyby kiedyś znalazła się ta brakująca od pary. Nadawały się też do sprzątanía: zakładał je na rękę i ścierał kurz z drewnianych powierzchni. Kule były w małych szufladkach po obu stronach staromodnej szyfonierki, razem ze spinkami do mankietów, których nigdy nie nosił. Pistolet ładował starannie, bez pośpiechu. W końcu oni też się nie śpieszyli. Nie musieli pozbawiać się przyjemności: wiedzieli, że nikt nie wezwie policji, a nawet gdyby wezwał, co z tego? Wszyscy w okolicy bali się tych dzieciaków, a gliniarze w ogóle się nie przejmowali. „To tylko rzeczy”, mówili za każdym razem, kiedy do nich dzwonił. Ale nie ich rzeczy, prawda? Tylko jego: jego samochód, radio, okna, drzwi wejściowe. Jego, jego, jego.

W ciemności zszedł powoli po schodach, lekko zadyszany. Zaczynał tyć. Powinien jeść płatki z chudym mlekiem. Paskudztwo, biała woda i tyle. Ale mężczyzna musi robić to, co musi. Tak powiedział John Wayne, był prawie pewny. Widzieli ten film z Annie w kinie Hippodrome albo w Mayfair. Hippodrome albo to drugie. Jak to zapamiętać, skoro miasto stale coś wyburza? A to, czego nie wyburzy, wali się samo. Potem poszli z Annie na tańce - na Pennsylvania Avenue - na pewno tam.

Kiedy wyszedł na schody, dzieci były zbyt pochłonięte swoją niszczyielską zabawą, żeby go zauważyć. Rysowały patykami lakier na samochodach, kopały w reflektory i waliły kamieniami w błotniki. Później wybijały wszystkie okna i ukradną radia. Jeśli ktoś nie ma sprzętu, który warto ukraść, będzie miał za to poszarpane obicia, śmieci na podłodze i psie gówna na siedzeniach.



Stał boso, marmurowe stopnie były zimne i śliskie. Potknął się na ostatnim i upadł jak przejrzałe jabłko z tępym łupnięciem na chodnik. Co za wstyd. Dzieci podniosły głowy znad swojej roboty. Kiedy go zobaczyły, zaczęły się śmiać.

- Do domu, staruszku - odezwał się ten chudy, który zawsze za nich gadał. - Musisz się wyspać, żebyś miał siłę jutro gderać.

Niski grubasek pierwszy zaśmiał się z tego wybornego dowcipu, a inni dołączyli. Było ich pięcioro, wszyscy z rodziny zastępczej, którą prowadziło młode, pobożne małżeństwo. Mili i z dobrymi chęciami, ale z tymi dziećkami nic mogli sobie poradzić. Nawet nie załatwili im lepszych ubrań. Po prostu brali kolejne dzieci i patrzyli bezsilnie, jak dziczeją na ulicach. Chudy, gruby, bliźniaki - chłopiec i dziewczynka - i ten nowy, po prostu skóra i kości. Zawsze ktoś musiał mu przypomnieć, żeby wytarł nos. No tak, przynajmniej do tego się przydawało mocne oświetlenie na ulicach: można było się dobrze przyrzeć przestępcom przy pracy.

- Koniec. W tej chwili macie przestać.

Rozśmieszył ich jeszcze bardziej - śmiali się z żalosego starucha, który siedział na ziemi i mówił im, co mają robić. Potem obrzucili go wszystkim, co mieli w rękach, kamieniami, patykami, puszkami po napojach. Nie próbował zasłonić twarzy ani głowy, po prostu siedział i pozwalał, żeby sypał się na niego grad śmieci. A kiedy spadły ostatnie kamienie i kije, kiedy wykrzyczeli ostatnie przekleństwo, jakie im przyszło do głowy - dopiero wtedy pokazali im pistolet.

- Kurna, stary, nie zrobisz tego. - Chudy już nie był taki zadziorny.

- Tak myślisz? - Strzelił w powietrze.

- Pozabija nas! Wszystkich pozabija! - wrzasnęła dziewczynka i zaczęła uciekać. Była szybka, szybsza niż pozostali, chociaż brat prawie ją dogonił. Skręcali na północ, za róg ulicy, nim zorientował się, co się dzieje. Wtedy ruszył też ten gruby, a wysoki chudzielec pociągnął zasmarkanego malucha, który stał jak wryty, nie ze strachu, tylko całkiem ogłupiały.

- Chodź, Donnie! - błagał chudy, szarpiąc go za rękę. - Stary ma spluwę. Nie żartuje!

Zasmarkany zawahał się i po chwili ruszył w stronę rogu niezgrabnym truchtem, próbując dotrzymać kroku długonogiemu chudzielcowi. Gdyby chciał, mógłby ich złapać. Zamiast tego strzelił jeszcze dwa razy. Pistolet ożył i jakby oddzielił się od niego. Tamci uciekali, w Fairmount skręcił jakiś samochód, ktoś krzyknął z okna, żeby przestali hałasować, wystrzał gaźnika, krzyk chłopca, znowu huk gaźnika, a pistolet strzelał i strzelał. Dźwięki zlały się w jedno, nie widział już, co było wcześniej. Najmniejszy dzieciak potknął się i przewrócił, a chudy wrzasnął, cienko jak dziewczynka.

I nagle ulica opustoszała. Jeśli nie liczyć kupki ubrań niedaleko rogu.

Popatrzył na milczący pistolet. Wciąż trzymał go na wysokości ramienia w dziwnie pewnej, wyprostowanej dłoni. Czekał, aż coś się stanie. I wreszcie zrozumiał, że to już się stało.

Wszedł do domu, schował pistolet pod stos narzut na dnie szafy Annie, którą rzadko otwierał. Chwycił szczotkę i szufelkę, włożył jakieś buty, żeby się nie pokaleczyć. Zanim pojawili się policja i pogotowie, zamiótł już prawie całe szkło sprzed domu. Ciekawe, akurat teraz przyjechali tak szybko, kiedy miał tyle do roboty.

- Dajcie mi minutkę - powiedział. Policjanci, jakby im głos odebrało, czekali, aż oczyści swój kawałek Fairmount Avenue z okruchów szkła i śmieci.

- Dobra. - Oparł szczotkę i szufelkę o schody. Wiedział, że widzi je ostatni raz. - Chyba jestem gotowy.

# Rozdział 1

KALENDARZ FORMATU A3 BYŁ NAJWIĘKSZĄ I NAJBIELSZĄ PRZESTRZENIĄ, jakiej Tess Monaghan kiedykolwiek przyglądała się z tak napiętą uwagą. Trzydzieści krutek na wszystkie dni czerwca rozciągało się na jej biurku jak syberyjski step. Choć miała wrażenie, że zaraz oślepnie, nie potrafiła oderwać od niego oczu. Trzydzieści idealnie równych kwadratów, czekających, by wypełnić je terminami spotkań. Ale tylko w jednym, dzisiejszym, z datą 4 czerwca, widniała notatka:

„9.30 Beale

10.30 Browne

(jedzenie dla psa: SuperFresh)”

Był też gryzmoł w lewym dolnym rogu, całkiem jak człowiek na wózku inwalidzkim, który spada z mola. Oczywiście w bardzo złym guście - chyba że ktoś rozpoznałby w człowieczku Tynera Graya, kiedyś pracodawcę Tess. Wtedy gryzmoł nabierał komicznego wdzięku.

Mówiła mu, że czerwiec to nie najlepszy czas na otwieranie firmy, ale Tyner jak zwykle naciskał i nudził aż do skutku, obiecując, że jego kancelaria dostarczy jej dość zajęcia na pierwsze, chude miesiące. W gorszych chwilach - takich jak ta - myślała sobie, że chodziło mu tylko o to, żeby zwolnić jej biurko.

No cóż, otworzyła interes dopiero tydzień temu. Można się spodziewać zastoju po Dniu Pamięci. Lipiec i sierpień też będą raczej spokojne: większość mieszkańców Baltimore ucieka latem do Ocean City i na plażę Delaware.

- Ale nie my, pracujące dziewczyny, Esskay - powiedziała w stronę charcicy, która wyciągała się na nierównej fioletowej sofie jak marna podróbka Odaliski Matisse'a. - Różowy akt. - Nie. - Czarny, włochaty akt z różowym brzuszyskiem.

Dawniej czempionka torów wyścigowych, Esskay była teraz mistrzynią w drzemaniu. Sen - na sofie w biurze albo na łóżku w domu - zabierał jej osiemnaście godzin dziennie. Esskay mogła sobie pozwolić na spanie. Nie miała kosztów stałych.

Koszty stałe - doskonałe określenie. Tess wpadła na stałe w ciągle rosnące długi. Jak dotąd program księgowy wykazywał jedynie koszty firmy Tess Monaghan i Ska, a w zasadzie Keyes i Ska. Jej firma została zarejestrowana pod nazwiskiem emerytowanego policjanta, bez którego referencji Tess nie mogłaby działać w stanie Maryland jako prywatny detektyw. Nigdy nie poznała osobiście Edwarda Keyesa, który wciągnął ją do spółki w zamian za niewielki procent z zysków. Oby okazał się człowiekiem cierpliwym.

Pierwszy potencjalny klient Tess, niejaki pan Beale, miał pojawić się za dziesięć minut. Spodziewała się, że będzie patologicznie punktualny - zważywszy na to, że chciał się z nią spotkać już poprzedniego dnia. Zadzwoił tuż po dwudziestej, jakby jego potrzeba zatrudnienia prywatnego detektywa musiała zostać zaspokojona natychmiast. Tess, która została po godzinach i bezskutecznie próbowała wprowadzić w swoim nowym biurze nieco bardziej biurowy klimat, nie mogła sobie pozwolić, by odesłać z kwitkiem klienta, ale uznała, że akurat ten powinien poczekać ze swoją sprawą do jutra. I być może wytrzeźwieć. Przez telefon Beale sprawiał wrażenie podpitego: zbyt starannie wymawiał wyrazy. Tess wyznaczyła mu spotkanie na dziewiątą trzydzieści, ale najpierw dość długo i ostentacyjnie niepokoila się, czy nie zniweczy to napiętych planów jej pracowitego, jakże pracowitego dnia. I rzeczywiście, musiała skrócić poranne ćwiczenia aż o pół godziny: dopłynęła na torze wioślarskim Alden zaledwie do Fortu McHenry.

Zeszłego wieczoru w czerwcowym zmroku biuro wyglądało czysto i profesjonalnie. Wystarczyło zmienić kilka drobiazgów i gotowe: idealna siedziba współczesnego prywatnego detektywa. Dziś, kiedy jaskrawe słońce wdierało się do środka przez duże okno, biuro wyglądało dokładnie na to, czym było: na parterową część zbyt często remontowanego szeregowca w jednym z bardziej podejrzanych kwartałów Wzgórza Rzeźnika. Niemal stu-letni budynek ugiął się pod ciężarem zmęczenia, pokryte linoleum podłogi falowały jak woda, a drzwi odsuwały się z odrazą od framug. Nawet trzy warstwy kremowej farby niewiele mogły tu pomóc.

Gdyby Tess miała więcej pieniędzy, urządziłaby ten lokal całkiem inaczej; byłyby prawdziwe biurowe meble zamiast gratów, подарowanych przez rodzinę. Oczywiście, mając pieniądze, mogłaby po prostu wynająć biuro w lepszym budynku i lepszej okolicy: prawdziwe biuro z drewnianymi podłogami i ceglаныmi ścianami, a może z widokiem na przystań. W ładniejszym

otoczeniu ten skład gratów awansowałby do miana oryginalnego wnętrza w miejskim stylu. Tu był tylko graciarnia.

Prezent od ciotki Kitty, zestaw rodzinnych fotografii - w zamierzeniu miał ocieplić biurową przestrzeń - tylko pogarszał sprawę. Jaka bizneswoman trzyma w biurze kolorowane zdjęcie, przedstawiające ją z buzią usmarowaną czekoladą, na grzbiecie latającego królika, z którego próbuje ściągnąć ją babcia? Impuls kazał Tess zdjąć fotografię ze ściany. No tak, zapomniała, że ramka ze zdjęciem zakrywa mały sejf, w którym samotnie spoczywa jej pistolet. Tu będzie też trzymać pieniądze na drobne wydatki - kiedy już je zarobi.

Ktoś zastukał do drzwi, uderzając z taką siłą, że zadrżały szybki. Pan Beale, ranny ptaszek i pracuś, dziesięć minut przed czasem, jeśli wierzyć zegarowi z napisem „Czas na strzyżenie” (kolejny dar ciotki - gadżet z zakładu fryzjerskiego).

- Proszę wejść! - krzyknęła Tess przez ramię, rozglądając się gorączkowo za czymś, czym mogłaby zasłonić sejf. Klamka załomotała pod niecierpliwą dłonią: zamykanie drzwi na klucz było smutną koniecznością na Wzgórzu Rzeźnika.

- Momencik! - Zawiesiła zdjęcie z powrotem na ścianie. Później znajdzie coś bardziej odpowiedniego. Jakiś staroświecki obraz, może ten z psami grającymi w pokera.

- Pani Monaghan?

Mężczyzna, któremu otworzyła drzwi, miał klatkę piersiową wypukłą i pojemną jak beczka, za to nogi tak cienkie, że zdawały się uginać pod ciężarem torsu. Obszedł Tess dokoła, jakby niewidzialne pole siłowe kazało mu utrzymywać dystans wobec ludzi, i powoli usadowił się w krześle naprzeciw jej biurka. Kiedy siadał, stawy zatrzęszczały jak u Blaszanego Drwała, który stał całą noc na deszczu. Nie, Tess kojarzył się raczej z inną postacią z mniej znanej książki Franka Bauma: z królem gnomów. On też miał okrągły tors na kościstych nogach. Co jeszcze...? Król gnomów panicznie bał się jajek.

- A więc to jest firma Keyes i Ska - zaczął gość. - Pani to Keyes?

- Jestem jego współniczką. Tess Monaghan. Pan Keyes... właśnie przechodzi na emeryturę.

- Ja też jestem na emeryturze - powiedział, wbijając wzrok w kolana. Nic nie wskazywało na to, żeby niedawne obawy Tess miały się sprawdzić. Gość nie zwracał uwagi na meble, na jej zdjęcie ani nawet na Esskay, która obudziła się i próbowała oczarować nieznanego, na wypadek gdyby chciał rzucić jej jedno z psych ciasteczek, które Tess trzymała w puszcze na biurku.

- Na pewno wie pani, kim jestem.

Mówił cicho, ale jego wielka klatka piersiowa zdawała się puchnąć od poczucia własnej ważności.

Nie wiedziała. A powinna? Był starszym mężczyzną o cerze koloru zleżonej czekolady Hershey: ciemnobrązowej, pokrytej jakby warstwą białego nalotu. Miał na sobie garnitur o dwa odcienie jaśniejszy od skóry, czysty i schludny, ale za wąski w ramionach, wypchany na kolanach i zestawiony z jasnoróżową koszulą oraz krawatem w kolorze fuksji. W rękę trzymał panamę, która kiedyś była biała, a teraz przybrała kolor kukurydzianego czipsa. Tess uznała, że dziś rano jego stroju nie skontrolowało czujne oko kobiety.

- Obawiam się, że nie wiem - odparła.

- Luther Beale - powiedział, jakby to wyjaśniało wszystko. Ale nie wyjaśniało. Wymówił swoje nazwisko z tą samą solenną starannością, którą Tess słyszała w jego głosie wczoraj, kiedy pomyślała, że jest pijany.

- Luther Beale?

- Luther Beale - powtórzył z namaszczeniem.

- Obawiam się, że nie...

- Może zna mnie pani jako Rzeźnika ze Wzgórza Rzeźnika - wyjaśnił oschle.

Tess nie zdołała powstrzymać zenującego odgłosu, czegoś pomiędzy kwiknięciem a westchnieniem. Przydomek otworzył właściwe drzwi w jej pamięci. Beale'a ochrzciła „Rzeźnikiem” gazeta, w której Tess kiedyś pracowała, świętej pamięci „Baltimore Star”. „Star” zawsze była dobra w nadawaniu przydomków, podczas gdy pismo, które przetrwało, jej rywalka, ciężkostrawna „Beacon Light”, była tylko dobrym celem drwin. Większość mieszkańców miasta nazywała pismo „Blight”\*, chociaż popularność zyskiwało też określenie „Blite”\*\*\*, ukute przez konkurencyjny tygodnik.

Luther „Rzeźnik” Beale. Rzeźnik ze Wzgórza Rzeźnika. Był sławny przez kilka tygodni. Główna postać w narodowym moralitecie. Luther Beale, złowrogi samozwańczy strażnik porządku lub prześladowany staruszek - w zależności od punktu widzenia. Luther Beale. W radiowych talkshowach mówiono o nim częściej niż o Hillary Clinton. Czy program 60 minut nie poświęcił mu odcinka? Nie, to było o Romanie Welzancie, Śnieżkowym Zabójcy, uniewinnionym niemal dwadzieścia lat wcześniej w procesie o zastrzelenie nastolatka, który rzucał śnieżkami w jego podmiejski dom. Beale zabił znacznie młodszego chłopca za to, że stłukł mu szybę. Czy zniszczył wiatrochron? Nieważne. Istotne, że okręgowa ława przysięgłych puściła Welzanta wolno, a przysięgli w mieście posłali Beale'a za kratki.

- Tak, panie Beale. Pamiętam pański... incydent.

\* Blight - śnieć, rodzaj zarazy zboża (przyp. tłum.).

\*\* Blite - rodzaj chwastu (przyp. tłum.).

- Pamięta pani, jak się to skończyło?

- Został pan skazany, chyba za nieumyślne spowodowanie śmierci, w każdym razie nie za morderstwo, skoro pan dziś tu jest, i poszedł pan do więzienia.

Beale wychylił się z krzesła i pomachał palcem przed twarzą Tess; stary człowiek, który przywykł pouczać bezczelnych młodzików.

- Nie, nie, nie. Zwolnili mnie z zarzutu nieumyślnego spowodowania śmierci. Siedziałem za użycie broni. Zabiłem chłopca, zrobiłem straszną, straszną rzecz, ale mógłbym dalej chodzić po ulicach, bo nie miałem zamiaru go zabić. Posadzili mnie za użycie broni w granicach miasta. Wyrok ustawowy. Dobrze, co?

Tess przyznała mu w duchu rację. Rzeczywiście coś tu było nie w porządku. Uznała jednak pytanie za retoryczne i przechyliła się do tyłu, czekając, co będzie dalej. Spotykała już takich ludzi. Przypominali kolejkę wesołym miasteczku, sunącą w kółko po tym samym torze.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Beale?

- Kiedy poszedłem do więzienia, miałem sześćdziesiąt jeden lat. Teraz mam sześćdziesiąt sześć, bez trzech miesięcy. Moja okolica jest teraz gorsza niż wtedy. Wygląda na to, że nawet w piekle może się zrobić jeszcze gorzej. Dlatego zwróciłem uwagę, kiedy taka miła dziewczyna otworzyła tu interes. Przypuszczam, że ma pani jakąś ochronę poza tym chudym psem. Powinna pani mieć broń. Zakład, że chłopaczki z dzielnicy mają. A ja nie mogę mieć, bo jestem przestępcą z wyrokiem. Dobrze, co?

Tym razem chyba spodziewał się reakcji. Tess wysiliła się na niezobowiązującą i niezadrażniającą odpowiedź.

- Takie jest prawo.

- Prawo! Prawo jest głupie. Biblia mówi „Nie zabijaj”, a nie „Nie będziesz używał broni palnej w granicach miasta”. Wie pani, że miałem czyste konto, zanim mnie aresztowali za zastrzelenie tego chłopca? A weszli, niech mi pani wierzy, że weszli. Strasznie chcieli mnie dostać. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego ci policjanci i prokuratorzy tak bardzo chcieli się do mnie dobrać. Jakby myśleli, że wsadzając mnie za kratki, naprawią całe to miasto. Ale nie byłem karany. Nic nie miałem na sumieniu, nawet mandatu za parkowanie bez opłaty. I wie pani, co wreszcie na mnie znaleźli?

Tess pokręciła głową, co potwierdzało, że słucha.

- Czasem w weekendy robiłem ludziom remonty, ale nie miałem licencji stanowej. Tak, przyłapali Wroga Publicznego Numer Jeden. Facet maluje sufity i przepycha rury, bez licencji. Zamknąć go i wyrzucić klucz.

- Słyszałam, że mają nakaz na Boba Budowniczego - zażartowała Tess. Beale machnął dłonią, jakby oganiał się od natrętnego komara.

- Teraz już jestem przestępcą. I to wszystko, co mam. Tylko tyle ludzie o mnie wiedzą. Kiedyś mówili: „O, idzie Luther Beale, jego żona umarła na raka”, albo „To Luther Beale, pracuje w Procter and Gamble na Locust Point, stać go na lepszy dom w lepszej okolicy, ale woli Fairmount Avenue, bo mieszkał tu z żoną całe życie”. Wie pani, co teraz o mnie mówią?

- Chyba nie - odpowiedziała po chwili. Wydawało jej się, że w oczach Beale'a widzi łzy.

- Mówią: „To Luther Beale. Spójrz na niego, a nie żyjesz. Zabił małego chłopca tylko za to, że rzucił kamieniem w samochód”.

Bo to prawda, pomyślała Tess. Ale szermowanie prawdą mogło rozdrażnić potencjalnego klienta i było bez sensu. Mówiąc szczerze, nie widziała sensu w całej tej rozmowie. Czy Beale pomylił ją z jakimś psychiatrą za dolara? A może zakładał - jak tyłu innych - że na tej Ziemi głównym zadaniem kobiety jest wysłuchiwanie zwierzeń mężczyzny? Może mogłaby na tym zarobić? Zapomnijcie o sekstelefonach. Co powiecie na 0-700-NUDZIARSTWO albo na stronę [www.zwierzmisie.com](http://www.zwierzmisie.com)?

- Panie Beale, czy mogę panu w czymś pomóc?

- W odpłacie.

Słowo, wypowiedziane solennym, głębokim głosem Beale'a, zawisło w powietrzu. Tess wyobraziła je sobie wypisane czarnymi, plastikowymi literami na frontonie któregoś z kościołów na Wschodnim Wybrzeżu, tych małych domków pośrodku pól kukurydzy, w których straszy się ogniem piekielnym. „Temat dzisiejszego kazania: Odpłata. Nie zapomnijcie o dorocznym składkowym śniadaniu Koła Pań”.

- Odpłata - powtórzył. - Piękne słowo, nie sądzi pani?

Wcale tak nie sądziła.

- Zemsta to marny pomysł. Rozumiem, że może pan mieć uzasadnione pretensje do systemu, ale w takim wypadku niech pan lepiej poszuka kogoś innego do pomocy, panie Beale.

- Jest pani wykształcona, panno Monaghan? Skończyła pani college?

- Washington College w Chestertown.

- Spodziewałbym się, że w takiej doskonałej szkole nauczyli panią znaczenia tak powszechnie używanego słowa. Dużo czytałem w więzieniu. Biblię, książki historyczne. Ale czytałem też słownik. To jedna z najlepszych książek na świecie. Żadnych kłamstw, tylko słowa, piękne słowa, czekające, żeby coś z nimi zrobić. Słowo „odpłata” wywodzi się od „płacić”. Odpłacić. Może oznaczać tak samo wynagrodzenie, jak i karę.

Beale rozkoszował się swoją lekcją słownictwa. Tess była mniej zachwycona. Miała na końcu języka kilka ripost o różnym ciężarze i złośliwości.



Ale ciotka i poprzedni pracodawca wpoili jej, że nie da się prowadzić własnego interesu, nie łykając każdego dnia sporej porcji zdrowej bzdury.

- Dobrze, a więc komu pragnąłby pan się odpłacić?

Beale miał kapelusz, gniotąc rondo w palcach tłustych i długich jak frankfurterki firmy Esskay, którym zawdzięczała swoje imię jej charcica. Palce jak parówki, a dłonie jak szynki, pomyślała Tess, zastanawiając się przelotnie, dlaczego chodzą jej po głowie wieprzowe wędliny. Widać poranne bajgle tym razem nie zdołały zapełnić jej żołądka aż do lanczu.

- Jak mówiłem, pracowałem w Procter and Gamble na Locust Point. Dobra praca. Płacili przyzwoicie, dawali dodatki. Firma zamknęła zakład, kiedy... mnie nie było.

Siedziałeś w więzieniu. W więzieniu, za zabicie małego chłopca.

- Ludzie przyjęli to z ciężkim sercem, ale akcje szły w górę i szły. Miałem w nich swój fundusz emerytalny. Nie mogłem go ruszyć przez pięć lat, więc wartość jeszcze wzrosła. Jak na moje możliwości jestem bogaty. Zarobiłem więcej, nie pracując, niż kiedy pracowałem. Nie dam rady wydać wszystkich pieniędzy. I nie mam żony, dzieci, żadnej rodziny, nikogo, komu mógłbym je zostawić.

Skinęła głową, chociaż nie wiedziała, do czego Beale zmierza.

- Kiedyś był taki show w telewizji, pani nie może pamiętać, „Milioner”. Michael Anthony mówił ludziom, że dostaną pieniądze. Pomyślałem, że może mógłbym zrobić jak on. Ktoś w moim imieniu odszuka dzieci i im pomoże. Milionów nie będzie, aż tyle nie mam, ale tysiąc się znajdzie.

- Dzieci? - Pogubiła się zupełnie.

- Te, które były tam tej nocy. Te, które widziały, co... się stało.

Tess próbowała przypomnieć sobie informacje o sprawie Rzeźnika ze Wzgórza Rzeźnika. Dużo mówiono o ofierze, Donniem Moorze. Przypominała sobie jakieś urywki informacji. Dziennikarze sporo się napracowali, żeby znaleźć coś interesującego na temat jedenastolatka, który nie był specjalnie miły ani mądry, ale jednak nie zasłużył, żeby zginąć za wandalizm. Najlepsze, co udało im się wymyślić, to że zmieniał się na lepsze. Inne dzieci, świadkowie, pozostały praktycznie anonimowe. Ponieważ wychowywały się w rodzinie zastępczej, dane osobowe utajniono, i nie zostały ujawnione przez lokalne media podczas procesu. O ile pamiętała, sądowy rysownik nawet nie szkicował dzieci, kiedy zeznawały.

- Dlaczego pan chce to zrobić? One pana dręczyły.

- I jedno z nich zginęło. To nie jest boska sprawiedliwość. Może i jestem w porządku wobec sądu, ale nie jestem w porządku sam ze sobą, ani wobec Boga. Nie mogę nic zrobić dla tego chłopca, który zginął tylko modelić się za nas obu, ale mógłbym pomóc reszcie. Opłacić naukę, gdyby

chciały iść do college'u. Kupić samochód, żeby mogły sobie dorobić. Mógłbym pomagać w domu. Sam nie wiem. Chyba każdy potrzebuje pieniędzy? Tym ją załatwił.

- Więc co to za dzieci? Gdzie są teraz?

- Był taki grubasek. I bliźniaki, pamiętam imiona. Chłopiec nazywał się Truman, a dziewczynka chyba Destiny. I jeszcze jeden chłopiec, taki chudy, gadał za wszystkich.

- Nie zna pan nazwisk? - Starła się nie westchnąć za głośno.

- Nie. One wychowywały się w rodzinie zastępczej, u Nelsonów. Miła młoda para, brali dużo dzieci. Chcieli dobrze, ale nie umieli sobie z nimi poradzić, nawet utrzymać w czystości. Wyprowadzili się niedługo po tej strzelaninie, a dzieci poszły do nowych domów. Ale teraz mają po osiemnaście lat, są już na swoim, prawda?

- Jeśli wtedy miały co najmniej trzynaście lat. Ale jeśli wciąż są nieletni i pod opieką państwa, nie będzie ich łatwo znaleźć, nawet z nazwiskami. Donnie miał tylko jedenaście lat, a nie mamy gwarancji, że pozostali byli dużo starsi. Nie mają nawet prawa jazdy. Te miejskie dzieci... - Chciała powiedzieć „biedne czarne dzieci”, ale w porę ugryzła się w język. - Miejskie dzieci zwykle go nie mają.

- Och. - Beale się zastanowił. - Zdaje mi się, że ten gruby miał na imię Earl. Albo Errol.

- Errol?

- Może Elmer. Imię na „E”, a w środku „l”. Jestem prawie pewien. Czy to coś pomoże?

Tess powstrzymała kolejne głośne westchnięcie.

- Panie Beale, muszę pana uprzedzić, że szanse znalezienia tych dzieci są bardzo małe. Może nie będzie to bardzo drogie, ale musi kosztować, zapewne więcej niż pan sobie wyobraża. Płaci pan nie tylko moją stawkę godzinową, ale także wszystkie wydatki. Zwrot za benzynę, opłaty za poszukiwanie w bazach danych.

- Zapłacę - powiedział z uporem.

- Zanim zacznę pracować nad pana sprawą, musi pan odwiedzić Tynera Graya, adwokata, i poprosić go o skierowanie do prywatnego detektywa. - Otworzyła szufladę i wyciągnęła wizytówkę Tynera. - Pan Gray przygotuje kontrakt, który zagwarantuje, że nasza relacja będzie objęta immunitetem. Panu może się to wydawać nieważne, ale dla mnie jest bardzo istotne.

- To znaczy, że nie musi pani mówić ludziom o mnie?

- Tak. - Może. Nawet Tyner nie mógł dać Tess pewności, że któregoś dnia policja nie zacznie robić jej problemów. Sztuka polegała na tym, żeby

trzymać się z dala od rzeczy, które interesowały gliniarzy, i to właśnie miała zamiar robić. - Tyner policzy panu od godziny według swojego cennika. Może się to wydawać zbyt dużo za mały wysiłek, ale nie da się tego obejść, jeśli chce pan, żebym wzięła pańską sprawę.

- Mówiłem, że pieniądze to nie problem.

- Wiem z doświadczenia, że pieniądze zawsze kiedyś stają się problemem. Musi pan rozumieć, iż opłata nie zależy od wyniku mojej pracy. Ja szukam, pan płaci. Dziś ludzi znacznie łatwiej znaleźć niż kiedyś, ale nie wtedy, kiedy nie zna się nazwiska. Zdziwiłby się pan, ile dzieciaków w samym Baltimore ma na imię Destiny.

- Destiny nie jest taka ważna. To dziewczyna.

Spora porcja zdrowej bzdury, spora porcja zdrowej bzdury, powtórzyła w duchu Tess swoją mantrę.

- A czemuż to dziewczyny nie są ważne?

Beale nie był aż tak skupiony na sobie, żeby nie wyczuć jej irytacji.

- Nie miałem na myśli... Chodzi o to, że ja jestem mężczyzną, więc martwię się o młodych czarnych mężczyzn. Dziewczyny czasem same dają sobie radę. Chłopakom nie jest łatwo. Trudno być czarnym mężczyzną, ale jeszcze trudniej stać się czarnym mężczyzną, jeśli mnie pani rozumie.

Tess rozumiała - tak samo, jak znała pewne fakty na temat Bośni, Singapuru i Strefy Gazy. Niektóre części Baltimore to dla niej jak obcy kraj, którego granicy nie mogłaby przekroczyć nawet z paszportem. Zawsze tak było, tak jest teraz i zawsze tak będzie.

- Dobrze, postaram się znaleźć chłopców i dziewczynkę, jeśli tylko do wiem się, kim są. Powiedzmy, że zdarzy się cud i namierzę wszystkich. Co wtedy? Mam zorganizować panu spotkanie?

- Chciałbym ich zobaczyć, ale pewnie oni niezbyt chcą widzieć mnie. Nie, niech ich tylko pani znajdzie i dowie się, czego im trzeba i ile to może kosztować. Wypiszę dla pani czek, a pani wypisze czek dla nich. Muszę zostać anonimowy. Nie chcę, żeby odmówili wzięcia tych pieniędzy przez jakąś dziwną dumę.

Tess notowała instrukcje w kalendarzu, chociaż wątpiła, by dar Beale'a mógł zostać odrzucony. Szlachetna duma, o jakiej mówił, występowała w umoralniających bajeczkach dla dzieci, ale nie w prawdziwym życiu.

- Jeśli da pan komuś ponad dziesięć tysięcy dolarów, nie można tego zrobić anonimowo. Istnieje takie coś jak podatek od darowizny. Mógłby pan założyć fundację. Tyner pomógłby panu z formalnościami. To może być korzystne z punktu widzenia podatków.

- Nie interesuje mnie oszczędzanie na podatkach. Interesuje mnie...

- Odpłata, wiem. Od „płacić”. Nagroda albo kara.

Beale wstał i spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. Najwyraźniej próbował zrozumieć, czy Tess kpi sobie z niego, czy stara się udowodnić, jak uważnie go słuchała.

- Jest pani rozumną dziewczuszką, prawda, panno Monaghan? Daruje mi „dziewuszkę”. Tylko tym razem.

- Tak, uważam się za całkiem inteligentną.

- Ale nie jest pani mądra. Zna pani Biblię? „Podstawą mądrości: zdobywaj mądrość, za wszystko, co masz, mądrości nabywaj!”, Księga Przysłów, rozdział 4, wers 7.

Szeroki, promienny uśmiech, jakim obdarowała go Tess, mógł pojawić się jedynie na twarzy osoby, która nie musi łykać żadnych bzdur.

- Zanim pan wyjdzie, muszę pana zawiadomić, że w tym wypadku warunkiem nabycia mądrości jest spora zaliczka.

## Rozdział 2

KIEDY BEALE WYSZEDŁ, ściskając w dłoni wizytówkę Tynera, od następnego spotkania dzieliło Tess pół godziny. Postanowiła wziąć Esskay na krótki spacer, przekazać coś, co utrzymają na nogach do lanczu, i przy okazji poznać lepiej swoją nową okolicę. Wystarczyło, że zdjęła smycz z wieszaka przy drzwiach, a Esskay od razu zsunęła się z sofy jednym płynnym ruchem i zaczęła stepować po linoleum, stukając pazurami, szczęśliwsza niż Gene Kelly w deszczowy dzień.

Jednak dzień był przepiękny. Tego roku wiosna w Baltimore zaczęła się deszczami i chłodami, po których nadeszły wyjątkowo piękne dni: słoneczne, suche i niezbyt gorące. Nawet najmniejsze z miejskich skwerów tonęły w powodzi azalii i lili, które wydawały się wieczne w swej bujnej urodzie. A ukoronowaniem wszystkiego był fakt, że Orioles wygrywali. Oczywiście ta rajska doskonałość działała mieszkańcom na nerwy. Wyznawali zasadę, że za dobre rzeczy trzeba zawsze płacić ukrytą cenę, jak to bywa z kredytami na telewizor: po jakimś czasie okazuje się, że wydajesz tysiąc dolarów na sprzęt wart trzysta. Rachunek przyjdzie - prędzej czy później.

Esskay stanęła nagle jak wryta i Tess uderzyła kolanem w jej kościsty zadek, tak twardy, że na pewno nabiła sobie siniaka.

- Codo... - Powinna się domyśleć. Suka zatrzymywała się w tym miejscu codziennie już od tygodnia, czyli od czasu, kiedy wbił ją w ziemię niezrównanie rozkoszny widok kota, wygrzewającego się na parapecie jednego z okien szeregowca. Esskay zapomniała już sam widok, ale pamiętała emocje. „Ach, ach, radość, co za radość”, zdawały się śpiewać jej napięte mięśnie. Tess pozwoliła jej cieszyć się tą chwilą, a potem pociągnęła za smycz.

- Spacerowanie oznacza, że od czasu do czasu trzeba się przemieścić. Rusz się.

Przecięły ulicę i przez bogato zdobiony kamienny portal weszły do Parku Pattersona. „Smaragdowy klejnot miasta”, jak nazwał go kiedyś przejęty autor wstępniaka w „Beacon Light”. Tak, klejnot, który wypadł z oprawy i poniewiera się na dnie szuflady, zbyt drogi, żeby go ubezpieczyć albo nosić. W Baltimore pełno było takich niewygodnych skarbów. Władze miasta miały dwa rozwiązania problemu: wystawić na sprzedaż lub pozwolić popaść w ruinę. Zawsze jednak jakaś grupka pod wezwaniem „Ratujmy (tu wstaw nazwę)” interweniowała w ostatniej chwili, jak kanadyjski policjant konny w staroświeckim melodramacie. Ich zwycięstwa miały gorzki smak. Po co mieszkańcy ratowali piękną starą pagodę w północno-zachodnim rogu parku, skoro służby miejskie nawet nie kosiły regularnie trawy? Tydzień temu mężczyzna trenujący jogging natrafił w chaszczach pod pagodą na ciało kobiety z podciętym gardłem i zmasakrowaną twarzą. „Blight” poświęcił temu akapit na trzeciej stronie. „Zginęła mieszkanka miasta”. Tess wiedziała, jak odczytać gazetową nowomowę. Lakoniczność i miejsce informacji stanowiły oczywistą wskazówkę. „Kolejna ofiara narkotyków i prostytucji, która zasłużyła na swój los”. Wzmianka wywołała poruszenie w okolicy, ale tylko dlatego, iż dziennikarz napisał, że ciało znaleziono na Wzgórzu Rzeźnika, a nie w Parku Patersona. Ach, te beztrzesko porzucane ciała, jak to obniża wartość nieruchomości.

Wzgórze Rzeźnika. Początki nazwy, która znakomicie przydała się do stworzenia makabrycznego i zapadającego w pamięć przydomku dla Luthera Beale'a, były prozaiczne. Na początku XX wieku najzamożniejsi rzeźnicy w mieście pobudowali domy na wschód od Parku Pattersona, na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na przystań. Rzeźnicy. Wzgórze. Ot i wszystko, z jednym ironicznym przypiskiem. Dom Beal'a nie stał nawet w sąsiedztwie Wzgórza Rzeźnika. Ale „Rzeźnik z Fairmount Avenue” - to zupełnie nie brzmiało.

Jakkolwiek wytyczać granice, rzeźnicy już dawno wynieśli się z tych okolic. Obecnie zamieszkiwali je, gniotąc się w niewygodnym dla wszystkich sąsiedztwie, zasiedzieli tu od dawna starsi ludzie, biedacy i ludzie o wyższych aspiracjach społecznych. Pobliski Szpital im. Johna Hopkinsa niczym przysadzista syrena kusił rzesze tych, którzy marzyli o własnym domu z ceglany kominkiem i witrażami w oknach. Tess czuła, że sąsiedzi przyglądają jej się bacznie, próbując stwierdzić, czy pasuje do tego miejsca. Młoda, biała kobieta z psem o dziwnym imieniu: w tej okolicy najprędzej uznano by ją za yuppie. Tylko jak wyjaśnić dwunastoletnią toyotę z tłumikiem przymocowanym taśmą klejącą?

Zerknęła na szwajcarski wojskowy zegarek, pożegnalny prezent od Tynera. „Pożegnalny prezent”, zastanowiła się wtedy na głos, „czy to nie coś, co ma osłodzić przegraną?” „Można z nim nurkować poniżej stu metrów”, odpowiedział, zupełnie jakby Tess zamierzała kiedykolwiek zanurzyć stopę w

rzece Patapsco, nie mówiąc już o oceanie. Już prawie dziesiąta piętnaście. Szarpnęła smycz Esskay. Suka zatrzymała się, żeby powąchać bujne róże - wspomnienie po jakimś zapomnianym ogrodzie, ukryte w rogu Parku Pattersona.

- Jeśli mamy kupić kawę i zdążyć na następne spotkanie, musimy się pośpieszyć. Bądź grzeczna, to dostaniesz ciastko od Bergera. Słyszałaś? Chcesz psi przysmak, to się ruszaj.

Rozpuszczona Esskay, która tej wiosny wciąż miała Tess dla siebie, nie zareagowała. Promienie słońca budziły z ziemi zapachy, każdego dnia nowe, a trawy falowały kusząco w bryzie znad oceanu, jakby kryły się w nich myszy i króliki. Chociaż suka nie miała pojęcia, czym jest „ciastko od Bergera”, znała nazwę „psi przysmak” i pamiętała, że po spacerze zawsze go dostaje - zawsze, choćby nie wiem co. „Ach, ach, radość, co za radość”.

Klientka umówiona na dziesiątą trzydzieści czekała przed biurem: jaskrawożółty płomień na tle zblakłych cegieł. Była zniecierpliwiona i zirytowana - Tess widziała to już od rogu, zza którego wyłoniła się z kawą i pudełkiem od Bergera w ręce oraz ciastkiem w zębach.

- Nie lubię, kiedy każe mi się czekać - powiedziała Mary Browne, kiedy ona nieporadnie manipulowała kluczem w zamku.

Zarumieniona Tess przełknęła pół ciastka z czekoladowym lukrem, otworzyła drzwi i zaprosiła ją do środka.

- Zwykle jestem bardzo punktualna, ale dziś wyszłam z psem i...

- Dobrze. Skoro już pani jest, czy możemy zacząć? - Usiadła naprzeciw biurka, założyła nogę na nogę i obciągnęła spódnicę, jakby sądziła, że Tess będzie chciała pod nią zajrzeć.

Tess rzuciła charcicy obiecany kawałek ciastka i zerknęła tęsknie na resztę ciastek, tulących się do siebie w otwartym pudełku. To, które połknęła w drodze do biura, tylko wyostrzyło głód. Może powinna wyłożyć ciastka na talerz i poczęstować nimi surową Mary Browne, udając, że chce być wobec niej miła? Wtedy sama mogłaby trochę zjeść...

- Ma pani ochotę na ciastko? A może szklanek wody? - Esskay wybrała sobie akurat ten moment, żeby powędrować do łazienki na zapleczu, gdzie zaczęła chleptać wodę z sedesu. Keyes i Ska, agencja detektywistyczna z klasą. - Mam w lodówce sok pomarańczowy i sześciopak coli...

- Wolałabym skupić się na interesach - odpowiedziała Mary Browne, wyciągając z torebki małą brązową kopertę.

Inaczej niż obojętny Luther Beale, Mary Browne oceniła otoczenie jednym chłodnym rzutem oka. Wzrok przenikał przez kremową farbę, odkrywając wszystkie dekady niezbyt chlubnej historii budynku: jego ostatnie

wcielenie jako tania pracownia do wynajęcia, krótki epizod w roli baru, lata, kiedy mieściła się tu pralnia chemiczna, które pozostawiły utrwalony w ścianach specyficzny zapasek.

Podczas gdy potencjalna klientka badała pomieszczenie, Tess przyglądała się jej. Mary Browne mogłaby z powodzeniem wystąpić jako główny argument w afroamerykańskiej kampanii o odzyskanie ojczystego Egiptu. Miała rysy Nefretete i aksamitną, ciemnobrązową skórę, która wydawała się jeszcze ciemniejsza w zestawieniu z żółtym kostiumem i dopasowanym do niego słomkowym kapeluszem. Jej włosy, choć ostrzyżone tuż przy skórze, skręcały się w drobne loczki. Długa szyja, wyłaniająca się z głębokiego dekoltu, i ciemna, gładka twarz w obramowaniu kapelusza z żółtą wstążką sprawiały, że przypominała kwitnącą późnym latem rudbekię, którą ludzie nazywają „czarnooką Susan”.

- Pani Monaghan? - Głos Mary Browne był chłodny i pełen ukrytej groźby jak cienki lód.

- Proszę mi mówić Tess. Zresztą chyba jestem od pani młodsza.

- Mam tylko trzydzieści dwa lata...

- Ja mam dwadzieścia dziewięć. - Tess za późno zrozumiała, że mówiąc potencjalnej klientce, iż wygląda na starszą od niej, raczej szkodzi swoim interesom. -Ale nie chodzi o to, że wygląda pani na ponad trzydzieści lat, tylko jest pani o wiele bardziej... elegancka. Bardziej wyrafinowana, to mam na myśli.

- Nie przyszedł tu, żeby rozmawiać o moim wieku ani o ubraniu. - Mary Browne mówiła twardo, krótko i wyrażała się tak precyzyjnie, że było to niemal komiczne. - Chciałabym odnaleźć siostrę, która odłączyła się od rodziny jako nastolatka.

- Odłączyła się? Uciekła? Czy została uprowadzona przez rodzica pozbawionego praw opiekuńczych?

Pytanie zbiło Mary Browne z tropu.

- Odeszła z własnej woli w wieku osiemnastu lat. Prawo jej zezwalało, była pełnoletnia, ale nie do końca miała wybór. To znaczy...

- Przekonałam się, jak bardzo pomaga, jeśli ludzie od razu mówią prawdę - powiedziała Tess. - Nie zamierzam pani osądzać, a nasza rozmowa jest poufna.

- Doskonale. Moja siostra zaszła w ciążę w wieku osiemnastu lat. Matka wyrzuciła ją z domu, kiedy oznajmiła, że odda dziecko do adopcji. To nie jest przyjęte tam, skąd pochodzę. Wystarczy pani taka „prawda”?

- Tam, skąd pani pochodzi? - Choć powtarzała tylko słowa Mary Browne, w jej ustach zabrzmiały nieco nieprzyjemnie.

- Czarni zajmują się swoimi rodzinami, nawet jeśli muszą korzystać z pomocy społecznej. W okolicy, w której dorastałam, było nie do pomyślenia, żeby dziewczyna oddała dziecko. Dać je na wychowanie matce albo babce to w porządku. Moja matka chciała wychować wnuka, ale Susan miała



inne plany. Matka więc ją wyrzuciła, a ja tylko patrzyłam. Wiedziałam, że Susan robi dobrze, ale zbyt zastraszona przez matkę, nie potrafiłam się jej sprzeciwić. Niezwykła kobieta, ta moja matka. Nasza matka. Lepiej było nie wchodzić jej w drogę, chyba że ktoś chciał przegrać. Susan chciała, ja nie.

- Od ilu lat nie miała pani kontaktu z Susan? - Tess znalazła w szufladzie notes i zapisywała informacje. Pod wpływem oficjalnych czynności Mary Browne postanowiła zastosować bardziej biznesowe podejście.

- W tym miesiącu minie trzynaście lat.

- Zadnego kontaktu? A pani matka?

- Zmarła w zeszłym roku. Chyba dlatego chcę odnaleźć siostrę. Tylko ona została z mojej rodziny.

- Dobrze, przejdźmy do formalności. - Tess odwróciła się do Macintosh, który stał na stoliku komputerowym obok biurka. - O stawkach i opłatach mówiłam, kiedy pani zadzwoniła. Była już pani u Tynera, więc teraz muszę tylko umieścić pani sprawę w mojej bazie. Mam w formularzu pani nazwisko i imię, adres i telefon kontaktowy, ale potrzebuję jeszcze kilku innych informacji. Mogę wiedzieć, z czego się pani utrzymuje?

- Prowadzę własną firmę. Gromadzę fundusze dla organizacji pozarządowych.

Własna firma. W głowie Tess zadzwonił alarm. Powinna sprawdzić zdolność kredytową Mary Browne, żeby wiedzieć, czy stacją na usługi prywatnego detektywa.

- Jak dowiedziała się pani o moim biurze? - Przedsiębiorcza ciotka Kitty radziła zadawać to pytanie: ułatwiałoby rozpoznanie rynku.

- Chciałam wynająć niezależną bizneswoman, taką jak ja. Przypomniałam sobie informację z „Daily Record”, że zostaje pani współniczką Keyesa. Skojarzyłam nazwisko. Mówiono o pani w wiadomościach, zimą, prawda? Nie pamiętam wszystkich szczegółów. Ktoś chciał panią zabić czy może to pani niemal kogoś zabiła, kiedy zaatakował panią w Parku Leakina?

- Coś w tym rodzaju - powiedziała Tess ponuro. Od razu poczuła ból na wspomnienie tego, co potrafi zdziałać dobrze wymierzony kopniak, mimo że jej zębra już dawno się zagoiły. - Pełne nazwisko siostry?

- Susan Evelyn King.

- King?

- Miałymy różnych ojców - odpowiedziała Mary Browne krótko, rzucając Tess wyzywające spojrzenie.

- Ma ubezpieczenie społeczne?

- Nie, obawiam się, że nie. To konieczne?

- Nie, po prostu ułatwia pracę. Kiedy się urodziła?  
- Siedemnastego maja skończyła trzydzieści dwa lata. Tess odwróciła się do Mary Browne.

- Myślałam, że to pani ma trzydzieści dwa lata. Nie możecie chyba być z siostrą w tym samym wieku?

Trudno było stwierdzić, czy czekoladową twarz załał rumieniec, ale jakaś niemal nieuchwytna zmiana w zachowaniu kazała się domyślać, że Mary Browne jest skrepowana.

- Ja będę miała trzydzieści dwa lata w grudniu - wyjaśniła chłodno. - Urodziłyśmy się w tym samym roku, w odstępie jedenastu miesięcy.

„Próżności, imię two kobieta”. Ale dla Tess nie miało żadnego znaczenia, że Mary Browne odejmuje sobie kilka lat. Pewnie skończyła już trzydzieści cztery czy pięć i skłamała, podając swój wiek. Kiedy Tess znajdzie się po tamtej stronie trzydziestki, może zacznie robić tak samo.

- W rodzinie ze strony ojca mam dwa zestawy kuzynów z tego samego rocznika - powiedziała, wpisując do formularza datę urodzenia Susan King. - Ojciec mówi na nich „irlandzkie bliźniaki”. Kiedy ciotka Vivian urodziła drugiego syna w tym samym roku, lekarze w Szpitalu Miłosierdzia dorzucili drugie obrzezanie za darmo.

Mary Browne pozwoliła wreszcie zaciśniętym wargom na nikły uśmiešek, po czym podała Tess brązową kopertę, którą wyjęła ze skórzanej teczki na początku spotkania. W środku znajdowały się zdjęcie i czek.

- To ona? - zapytała Tess. Dziewczyna na fotografii była pulchna i grubokoścista. Światło flesza odbiło się w za dużych okularach, przez co jej twarz wyglądała jak ciemna plama pod dwiema eksplodującymi gwiazdami. Ubrana w fartuszek, w rękę trzymała szczotkę albo mop. Mogła to być Susan King, ale równie dobrze Jimmy Hoffa lub Madalyn Murray O'Hair, kolejna zaginiona mieszkanka Baltimore. Zdjęcie na niewiele się przyda, ale czek - no tak, to nie-elegancko gapić się tak łapczywie na czek.

- Ona, w wieku siedemnastu lat.

- Nie łączyło was szczególne podobieństwo, prawda? Mówiła pani, że jesteście przyrodnimi siostrami.

- Była ładna, tylko niezbyt fotogeniczna.

- Oczywiście - powiedziała Tess z powątpiewaniem.

- To wszystko, co mam. - Ton Mary Browne brzmiał jednocześnie przepraszająco i obronnie. - Podejrzewam, że równie dobrze ktoś mógłby próbować odnaleźć panią za pomocą tego zdjęcia na ścianie.

Wspaniale. Sokole oko Mary Browne wytropiło fotografię z latającym królikiem. Trzeba koniecznie powiesić coś innego na ścianie z sejfem.

- Zostało zrobione przed drogerią Weinsteina przy Edmondson Avenue. Pamięta pani? W tym samym centrum handlowym, w którym był sklep obuwniczy Hessa i zakład fryzjerski z małpkami w witrynie.

- Nie kupowaliśmy butów u Hessa, ale znam miejsce, o którym pani wspomniała. - „Miejsce, o którym pani wspomniała”. Jak w ekranizacji Jane Austen, produkcji BBC. - Matka zabierała mnie, żebym popatrzyła na małpki.

- Tylko panią? - Tess przypuszczała, że Mary Browne nie powiedziała jej wszystkiego. Ludzie rzadko mówili całą prawdę. Być może istnieją jeszcze inne przyczyny, dla których Susan King zdecydowała się uciec z domu; niechciane brzydkie kaczątko, dorastające w cieniu czarnego łabędzia.

- Susan też, oczywiście.

- To zdjęcie upamiętnia trudną lekcję życia. Mój dziadek był właścicielem drogerii, więc sądziłam, że mam prawo jeździć na króliku, ile zechcę. Ale mój czas zabawy za ćwierć dolara się kończył, jak czas każdego dziecka. Dziadek miał miękkie serce i pozwoliłby mi jeździć bez końca. Za to babcia miała zasady. „Musisz płacić jak wszyscy!” Żadnej jazdy za darmo ani łakoci przy fontannie z wodą sodową... Chociaż dziadek czasem wsuwał mi do ręki czekoladkę.

- To może zabrzmieć dziwnie, ale wygląda pani jak ta mała dziewczynka z reklamy w telewizji, ta, która skakała po kanapie z plastikowym pokryciem.

- Mówi pani o tym? - Tess przeszła na baltimorski akcent, z którym tak skutecznie walczyła jej matka. - „Dzieciaki, przestańcie skakać po meblach! Będą na nic!”

- Tak, o tym. Chciałam, żeby mama kupiła te pokrycia. Myślałam, że wtedy będę mogła bezkarnie skakać po kanapie.

Ach, „bezkarnie”. Jane Austen, poznaj sierżanta Fridaya.

- W reklamie wystąpiła moja kuzynka, Debora. Debora Weinstein. Ciekawe, że zauważyła pani podobieństwo. Dziś jesteśmy zupełnie różne. Ona jasna, a ja ciemna.

- Uważa pani, że jest ciemna?

Teraz przyszła kolej Tess, żeby się zarumienić.

- Miałam na myśli, że ściemniały mi włosy.

- Tak naprawdę niewiele się pani zmieniała. Mniej niż pani sądzi.

- Tak? - Tess uważała, że zmieniła się nie do poznania i że prawie niemożliwe byłoby odnaleźć podobieństwa między umięśnioną, dorosłą Teresą Esther Monaghan a dziewczynką o pulchnych rączkach i nóżkach oraz okrągłej buzi.

- Tak. Nadal nosi pani warkocz i ma czekoladę na twarzy.

Mary Browne się nie pożegnała. Zamiast tego uśmiechnęła się, nadal nie pokazując ani skrawka zębów, i wyszła, podczas gdy Tess ścierała z policzka zabłąkany okruch czekoladowego lukru z ciastka od Bergera. Musiała

mieć go na twarzy przez całe spotkanie.

- Chwileczkę!- zawołała; w jej formularzu brakowało jeszcze mnóstwa danych. Ale kiedy dobiegła do drzwi, Mary Browne odjeżdżała już spod biura jasnoniebieskim taurusem z tablicami z Wirginii. Takie tablice oznaczały zazwyczaj, że wóz został wypożyczony, ale Tess na wszelki wypadek zapamiętała numery. Martin Tull, detektyw z wydziału zabójstw, zalecał takie mnemoniczne sztuczki, które wyostrzały spostrzegawczość.

Wróciwszy do biurka, Tess pozwoliła sobie podziwiać przez dłuższą chwilę dwa czek, które zdobyła dzisiajszego poranka. Następnie uroczyście wypełniła kwit depozytowy. Mary Browne jest może nieco tajemnicza, ale znalezienie Susan King to będzie bułka z masłem. Właśnie takiej sprawy potrzebuje: łatwej i dającej duży zarobek. Czek był przekazem pieniężnym, więc nie musiała się bać, że okaże się bez pokrycia.

Przekaz? Dlaczego zapłaciła w taki sposób? Może w domu czeka mąż, którego zainteresuje czek, wystawiony dla prywatnego detektywa Tess Monaghan? Albo, mimo wszelkich pozorów, Mary Browne ledwo wiąże koniec z końcem i nic ma nawet konta w banku? Tess zerknęła na formularz na ekranie komputera. Zamiast adresu numer skrzynki pocztowej. Kiedy dzwoniła, nie wydawało się to aż tak dziwne, ale teraz serce Tess podskoczyło, jakby chciało wyrwać się z piersi i uciec.

Niezgrabnymi ze zdenerwowania palcami wybrała podany przez Mary numer, ale usłyszała tylko jedwabisty głos, który przed chwilą wypełniał jej biuro, starannie wymawiający każde słowo: „Dodzwoniliście się państwo do poczty głosowej Mary Browne. Proszę zostawić wiadomość po sygnale. Oddzwonię tak szybko, jak będzie to możliwe”.

Tess stłumiła pełen ulgi chichot.

- Chciałam tylko powiedzieć, żeby zaplanowała pani spotkanie z siostrą najpóźniej na Czwartego Lipca - powiedziała do słuchawki. - Mogę niemal zagwarantować, że znajdę ją do tego czasu.

W rzeczywistości Tess nie potrafiłaby znaleźć nikogo, czyje nazwisko nie znajdowało się w książce telefonicznej. Znała natomiast kogoś, kto to potrafił, i nie była aż tak dumna, żeby nie powierzyć mu tego zadania.

# Rozdział 3

DAMSKA TOALETA NA TRZECIM PIĘTRZE Biblioteki im. Enocha Pratta była pusta. Jak zwykle zresztą - i dlatego Tess wybrała ją na miejsce spotkania. Nie rozumiała co prawda, dlaczego ostatnie piętro budynku biblioteki, na którym znajdowały się dział humanistyczny i Sala Menckena, jest niemal całkowicie opanowane przez mężczyzn, ale tak było tu od zawsze. Pewnie można by wnieść oskarżenie o dyskryminację, ale tym niech się zajmie ktoś inny. Tess zbyt cenila sobie tę wysepkę prywatności w centrum Baltimore i rozciągający się z okien toalety widok na szarozieloną kopułę Bazyliki Wniebowzięcia.

- Witaj, Wee Willie Keeler - powiedziała, machając w kierunku pustych okien ponad Cathedral Street. To ciotka Kitty nazwała tak kardynała. Jak każdy, kto nosił nazwisko Monaghan, miała skłonność do pomyłek i luk w pamięci.

Tess mogła się pochwalić własnymi potknięciami. Kiedyś, jako studentka ostatniego roku college'u, podczas przerwy zimowej, w jednej z kabin w tej toalecie zrobiła test ciąży. Nie śmiała jechać z tym do domu i nie zdołała by czekać aż do powrotu do szkoły. Test okazał się negatywny. Żeby to uczcić, spotkała się z Whitney Talbot w barze na dachu starego hotelu Peabody. Ubrały się w krótkie, obcisłe sukienki i podawały fałszywe imiona, wiek i wszelkie możliwe dane mężczyznom, którzy chcieli stawiać im drinki. Whitney nazywała to „castingiem na nowych dawców spermy”.

A teraz starego Peabody już nie było - zastąpił go sieciowy hotel z poliestrowymi prześcieradłami i bez baru na dachu. Nie było też Whitney, przynajmniej na jakiś czas. Wyjechała do Japonii. Mała litania strat, prawdziwy ekumeniczny katechizm, który znał na pamięć każdy Baltimoreczyk. Tess zwinęła się we wnęce okna, na szerokim i niskim parapecie, i w oczekiwaniu zaczęła przeglądać pierwszy tom pamiętników Mary McCarthy. Niebawem

usłyszała ciężki łoskot traperek na płytkach posadzki i do toalety weszła pulchna kobieta, z wyglądu miękka i rozmamlana jak niepościelone łóżko.

- W samą porę... - odezwała się Tess, ale Dorie Starnes położyła palec na ustach, imitując typowy gest bibliotekarki.

- Sprawdziłaś kabiny?

- Wszystkie drzwi są otwarte, Dorie, widzisz?

Nieuspokojona tym Dorie zajrzała do kolejnych kabin i obrzuciła wzrokiem sufit, jakby się spodziewała, że szpieg wisi na którejś z lamp.

- Nigdy dość ostrożności — powiedziała, zamykając na klucz ciężkie drewniane drzwi na korytarz.

- Owszem, są granice. Czasem nadmiar zapobiegliwości szkodzi. Powiedzmy, że boisz się latać, więc wszędzie jeździsz samochodem, a to jest bardziej ryzykowne i bardziej kosztowne, bo tracisz czas.

- Ja nie latam.

- Bo się boisz.

- Nie, bo nigdy nie miałam ochoty wybrać się w żadne miejsce, leżące dalej niż trzy godziny jazdy samochodem od Baltimore.

- Och. - Tess próbowała znaleźć jakąś inną analogię dla niebezpieczeństw nadmiernej zapobiegliwości, ale nic nie przychodziło jej do głowy. - Cofam, co powiedziałam. Może ty naprawdę musisz uważać.

- Zgadza się. Gdyby tak tytularni szefowie dowiedzieli się, że otworzyłam swój biznesik, pracując tu, to byłby koniec małej Dorie. Możesz się śmiać z tej zabawy w Bonda, ale dzięki temu moje ubezpieczenie i plan emerytalny są bezpieczne.

- Tytularni, brawo. Wciąż przerabiasz ten kurs rozszerzania słownictwa?

- Tak. Mam cały program dla dzieciaków, które zdają egzaminy kompetencji. Dwanaście kaset. Wiem już, co znaczy większość słów, a w ten sposób uczę się, jak je wymawiać. - Dorie rzuciła Tess złe spojrzenie, na wypadek, gdyby ta z niej kpiła. Ale Tess nauczyła się już na początku ich znajomości, że nie należy drażnić menedżerki systemu komputerowego dziennika „Beacon Light”. Ze swojego boksu Dorie prowadziła lukratywny handel na czarnym rynku informacji, korzystając z sieciowych zasobów gazety oraz z - jeszcze cenniejszych - baz danych biznesowych, niedostępnych nawet dla reporterów. Zapomnijcie o ręce, poruszającej kołyskę. Światem rządzą palce, które potrafią dotrzeć do informacji o twojej zdolności kredytowej.

- To nie tylko słownictwo. Masz inny głos. Głębszy.

- Słuchałam, jak Derek Jacobi czyta Iliadę. To w sumie ze dwadzieścia godzin. Jeśli za długo siedzę w słuchawkach, zaczynam mówić, jakbym była z jakiegoś innego Essex.

- Rzeczywiście - potwierdziła Tess. Dorie źle wymówiła nazwisko angielskiego aktora, ale od Tess na pewno się tego nie dowie. - A więc, księżno, pozwól, że powiem, czego pragnę.

Dorie słuchała z uwagą, pochłaniając każde słowo. Tess chętnie dałaby jej kopie swoich dokumentów, ale Dorie miała awersję do papieru. Utrzymywała, że informacje najbezpieczniej zapisywać na „organicznym twardej dysku”. Nie groziły mu odcięcie prądu ani awaria systemu, a zabezpieczeń nie zdołaliby przełamać najlepsi hakerzy świata.

- Jezuniu, Tess. - Pokręciła głową, gdy wysłuchiwała szczegółów dwóch spraw. - Normalnie powiedziałabym ci, że nie widzę problemu. Ale teraz mam kilka pilnych zleceń. Od ludzi, którzy płacą mi znacznie więcej niż ty.

- Hej, nie pamiętasz, że zasłużyłam na dożywotnią zniżkę? To ja ci doradziłam, żebyś zaczęła swój mały biznes.

- Wiem i któregoś dnia chętnie zabiorę cię na przejażdżkę moim nowym fordem eksplororem, żeby okazać, jak jestem ci wdzięczna. Ale na razie „Beacon Light”, mój formalny pracodawca, również ma prawo wymagać ode mnie pewnych świadczeń. Tyran i despota. Czy Susan King nie może poczekać kilka dni?

- Oczywiście, że może. - Tak było nawet lepiej. Gdyby wymagająca Mary Browne zbyt krótko czekała na efekty, mogłoby jej przyjść do głowy, że zapłaciła za dużo. - A sprawa Beale'a? Dasz radę cokolwiek zrobić?

Dorie przeczesła palcami krótkie włosy, pełne wicherków i sterczące na wszystkie strony; w tej fryzurze przypominała egzotycznego ptaka z lekkim zezem i komiczną czupryną z piórek.

- Chyba żartujesz. Masz tylko imiona, a zgred nawet tego nie jest pewien. To nieletni, zapewne pod opieką państwa, albo w rodzinie zastępczej, albo w systemie sprawiedliwości.

- Państwo ma komputery - podsunęła przymilnie Tess. - Wydział opieki nad nieletnimi, wydział zasobów ludzkich. Ich dane muszą być na pewno gdzieś w sieci.

- Słuchaj, nie mówię, że nie dam rady włamać się do komputerów państwowych, ale co z tego? Każda agencja inaczej prowadzi akta. Systemy nie są połączone. To jeden wielki bałagan. A nawet w ramach systemu stanowego musisz mieć więcej niż tylko imię. Za to mogę szybko zdobyć dla ciebie artykuły o procesie Beale'a. Może tam będą nazwiska dzieciaków.

- Już o tym myślałam. Ale to nieletni z rodziny zastępczej. Ich dane są utajnione.

- W takim razie spróbuj tradycyjnej metody i przejdź się po okolicy. Popytaj ludzi. Może ktoś wie, dokąd ich wysłali, albo skontaktuje cię z rodzinami zastępczymi. Użyj do czegoś tych swoich długiśnych nóg, to znaczy

do czegoś poza wiosłowaniem na tej głupiej łódce.

- Dobra. - Właśnie takiej odpowiedzi Tess się spodziewała, chociaż miała jeszcze słabą nadzieję, że Dorie zna jakąś tajną, wszechpotężną bazę danych.

Dorie zaczęła się zbierać. Tess znała rozkazy na pamięć: zaczekać pięć minut i dopiero wtedy wyjść. To ona wybrała miejsce, ale o pozostałych warunkach ich spotkania decydowała Dorie.

- Co robisz później? - Dorie otworzyła drzwi toalety i wyjrzała na korytarz. - Chcesz wyskoczyć na piwo?

- Pewnie. A nie, nie mogę. Idę na kawę z Martinem Tullem, kiedy skończy pracę.

- Z tym żuczkiem? Co, znów wielki romans? On jest dla ciebie za niski. Spław go.

- To tylko przyjaciel. Teraz potrzebuję przyjaciół, a nie kolejnych wielkich romansów.

Dorie zaśmiała się wszystkowiedząco.

- Tak, jasne. Tak sobie powtarzaj.

- Mówię, że to kumpel i nic więcej. Lubię go. A poza tym na pewno nie zaszkodzi mieć przyjaciela, który akurat jest detektywem w wydziale zabójstw.

- O, może ci pomoże z Beale'em?

- I co jeszcze powiesz, Sherlocku? - W rozmowach z Dorie Tess rzadko miewała ostatnie słowo, ale kiedy jej się udało, zwycięstwo było słodkie. Ulotne, lecz słodkie. Jutro w skrzynce znajdzie sarkastyczny mail, subtelne przypomnienie, kto kogo bardziej potrzebuje w tej relacji.

Wieczorem w domu Tess otworzyła dwie puszki: ravioli dla siebie, Pedigree dla Esskay. Przeczytała gdzieś ostatnio, że single nie powinni odmawiać sobie małych przyjemności, więc wyłożyła ravioli na talerz i zrobiła musztardowy sos winegret do sałaty według przepisu ze Zgagi Nory Ephron, jednej z dwóch „książek kucharskich”, jakie posiadała. Chlapnęła nawet trochę oliwy do miski Esskay, a potem wyniosła oba dania na „taras”, pokryty sadzą kawał dachu, na który mogła wyjść z sypialni. Kiedy było ciepło, wołała jadać tutaj, dopóki Esskay pilnowała, żeby pikujące mewy trzymały się z dala.

Przed kilkoma tygodniami miała epizod nadmiernego optymizmu, jeśli chodzi o zawartość konta. Skończyło się na kupieniu stolika do kawy i krzesel do kompletu od Smitha i Hawkena. Chciała wziąć tylko jedno krzesło, ale sprzedawczyni potraktowała ją w taki sposób, że Tess wyszła ze sklepu z czterema. Przesada. Jak zwykle. Teraz starała się pilnować, żeby każdego wieczoru siadać na innym krześle, na wypadek, gdyby malowany na zielono



metal mógł się odkształcić. Czuła się jak Złotowłosa z bajki: krążyła od krzeselka do krzeselka, tylko że tu wszystkie były takie same, a żadne nie okazało się tym właściwym.

Czy doskwierała jej samotność? Nie, w ten sposób nie określiłaby tego uczucia: nagłego, szybkiego pulsowania w gardle, suchości w ustach, nieustającego wrażenia, że porzuciła w połowie jakieś ważne zadanie. Samotność to melancholia, to tęsknota za rodziną i przyjaciółmi, którzy są daleko. Prawda, że Whitney wyjechała do Japonii, a ona sama właśnie pożegnała się z romanssem (i bardzo dobrze), ale miała też innych przyjaciół i całą masę krewnych w mieście i okolicach. Po prostu jest niespokojna, bo zaczyna nowy interes, i tyle.

- Ale się rozpędzamy, Esskay - powiedziała na głos, z niezwykłą u siebie delikatnością skubiąc jedzenie. - Dziś wpłaciłyśmy pieniądze do banku. Mamy zabezpieczenie.

Charcica spojrzała z uczuciem na talerz Tess, jakby chciała powiedzieć: „W takim razie pozwól mi to uczcić i dokończyć twój obiad”. Tess zwabiła ją resztkami ravioli do pokoju, po czym zeszła na parter do księgarni. Miała nadzieję, że rozmowa z właścicielką, ciotką Kitty, przerwie ten dziwny nastrój.

Kitty była we frontowym pomieszczeniu, gdzie wypakowywała nową dostawę książek. Pomysł stworzenia księgarni „Kobiety i dzieci przodem” zrodził się podczas rodzinnej uczy krabowej kilka lat wcześniej, kiedy zniecka wzbogacona Kitty Monaghan dosłownie wpadła na dziadka Weinsteina, którego interesy powoli chyliły się ku upadkowi. Filigranowa rudowłosa Kitty oczywiście podbiła serce dziadka, ale zachwyciła go również koncepcja założenia księgarni ze specjalną ofertą w lokalu, który kiedyś był jego flagową drogerią.

- Zawsze obsługiwałem kobiety i dzieci - zwrócił się do Kitty ponad trzaskiem rozbijanych panczerzy. - Dlaczego nie książki dla kobiet i dzieci? Przedstaw mi plan.

Nie minął rok, a nazwa, zainspirowana okrzykiem z „Titanica”, przestała odpowiadać rzeczywistości. „Kobiety i dzieci przodem, ale nie wyłącznie!” - ogłosiła Kitty i zaczęła stopniowo wprowadzać autorów-mężczyzn do kobiecego działu księgarni. Wymagała jedynie, żeby w ich powieściach występowały silnie zarysowane postaci kobiece; warunek ten wykluczał z miejsca wielu słynnych autorów.

- Oczywiście możesz się sama ograniczać, ale do czego to ma prowadzić? - zapytała Kitty tego wieczoru, wydobywając książki z kolejnych paczek. Amis, Ellroy, Updike, obaj Rothowie, Henry i Philip, i najnowsze odkrycia Baltimore, Madison Smartt Bell i Stephen Dixon. - Możesz się na jakiś czas wycofać, ale kiedyś będziesz musiała stawić im czoło.

- Właśnie dlatego nie chciałam iść do Western High School - odpowiedziała Tess ze swego miejsca na fontannie z wodą sodową, która wciąż stała na środku sklepu. - Publiczna szkoła dla dziewcząt to miły pomysł, ale ja nigdy nie chciałam zamknąć się w bezpiecznym dziewczęńskim światku.

- Bzdura - rzuciła Kitty, składając i rozprostowując puste kartony. - Nie chciałaś iść do Western, moja najdroższa siostrzenico, ponieważ od urodzenia miałaś apetyt na testosteron. Nie podobało ci się Western, bo nie znosiłaś stref wolnych od flirtu.

- Wszystko pokrećciaś. Mogłyśmy flirtować ile wlezie w przerwie na lanch, z chłopakami z politechniki. Ja chciałam się z nimi spierać, rywalizować o stopnie, żeby zobaczyć, czy nadal będą się ze mną umawiać.

- Tess, nosiłaś stanik z miseczką C w wieku dwunastu lat. Chłopaki z politechniki umówiliby się na randkę nawet z Einsteinem, gdyby miał piersi. Właściwie Einstein z piersiami to chyba ich ideał.

Najnowszy chłopak czterdziestokilkuletniej Kitty, który wyglądał przy niej na dwudziestopięciolatka, wybrał akurat ten moment, żeby wpaść do sklepu z naręczem irysów. Połamane łodygi kazały się domyślać, że zwędził je z czyjogoś ogródka. Will Ille. „Ille wytrwa”, jak nazwała go Tess. Skończył studia i był zbyt inteligentny, jak na chłopaka Kitty. Inteligentni nie umieli spokojnie przeżyć zakończenia związku, które następowało nieuchronnie po dwóch, trzech tygodniach. Zawsze chcieli wiedzieć „dlaczego”, podczas gdy nie było żadnego innego wyjaśnienia poza tym, że Kitty szybko się nudziła.

- Skoro o tym wspominasz... chyba wiem, po której części rodziny odziedziczyłam apetyt na testosteron - powiedziała Tess.

Kitty, rozczulająca się nad kwiatami, zignorowała jej słowa. Will zniknął z tego świata: teraz był w Krainie Kitty, maleńkim kraiku, którego flaga miała kolor brzoskwiniowych loków, oficjalnym zapachem była woń frezji, a jedynym dźwiękiem - sopranowy szept.

- Wychodzę - oznajmiła Tess bez większej nadziei, że ktoś zwróci na nią uwagę. - Nie czekajcie na mnie.

# Rozdział 4

W DAILY GRIND TESS UPARŁA SIĘ, że zapłaci za latte i czekoladowe biszkopty Martina Tulla.

- Rozumiem, że chcesz mnie prosić o przysługę - powiedział sucho.  
- Co za dno. A nie przyszło ci do głowy, że może czasem ja chciałabym cię ugościć, żebyś nie musiał wydzierać mi rachunku? Czuję się wtedy jak skazana na dobroczytność.

- A może chcesz mnie prosić o przysługę.

- Może. - Wsypała do cappuccino trochę cukru. Nie ma powodu do pośpiechu. Ciekawość Tulla w końcu zwycięży. Interesował się żywo jej małym biznesem, po części dlatego, że osobiście wyswatał ją ze swoim emerytowanym kolegą, Edwardem Keyesem. Tess przypuszczała, że sam może kiedyś zostać prywatnym detektywem - gdyby komisarz spełnił wreszcie groźbę, że przeniesie go do innego departamentu. Praca w wydziale zabójstw była powołaniem Tulla. Póki pozwalano mu je realizować, nie mógł odejść.

Wydawał się nieco roztargniony. Spoglądał wciąż w stronę mola po przeciwnej stronie ulicy.

- Nie ma ich - odezwała się Tess.

- Kogo? - Jego głos był samą niewinnością. Jakby nie zerkał stale na molo.

- Twoich sobowtórów. Mają przerwę. Zawsze zapominam, który jest wzorowany na tobie? Ten blondyn, z wąsko osadzonymi oczami, czy łysy i wypalony?

- Już nie jest łysy i nie będzie grał, nawet gdyby chcieli go do następnego sezonu.

- A myślałam, że nie oglądasz.

- Czasem piszą o tym w gazetach. Czytam, żeby się przekonać, że nie będą kręcić w mojej okolicy. Zamykają wtedy ulice, wszystko staje na głowie. Chyba lubią Hamilton. W Dzielnicy Północno- Wschodniej jest wiele różnych budynków, to dobrze wygląda w telewizji.

Tess się uśmiechnęła. Baltimore było niezwykle czułe na punkcie swojego wizerunku. Nic dziwnego, że nawet telewizyjny program o lokalnych morderstwach bił rekordy popularności. Show, przedstawiający pracę policjantów z baltimorskiego wydziału zabójstw, stał się częścią miasta do tego stopnia, że kiedyś złodziej poddał się aktorom, których wziął za funkcjonariuszy. Prawda, że produkcja była nieco uciążliwa dla mieszkańców, zwłaszcza tu, na Felis Point, gdzie budynki przy moło grały rolę komendy. Jednak program chwycił, a po latach przymusowego oglądania na ekranach Los Angeles i Nowego Jorku baltimorczyki czuli rozkoszny dreszczyk, gdy cały kraj słyszał, jak przystojny chłopak w telewizji mówi o „Wilkins Avenue” i „Tunelu Fortu McHenry”.

- Ale to chyba dlatego zawsze spotykamy się tutaj? Bo lubisz podglądać aktorów, prawda?

- Lubię kawę, a nie lubię barów. Ty mieszkasz w Felis Point. Gdzie mamy się spotykać?

- W innej kawiarni?

Blondynka przy stoliku obok próbowała zwrócić uwagę Tulla. Bez skutku. Nigdy nie zauważał kobiet. No, prawie nigdy - w jego przeszłości mającyla jakaś ekszona. Może zresztą była eks właśnie dlatego, że nie poświęcał jej uwagi. W tej kwestii Tull zachowywał powściągliwe milczenie. Tymczasem w jego obecności kobiety zawsze wdychały głęboko i zniżały głos, praktycznie padając mu do stóp, lecz as detektywistyki nie potrafił jakoś rozwiązać tajemnicy własnego pociągającego wyglądu. W środku nadal był niskim, chudym chłopaczkiem z kiepską cerą i komicznie małymi dłońmi oraz stopami.

Tess nie miała wobec niego żadnych romantycznych zamiarów. Postanowiła utrzymać zakaz randkowania, który sama sobie narzuciła, póki nie zrozumie, dlaczego dotąd dokonywała tak beznadziejnych wyborów. Z ostatnich trzech mężczyzn jej życia jeden nie żył, drugi siedział w więzieniu, a trzeci wybrał Teksas. Nie życzyła Tullowi, żeby skończył jak oni.

- Masz problem z pićem? - zapytała nagle.

- To chyba byłaby klisza? - odpowiedział. - Gliniarz alkoholik.

- Klisza to po prostu za często powtarzana prawda, która zmieniała się w banał.

- A gdybym ci powiedział, że moim zdaniem to ty za dużo pijesz, więc umówiłem się z tobą tutaj, gdzie nie możesz nadużyć niczego poza kofeiną?

Tess się zastanowiła. Fascynowały ją takie osobiste obserwacje, nawet niepoehlebne. Czy naprawdę piła za dużo, czy Tull chciał po prostu odbić jej pytanie? Trzymała się zaleceń H.L. Menckena: nigdy nie pić przed zachodem słońca ani trzy dni z rzędu. Cóż, mniej więcej starała się tego trzymać. Oczywiście nie trzeba czekać do wieczora, kiedy zacznie się czas letni. A szklanka wina do obiadu od czasu do czasu to po prostu obowiązek cywilizowanego człowieka.

- Powiedziałabym, że mówisz o mnie, żeby zmienić temat - odparła. - Zresztą, mówisz o kliszach? Wszyscy twierdzą, że zawsze przesadzam. A ja mogę skończyć z dowolną rzeczą. Przekonaj się.

- Skończyłaś z facetami. To znaczy, że nie mogę się przekonać.

Drażnił się z nią. Gdyby uznał, że jest nim zainteresowana, już by tu nie siedział. Tess nagle uświadomiła sobie, że z głośników płynie głos Nancy LaMott. Łasił się do nich jak kot. Czasem muzyka w tle idealnie dopasowuje się do chwili. Tym razem była to Księżycowa rzeka. Dwoje tułaczy. „Jagodziwi przyjaciele”, cokolwiek by to znaczyło.

- Śniadanie u Tiffany'ego - powiedział Tull.

- Wspaniała historia, kiepski film. - Tess zawsze na nim szlochała.

- Mówiłem ci kiedyś, jak George Peppard uratował mnie od bezsenności? Któraś stacja dawała w nocy powtórki Detektywa Banacka. Raz-dwa i problem z głowy.

- Kiedy to było? Po twoim rozwodzie?

- Nie pamiętam.

Tak blisko, a jednak tak daleko. Znów rozbiła sobie nos o jeden z wewnętrznych pancerzy ochronnych Martina Tulla. Pamiętał każdy szczegół każdego zabójstwa, które rozpracował, ale w sprawach osobistych zawsze zasłaniał się rzekomą amnezją.

- Miałam dzisiaj klientów. - Zmieniła temat, wiedząc, że chętnie go podejmie.

- Tak?

- Dwoje jednego dnia. Jedna sprawa jest prościutka. Znalezienie zaginionej osoby. Dzięki ci, panie, za komputery.

Tull nadgryzł biszkopta małymi, bardzo równymi białymi zębami.

- Sporo z tych komputerowych kombinacji jest nielegalnych. Albo powinny być. Nie chcę wiedzieć za dużo o tym, jak działasz. To mnie stawia w trudnej sytuacji.

- Nie działam osobiście, jeśli to cię pocieszy. Ale chcę pogadać z tobą o drugiej sprawie. Muszę znaleźć nieletnich, prawdopodobnie z rodzin zastępczych. Komputer nic tu nie pomoże, tak usłyszałam.

- W Baltimore? - Tull zabębnił palcami w stół, nagle zainteresowany.

- W Maryland. Tak sędzę. Mam nadzieję. Nie znam nawet ich nazwisk.
- Kto chce ich znaleźć? I dlaczego?

Tess postanowiła przemilczeć pierwsze pytanie. Tulla nie powinno obchodzić, kto puka do jej drzwi. Za to wyjaśniając mu „dlaczego” w odpowiednio subtelny sposób, mogła uzyskać pomoc.

- Kilka lat temu zeznawali w sądzie. Mój klient czuje się wobec nich zobowiązany i chciałby spłacić dług wdzięczności.

- Wypadek samochodowy?

- Można powiedzieć, że wypadek. Dzieciaki były tylko świadkami. Klient nie pamięta ich nazwisk i nie jest pewien imion.

- Tess, to sprawa dla tumana. Powinnaś się wstydzić, że nie wiesz, jak się do tego zabrać.

Udała, że się dąsa.

- Dobrze, wstydzę się. Nie mam zielonego pojęcia. Co mam zrobić? Gdzie zacząć?

- Dzieciaki były świadkami podczas procesu, tak? Wystarczy, że wpiszesz nazwę sprawy do komputera sądowego, a dostaniesz listę świadków. Nawet nieletni są tam z imienia i nazwiska. Nawet w sprawie cywilnej.

Tess łyknęła cappuccino, bardzo z siebie zadowolona.

- Nie powiedziałam, że to sprawa cywilna. Ty tak założyłeś.

- Cywilna czy kryminalna, wszystko jedno, ale mówiłaś... - Tull zerknął na nią. - Droczyś się ze mną, Tess? Co to właściwie za klient? Ktoś z mojej strony ulicy?

- Jak pan wie, detektywie Tull, nazwiska moich klientów są poufne.

- Kryminalna, kryminalna, kryminalna - zamamrotał pod nosem. - Zabójstwo?

- Nie twoja sprawa.

- A więc zabójstwo. Zabójstwo, którego świadkami były dzieci.

Tess niemal widziała, jak Tull przerzuca i analizuje w myślach fiszki ponad dwóch tysięcy zabójstw, którymi zajmował się jego wydział w ciągu ostatnich siedmiu lat.

- Dzieciaki, dzieciaki, dzieciaki. Cedonia, ojciec zastrzelił chłopaka córki, bo za późno odprowadził ją z kina do domu?

- Gdybym podała ci nazwisko mojego klienta, Tyner wyleciałby z palestry. Zresztą całkowicie się mylisz.

- Gość zastrzelił czternastolatka, który huśtał się na jego samochodzie i włączył alarm?

Tess dała się zaskoczyć.

- Jak mogło mi to umknąć?

- Nie, to nie ta sprawa. Zginął dzieciak, a widziała to staruszka z ganku.  
- Tull strzelił palcami. - Zabity dzieciak. Dzieci jako świadkowie. Beale. Luther Beale. Ten obłąkany pojeb.

- Nie wiem, czy obłąkany. Jest trochę dziwaczny, ale kto by nie był w takich okolicznościach?

- A więc to Beale. - Rozradowany Tull aż przybił sobie piątkę. - Nie mogę uwierzyć, że jesteś taką naiwniaczką. Dałaś się nabrać na to, co ten stary drań ci nagadał.

Tess wstała gwałtownie, wściekła, że tak łatwo ją wymanewrował. Martin spojrzął jej w twarz.

- A może byśmy wzięli kawę do kubków na wynos i trochę się przeszli?

W piątkowy wieczór Felis Point było zatłoczone i głośnie, ale Tess i Tull wiedzieli, jak wydostać z podpitego tłumu. Poszli w dół Feli Street, wzdłuż nowszych budynków na wąskim skrawku łądu, który wrzynał się w wody przystani. Brakowało tu miejsc do parkowania, więc ludzie omijali tę okolicę, a w jedynym barze panowały cisza i spokój. Dotarli do doku i usiedli na jego krawędzi, patrząc ponad falami na Locust Point. Tess zauważyła pozostałości fabryki Procter and Gamble, w której pracował kiedyś Beale. Obok wznosiły się zakłady cukrownicze Domino, dla miejscowych „Cukrowy Dom”. Świetlisty neon z nazwą „Domino Sugars” lśnił we wspomnieniach tysięcy baltimorczyków.

- Luther Beale stara się naprawić swoje błędy - odezwała się. - Jeśli wierzę, że ktoś chce zrobić coś dobrego, to znaczy, że jestem naiwniaczką?

- Przepraszam. Nie powinienem tak mówić. Ale Luther Beale, Jezu, Tess, to wcielony diabeł. Powinien się nazywać Lucyfer Beale.

- Diabeł? Ten staruszek w brązowym garniturze? Martin, wiem, że zabił małego chłopca, i niedobrze mi się od tego robi, ale on nie jest zły. To stary człowiek, który popełnił straszny błąd. Nie był pierwszym facetem ze spluwą, któremu puściły nerwy. On przynajmniej chce jakoś zadośćuczynić. Albo próbuje.

- I właśnie w tym problem. Wciąż w głębi duszy jest strażnikiem łądu i porządku. Tworzy własne prawo. Najpierw był sędzią i katem, teraz staje się całą ławą przysięgłych i chce decydować o tym, czy należy się odszkodowanie.

- Popełnił błąd. Jeden straszny, potworny, tragiczny błąd. Nie twierdzę, że można to usprawiedliwić, ale ty robisz z tej sprawy coś zupełnie innego.

- Jeden błąd? Jeden?! - Tull niemal krzyczał. Po chwili opanował się z trudem. - Założę się, że powiedział ci, że nie był karany?

- Mówił, że wytoczyli mu sprawę o remonty bez licencji...

- Sprawdź jego nazwisko w aktach. Dowiesz się, że piętnaście lat temu został zatrzymany za napaść. Gdyby tamten facet nie miał prawie dwóch

metrów i nie ważył sto dziesięć kilo, Beale pewnie miałby pierwszy proces o zabójstwo. Dali mu DPW, dozór przed wyrokiem.

- Wiem, co to jest DPW - warknęła Tess. - I wiem, że w świetle prawa oznacza to, że nie był karany, więc powiedział prawdę. Gdybym zaczęła szukać, nic bym na niego nie znalazła.

- Tak, Beale nauczył się wtedy jednej ważnej lekcji - mówił dalej Tull, ignorując jej słowa. - Wybieraj kogoś podobnej postury. Nie. Kogoś mniejszego. Dzieciaka. Jedenastoletniego dziecka, ważącego może trzydzieści pięć kilo. Luther Beale miał magnum 357. Tej nocy na Fairmount walka nie była fair.

- Poznałam go - zaprotestowała Tess. - Rozmawiałam z nim. Naprawdę jest skruszony. Czuje, że nie zapłacił jeszcze za to, co zrobił. O to chodzi. Cytował mi Biblię. Nie jest pierwszym zbrodniarzem, który w więzieniu znalazł Boga.

- Tak, i nie byłby pierwszym, który go zgubił, kiedy wyszedł na wolność. - Tull popatrzył na księżyc w pełni, wschodzący nad zatoką, wielki, w niezdrowym zielonożółtym kolorze. - Powiedz mi, Tess, nie wyczułaś nic podejrzanego? Nie odrzuciło cię od tego faceta? Wierzę w twój instykt. Poznaliśmy się nad zwłokami i wtedy zaufałem twoim odczuciom.

- Nie od razu - przypomniała mu. - Najpierw sama o mało nie zginęłam.

Dobrze, szpila zaboląła, chociaż tamto naprawdę nie było z jego winy. On też ją zranił, podważając jej osąd.

- W porządku, punkt dla ciebie. Ale czy ten Beale nic przyprawił cię o dreszcze?

- Nie, raczej nie - odpowiedziała. - Jest nieco denerwujący, w stylu „słuchajcie, młodzi, każdego mego słowa”. Obcesowy aż do opryskliwości. Prawdę mówiąc, rozmawiało mi się z nim jak z własną babcią.

- Opryskliwy to za mało powiedziane. Podobno chciał sam się bronić. Udowadniałby, że to była samoobrona. Adwokat odwiódł go od tego, ale Beale nie zmienił nastawienia. Matka Donniego Moore'a przychodziła codziennie do sądu, uczestniczyła we wszystkich posiedzeniach. Chciała tylko, żeby powiedział, że przeprasza i jest mu przykro. Wiesz, co usłyszała, kiedy wreszcie spotkali się w holu?

- Nie. - Pamięć Tess zaczęła odtwarzać wszystkie te fakty sprzed lat. - inie muszę wiedzieć.

- I tak ci powiem. - Tull pochylał się i zniżył głos, jak starsza pani, zmuszona powtórzyć wulgarne słowo. - Powiedział do kobiety, która opłakiwała jedyne dziecko: „Gdyby pani była dobrą matką, Donnie nie mieszkałby w mojej okolicy i dzisiaj byłby żywy”. Miły gość, prawda? Po prostu złote serce.



Tess milczała, patrząc na księżyc. Zawsze przyglądała się księżycowi w pełni, starając się zobaczyć uśmiechniętą twarz, która podobno tam jest. Ale widziała niezmiennie smętną minę, usta ułożone w małe, żałosne „o”, jakby księżyc gwizdał smutną melodię.

Tull położył rękę na jej dłoniach. Dziwny gest, jak na niego. I dziwny jak na nich, przyjaciół od niedawna, z których żadne nie było czułościowe.

- Powiem ci to jeszcze raz, a ty możesz jeszcze raz mnie zignorować, jeśli chcesz, ale taka jest prawda: Luther Beale to zła nowina. Opuść sobie to zlecenie.

- Ty pracowałeś nad jego sprawą?

- Nie, ale znam chłopaków, którzy ją rozpracowywali.

- Więc powtarzasz tylko, co usłyszałeś. Przytaknął niechętnie.

- Owszem, można tak powiedzieć.

- Nienawidzisz strażników porządku, prawda? Dlatego, że jesteś gliną? Dlatego, że naprawdę boisz się, co będzie, jeśli ludzie zaczną sami wymierzać sprawiedliwość? A może dlatego, że Luther Beale to dowód kłeski policji? Gdyby gliniarze powstrzymali te dzieciaki, nie byłby zmuszony do tego, co zrobił.

- To nie fair, Tess.

Oczywiście, że nie. Ale przyjaciele muszą się kłócić, wkurzać się nawzajem, przebaczać i zapominać. Nawet w złości Tess zorientowała się, że przekroczyli kamień milowy swojej relacji. Starli się, a teraz dogadywali na nowo.

- Dlaczego Luther Beale tak cię obchodzi? Muszę wiedzieć.

Tull nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Nie lubię strażników porządku, bo w ich poczuciu sprawiedliwości brak proporcji. Zabijają za zniszczenie mienia. Cenią siebie ponad wszystko i wszystkich. Już i tak jesteśmy na skraju anarchii. Nie potrzebujemy kolejnych Beale'ów, żeby ją przyspieszyli.

- Ale miał rację, prawda? To było okrutne, ale miał rację.

- W tym, że zabił Donniego Moore'a?

- Miał rację, że Donnie Moore nie biegałby w środku nocy po Fairmont Avenue, gdyby jego matka zrobiła, co do niej należało.

- Tess, to było ostre.

Tym razem nawet nie próbowała się bronić.

# Rozdział 5

NASTĘPNEGO RANKA TESS, KOŃCZĄC CODZIENNĄ PORCJĘ WIOSŁOWANIA po Patapsco, z niejakim przygnębieniem zdała sobie sprawę, że nuci pod nosem piosenkę Gartha Brooksa. Wiosłowanie było jednym z jej ulubionych zwyczajów; bardzo jej go brakowało na początku roku, kiedy leczyła się z ran. Umysł jest jak kratka ściekowa, nie mogła nic poradzić na to, co się do niego przyczepia: ale Garth Brooks?! Ten pozer w wielkim kowbojskim kapeluszu? Ale przynajmniej jej parodystyczna wersja pasowała do ruchów, które pchały kajak po mętnych wodach. „Mam bliskich przyjaciół” - od początku do szczytu pociągnięcia wiosłem, „w wysokich sferach” - do końca pociągnięcia. Cztery zwrotki, każda śpiewana nieco szybciej niż poprzednia, wystarczyły akurat na odcinek od mostu Hanover Street do hangaru.

Rzeczywiście, miała sporo przyjaciół i krewnych w najważniejszych instytucjach w mieście. Wujek Donald pracował po kolei we wszystkich chyba agencjach stanowych, a ojciec po latach spędzonych na stanowisku kontrolera obrotu alkoholem doczekał się niemałej gromadki dożgonnie zobowiązanych osobników w całym Baltimore. Znała też reportera, który - inaczej niż Dorie - nie oczekiwał wynagrodzenia za pomoc. I zdecydowanie nic spłacił jeszcze swojego długu wdzięczności. Wielkoduszna Tess postanowiła dać mu szansę wyrównania rachunku: zamierzała poprosić, żeby zdobył akta sprawy Beale'a i znalazł listę świadków. Zostawi mu wiadomość tuż po powrocie do domu i zanim wyjdzie spod prysznic, jej praca będzie już wykonana.

W sądzie im. Clarence'a Mitchella najwyraźniej zaczął się już okres ogórkowy. Nieobecność wozów transmisyjnych oznaczała, że nie odbywa się żaden sensacyjny proces. Powietrze wypełniające mroczne korytarze było

chłodne i zatechłe, jak wewnątrz lodówki otwartej po powrocie z dwutygodniowego urlopu w Ocean City.

- Kto tam puk- puk- puka do mych drzwi? - burknął głos ze środka, kiedy Tess zastukała do pokoju prasowego.

- To ja, Czerwony Kapturek. Wpuść mnie, proszę.

- Nie wpuszczę cię, bo zniszczysz mój śliczny domek.

- Mylisz bajki. To powiedziała jedna z trzech świnek do złego wilka.

- Zjedz mnie. A, przepraszam, to mówią Jaś i Małgosia do czarownicy.

Drzwi uchyliły się. Kevin Feeney jak zwykle nie wstał nawet, żeby je otworzyć, po prostu podjechał na krzesło biurowym i wrócił w ten sam sposób do biurka, nie odejmując słuchawki od ucha i nie przerywając ochrzaniania rozmówcy.

- Ty bezużyteczny gównojadzie, wiem o tym od miesiąca - wysyczał.

To musiał być informator. Szefa Feeney traktowałby jeszcze bardziej chamsko. - Powiedz mi coś, czego nie wiem. Tak...? Wielka nowina, z Hiszpanii donoszą, że Ziemia jest okrągła!

Jednocześnie grzebał w stosie papierów na biurku, a po chwili podał Tess wydruk dokumentu z akt sądowych. Tak! Jakie to proste. Miała nazwiska: Destiny Teeter, Treasure Teeter, Salamon Hawkings, Eldon Kane.

Niesamowite. Jedno trafienie na cztery. Beale zapamiętał tylko jedno imię, i w dodatku imię dziewczynki, która dla niego najmniej się liczyła, Destiny. Miał też rację co do imienia na „El”. To musiał być ten mały grubaś.

- Ta, ta, ta - Feeney sapał do telefonu, gestem pokazując Tess, żeby nie wychodziła. - Czemu nie zadzwonisz do kogoś, kogo to obchodzi? Mam dość tego gówna. Wiesz, że nie piszę wstępniaków ani tytułów. Może naga-dasz mi też o doręczycielach? Dostajesz gazetę pod same drzwi czy musisz wyjść aż na chodnik?

Przez chwilę milczał i słychać było tylko stłumiony głos rozmówcy.

- Lancz? Pewnie. Przyszła środa, w porządku. W tym lokalu w Towson, gdzie dają makaron. W południe? Lepiej o wpół do pierwszej.

- Najnowsza dziewczyna? - zażartowała Tess, kiedy odłożył słuchawkę.

- Twoja mama - odparował. - Tylko ona lubi jeść lancz w tych tanich motelach przy Pułaski Highway.

- Chciałabym. Miałabym dla niej więcej szacunku, gdybym wiedziała, że potrafi stracić kontrolę. Albo że nauczyła się mówić „nie” mojej babci. Babcia urządza dziś przyjęcie z okazji pięćdziesiątych urodzin mojej mamy. Czyli mama robi swoje przyjęcie w mieszkaniu babci.

- Nie to, żebym nie był zafascynowany przygodami twojej zwariowanej rodzinki, ale mam dla ciebie coś jeszcze. Sprawdziłem nazwiska dzieciaków

w naszej elektronicznej bazie artykułów, na wypadek, gdyby któryś dostał państwowe stypendium za wyniki w nauce albo został ministrem. Spróbowałem nawet w Nexis, chociaż to oczywiście była loteria, ale lubię wydawać pieniądze gazety na takie głupstewka. Znalazłem dwóch. Mam przyjemność zawiadomić cię pierwszy: Eldon Kane właśnie skończył osiemnaście lat i awansował do systemu sądownictwa dorosłych. Don Pardo, może zechcesz powiedzieć widzom, co Eldon wygrał. - Feeney zaczął mówić miękkim głosem telewizyjnego prezentera. - Cóż, Bob, Eldon otrzymał nakaz doprowadzenia do sądu w związku z kradzieżą samochodu, ponieważ nie stawiał się na rozprawę. Teraz jest ścigany listem gończym i pewnie opuścił stan.

Tess, uniesiona nadzieją, że Feeney pomógł jej bardziej, niż mogła się spodziewać, oklapła.

- Świetnie. Skoro gliniarze nie mogą go znaleźć, to jak ja to zrobić?

- Masz szansę z innym. W bazie „Beacon Light” znalazłem informację o Hawkingsie. Trzy lata temu wygrał stanowy konkurs prawniczy. Był wtedy w piątej klasie podstawówki w Gwynn's Falls. Tuż za granicą miasta. Podali tylko listę nazwisk i to najmniejszą czcionką.

- To już coś. - Tess zanotowała informację na wydruku. - Może w tej szkole powiedzą mi, do którego liceum poszedł.

- Masz imiona rodziców? Bardzo by się przydały.

- Nie miałam nawet ich nazwisk, póki nie dostałam od ciebie wydruku.

Dowiedziałeś się czegoś o rodzicach zastępczych?

- Tak. Georgc i Martha Nelsonowie. Mieszkają w Dystrykcie Columbia. Bardzo skorzystali na prywatyzacji i obecnym klimacie politycznym. Pod koniec dyskusji o przywróceniu sierocińców zdobyli duży grant na prowadzenie szkoły z internatem dla „zagrożonych” czarnoskórych chłopców. Akademia Benjamina Bannekera\*. Dwa miesiące temu „Washington Post” i „Washington Times” prześcigały się w pochwałach. Ta szkoła to chyba jedyna rzecz, co do której kiedykolwiek były zgodne. Ale w żadnym z artykułów nie wspomniano o tym, co się zdarzyło w Baltimore pięć lat temu. Możliwe, że dziennikarze nie połączyli faktów, a Nelsonowie na pewno im nie pomogli.

- Może doszli do wniosku, że mogą więcej nie dostać takich wielkich grantów, jeśli się przyznają, że jedno z dzieci, którymi się opiekowali, zostało zabite.

- Słuchaj, oni przecież nie pozwolili mu wyjść z domu o drugiej w nocy, żeby sobie rozbijał okiennice. - Feeney przerzucił kartki notatnika. - Znalazłem adres matki Donniego Moore'a. Próbowwała wytoczyć Beale'owi

\* Benjamin Banneker (1731- 1806) - wolny Afroamerykanin, samouk, astronom, matematyk i zegarmistrz (przyp. tłum.).

sprawę cywilną, kiedy siedział w więzieniu. Chciała dostać jego pensję i ubezpieczenie. Proszę. Mieszka w tych budynkach, które mają wysadzać. Na zachodnim brzegu.

Tess przepisała adres, nabazgrany na wewnętrznej stronie okładki reporterskiego notatnika Feeneya.

- I co się stało z tym pozwem?

- Poszła na ugodę. Układ był utajniony, ale ludzie mówili, że kiedy jej adwokat wziął swój procent, dostała jej się pięciocyfrowa suma. Dość ohydna matematyka. Wyliczyli wartość Donniego Moore'a na podstawie tego, ile mógłby w przyszłości zarobić.

- Cholera, ciekawe, ile ja byłabym warta.

- Tess, więcej by zarobili, gdyby sprzedali cię na części. - Feeney zarechotał z własnego dowcipu.

- Dzięki. Może wybierzemy się niedługo na obiad?

- Za jakiś czas. Biorę cztery tygodnie urlopu. Nagromadziło mi się tyle wolnych dni, że każą mi je wykorzystać.

- Dokąd się wybierasz?

Feeney wyglądał na zakłopotanego.

- Do Kalifornii. Moja siostra mieszka w Long Beach. Nie widziałem jej córek od trzech lat. Mamy rodzinnie spędzić czas. Pójść do zoo w San Diego czy coś w tym rodzaju. A potem pojedę do Baja, będę leżał na plaży i pił. Byłaś tam kiedyś? Przepiękne okolice.

Tess nie dała się zwieść gadaniu o Baja.

- Feeney, jedziesz z siostrzenicami do Disneylandu?

Feeney kiwnął głową, skamieniały ze strachu. Chwycił słuchawkę telefonu, który właśnie się rozdzwonił, i ryknął z wyraźną ulgą.

- Tak? To ty się pieprz, Bunky. Gdybym chciał od ciebie gówna, po prostu wycisnąłbym twój łeb!

Tess pomachała mu na do widzenia, wciąż uśmiechając się do myśli o przygodach Feeneya i jego siostrzenic w świecie Piratów z Karaibów. Feeney z kukłą Lincolna, Feeney atakowany przez postaci z kreskówek, których całe stada przyciągnie jego gburowata mina. Gdyby tak udało jej się zdobyć zdjęcia, zarobki z szantażu pozwoliłyby jej od razu przejść na emeryturę.

W głównym sekretariacie szkoły podstawowej w Gwynn's Falls wszystko kipiało i wrzało, w przenośni i niemal dosłownie: ogonek spoconych winowajców pod gabinetem wicedyrektora, migające lampki na wszystkich aparatach telefonicznych, zepsuty klimatyzator. Tess, która za czasów swojej

nauki w podstawówce była raz czy dwa wezwana do wicedyrektora, czuła się głupio i paranoicznie, stojąc w środku tego domu wariatów, jakby nieukarane grzechy jej młodości mogły nagle wyskoczyć z szafy.

- W czym mogę pomóc? - Umęczona sekretarka nie zadbała o kontakt wzrokowy z Tess, a ton jej głosu wskazywał jasno, że ma nadzieję nie pomóc.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o jednym z waszych byłych uczniów.

Tess starała się, żeby zabrzmiało to nonszalancko, jakby obcy ludzie codziennie przychodzili po informacje o uczniach, ale sekretarka nie dała się nabrać. Była czarnoskóra, z włosami utlenionymi na blond i jasnozielonymi oczami. Żółty i zielony widniały też na wygniecionej lnianej sukience w tropikalne wzory. Mierzyła Tess wzrokiem, jakby chciała dopasować jej twarz do zdjęcia kogoś z poszukiwanych przestępców.

- Rozumiem, że nie jest pani matką.

Tess rozważyła, czy opłaca się skłamać, ale uznała, że nie ma szans. Ani w sekretariacie, ani na ponurych korytarzach nie widziała żadnego białego ucznia.

- Nie, jestem prywatnym detektywem. Zostałam wynajęta, żeby odnaleźć pewnego ucznia.

- Przez rodzica z prawami opiekuńczymi? - Sekretarka przeciągnęła to określenie - praaawami opiekuńczymi - jakby chciała ostrzec Tess, że wie, co ono znaczy.

- Hm... nie, ale mój klient ma uzasadnione powody, żeby szukać tego dziecka.

- Naprawdę? Ktoś, kto nie jest rodzicem, a prawdopodobnie nawet nie jest krewnym, ma uzasadnione powody, żeby szukać jednego z naszych uczniów? Kto? Gdyby była pani z policji, miałaby pani odznakę. Gdyby przysłał panią Urząd Opieki nad Dziećmi, miałaby pani legitymację. Skoro nie ma pani nic wspólnego z prawem ani z władzami, nie widzę żadnego uzasadnionego powodu, żeby udzielać informacji, i nie chcę oglądać pani w mojej szkole.

Tess postanowiła odwołać się do hierarchii.

- A może po prostu poprosi pani zwierzchnika? To delikatna sprawa, powinien się nią zająć ktoś, kto ma odpowiednie uprawnienia i może z nich skorzystać.

- To ja jestem zwierzchnikiem, moja panno, a ty jesteś delikatną sprawą. My tutaj nie siedzimy spokojnie, jeśli ktoś obcy po prostu wchodzi do szkoły z ulicy. A teraz proszę opuścić teren szkoły i proszę się tu nie pokazywać. Jeśli zobaczę panią znowu, każę panią aresztować za bezprawne wtargnięcie.

Tess wyszła z sekretariatu tak, jak zawsze wychodziła z gabinetu dyrektora: ze spuszczoną głową i czerwonymi policzkami, pewna, że wszyscy dookoła wiedzą, co nabroiła.

Matki Donniego Moore'a nie było pod adresem, który podał Feeney. Mieszkanie zajmowała jej siostra, półprzytomna dziewczyna, młodsza od Tess o jakieś dziesięć lat. Pewnie wyglądałaby na swój wiek, gdyby krak nie wysał z ciała wszystkich soków. Przypominała szkielet, obciążony skórą. Może zresztą nie brała kraku, tylko heroinę, w każdym razie musiała niedawno wziąć działkę. Stała w drzwiach jak lunatyczka, kołysząc sennie głową, niczym piesek-maskotka. Opierając się o framugę, podała Tess adres szeregowego domu przy Washington Street.

- Przy szpitalu?

- Nie, dalej na południe. - W jej rozluźnionych od narkotyku ustach brzmiało to „daeej na pouudnie”.

- Ale to prawie w Butchers Hill. - To, czego Tess szukała po mieście przez cały ranek, znajdowało się kilka przecznic od jej biura.

- Tak, tam Keisha terasss mieszka. Ojsies jej siecka pomógł znaleźć. - Siostra Keishy Moore odpłynęła na chwilę, po czym znów otworzyła oczy. - Dobrze ją traktuje?

- Jej chłopak?

- Ojsies jej siecka - poprawiła; najwyraźniej była to istotna różnica. - Pozdrów ją ode mnie. Powiedz, że Tonya pozdrawia.

- Donna? - Dziewczyna połykała większość spółgłosek. Trudno było zrozumieć ten bełkot.

- Nie-e, Ton-ya. Jak Toni Braxton, tylko inaczej. A wiesz, że moja kuzynka zna dziewczynę, która zna jedną z jej siostr? Mieszka w Severna Park, ona stamtąd jest.

- Dziewczyna zna twoją siostrę?

- Nie, zna Toni Braxton. Mówi, że jest bardzo miła, wcale nie zadziera nosa. Mówi, że przychodzi do nich i śpiewa w ogródku, i jedzą kurczaka. Zadzwoń do mnie następnym razem, kiedy przyjdzie. - Tonya zamknęła oczy i objęła się ramionami, pogrążając w marzeniu o swoim prywatnym barbecue w towarzystwie Toni Braxton.

Po chodniku przed szeregowcem Keishy Moore przebiegł szczur. Dom wyglądał schludnie, ale z pozamykanymi oknami i zaciągniętymi zasłonami sprawiał wrażenie miejsca, w którym wszyscy głęboko śpią, chociaż słońce

stało już wysoko i zbliżało się południe. Tess zapukała kilka razy i chciała już odejść, kiedy usłyszała kroki na schodach.

- Czego pani chce? - Kobieta, która otworzyła jej drzwi, miała na sobie tylko stanik i luźne sportowe spodenki. A raczej spodenki, które powinny być luźne: jej krzepkie ciało wypełniało je całkowicie. Nie była gruba, tylko potężna i solidnie zbudowana, w typie, który, zdaniem Tess, podoba się większości mężczyzn. Z pewnością nie przypominała wycieńczonej narkomanki.

- Czy nazywa się pani Keisha Moore?

- Pani z opieki społecznej?

- Nie... - Tess zaczęła grzebać w plecaku w poszukiwaniu portfela i licencji prywatnego detektywa.

- Już mówiłam, tu nie ma żadnego mężczyzny.

- Nie o to chodzi. Jestem detektywem.

Kiepsko to rozegrała.

- Nic nie zrobiłam. Co do mnie macie? Ja nic nie zrobiłam ani Lavon. Czemu nas ciągle męczycie?

- Jestem prywatnym detektywem, nie policjantką. - Tess znalazła wreszcie licencję i podsunęła ją Keishy pod oczy. - Chciałam tylko zadać pani kilka pytań o pani syna, Donniego Moore'a.

Kobieta znieruchomiała i zbladła. Przygryzała dolną wargę i patrzyła na licencję Tess.

- To było tak dawno... - powiedziała cicho.- Czemu pani teraz przychodzi?

- Możemy porozmawiać w środku? Tu jest bardzo gorąco.

Jednak w ciasnym, dusznym wnętrzu szeregowca było jeszcze goręcej. W małym pokoju od frontu dwoje dzieci spało na dwóch starych sofach, ustawionych jak kościelne ławki, przodem do ołtarza: regału z telewizorem i wideo. Dzieci wyglądały na zmęczone snem; o ile to w ogóle możliwe.

- Moi kuzyni - wyjaśniła Keisha, zatrzymując się przy nich na moment. - Wczoraj siedzieli do późna.

- Dzieci pani siostry? Tej, którą spotkałam w pani mieszkaniu?

- Tonya powiedziała, jak mnie znaleźć? Zawsze miała nierówno pod sufitem. Nie, to dzieci mojego brata. Pilnuję ich, bo szwagierka poszła do opieki społecznej. Chcą odebrać jej kartki na jedzenie. Weszły jakieś nowe zasady, a ona nawet nie wie, co zrobiła źle.

- A gdzie jest pani brat?

- Nie ma go. - Coś w jej głosie sprawiło, że Tess nie ciągnęła tematu. Gdzieś na górze zapłakało dziecko. Keisha wbiegła na piętro, klapiąc miękkimi kapciami po nagich stopniach, i po kilku minutach wróciła z grubym,



miedzianoskórym niemowlakiem w pieluszce. Narzuciła na stanik bawełnianą koszulę, ale nie zawracała sobie głowy zapięciem guzików.

- Trzeba ją przewinąć - powiedziała, prowadząc Tess do środkowego pokoju. Kiedyś była to jadalnia, teraz stała tu tylko stara lodówka. Keisha wykorzystała jej blat jako stolik do przewijania. Jej ruchy były pełne miłości, sprawne i skuteczne, ale Tess patrzyła z niepokojem, jak dziecko turla się po śliskiej, twardej powierzchni.

- Jaka ładna - odezwała się z wahaniem, niepewna, czy to właściwe słowo. Tak naprawdę dziecko przypominało leśnego skrzata i wydymało buzię jak Harpo Mara, ale która matka chciałaby to usłyszeć?

- Ma pani własne?

- Nie. - Tess starała się nadać głosowi ton tęsknoty, jakiej matki spóźniewają się u bezdzietnych kobiet. Nie marzyła o dziecku. Ale musiała przyznać, że coś ciągnęło ją do tej tłusciutkiej dziewczynki z błyszczącymi, ciekawskimi oczkami, która wywijiała rękami i nogami, jakby już wybierała się na dyskotekę.

- To jest Layla. - Keisha pomachała dłonią dziecka w stronę Tess.

- Laaayla. - Tess, patrząc na małą, zaśpiewała refren piosenki i zaraz przerwała, zawstydzona.

Keisha wyglądała na zaskoczoną.

- Piosenka z imieniem mojej córki? To dopiero! Chciałabym kiedyś posłuchać.

- Tak, to Derek and the Dominoes. - Keishy najwyraźniej nic to nie mówiło. - Wie pani, Erie Clapton.

- A, ten od gitary. Jego synek wypadł przez okno. Ten, co nagrał piosenkę z Babyface'em.

Zabawne, jak różne ludzie mają skojarzenia. No tak, ale Tess też nie wiedziała, że Toni Braxton pochodzi z Severna Park.

- Ile pani ma lat, jeśli mogę zapytać?

- W kwietniu skończyłam trzydzieści jeden.

- Czyli kiedy urodził się Donnie, miała pani... - Tess przerwała, żeby policzyć, a z drugiej strony dlatego, że takie liczenie wydało jej się nieuprzejme.

- Piętnaście. Tak. Ale po co pani pyta o Donniego? To było dawno.

- Próbuję znaleźć dzieci, które mieszkaly razem z nim u Nelsonów. Pomyslałam, że może pani wie, gdzie teraz są.

- Czemu? To znaczy, czemu chce pani je znaleźć?

- Bo ktoś mnie poprosił. - Zabrzmiało to nieco groźnie, więc dodała: - Możliwe, że dostaną pieniądze w związku z tym, co się stało.

- Oni tak, a Donnie nie?

- Obawiam się, że nie. - Nie musiała się dłużej tłumaczyć, ale uznała, że wymyśli coś jeszcze, na wypadek, gdyby Keishę zbyt absorbowały inne problemy. - Chyba z powodu pani pozwu. Nie można dwa razy iść do sądu z tą samą sprawą.

- Och. - Pieluszka miała taśmy do mocowania, a Layla się nie wierciła, ale Keisha i tak musiała poświęcić chwilę, nim wszystko doprowadziła do porządku. - Nie wiem, gdzie są. Nawet ich nie poznałam.

- A proces? Przyszła pani na rozprawę?

- Aha.

- Dzieci też tam były, prawda? Wiem, że zeznawały jako świadkowie.

- Może zamieniliśmy ze dwa słowa. Ale tak naprawdę to ich nie poznałam.

Rozmowa z Keishą przypominała Tess walkę z odważnikiem, po który nurkuje się podczas egzaminu na ratownika. Jeśli nie trafi się na niego od razu, trzeba wypłynąć, wziąć oddech i spróbować ponownie.

- Dlaczego Donnie trafił do rodziny zastępczej?

- A dlaczego kogoś to obchodzi? To nie było w porządku, tyle pani powiem. Głupia pomyłka. Zabrali mojego synka bez powodu, pozwolili go zabić i nawet nie musieli nic płacić.

- Umieścili go w rodzinie zastępczej tak po prostu, bez przesłuchania?

Keisha przytuliła Laylę, pochylając głowę, żeby powąchać jej karczek. Uśmiechnęła się, jakby zapach dziecka działał jak aromaterapia. Tess zastanowiła się, czy trzeba być matką, żeby go poczuć, czy może karczek niemowlęcia pachnie miło dla każdego.

- Niech pani posłucha. To było dawno i mało pamiętam. Nie chcę pamiętać. Mam Laylę i jestem teraz dobrą matką, naprawdę dobrą, a ojciec mojego dziecka jest dobry dla mnie. Co mnie to obchodzi, czy zrobicie coś dla tamtych dzieci?

Jeden ze bratanków zaskomlał przez sen jak szczeniak. Keisha nie poruszyła się; stała w mrocznej jadalni, kołysząc Laylę w ramionach.

Tess położyła swoją wizytówkę na lodówce-stoliku do przewijania.

- Proszę się zastanowić - powiedziała. - A tak poza tym: Layla jest na prawdę słodka.

Przechodząc przez frontowy pokój minęła dwóch chłopców, śpiących tak mocno, że obicie starych sof wycisnęło im na buziach wzory. Wygniecione ubrania pozwijały się i poprzekręcały na chudych, zwartych ciałkach. Tess nie zauważyła wcześniej, że obaj mieli na nogach buty, wysoko zabudowane adidas, zapinane w kostkach na rzepy; buty, za które ktoś zapłacił dużo pieniędzy. Pewnie byli zbyt zmęczeni, żeby je zdjąć, zanim zasnęli. Ale

dłaczego Keisha lub jej bratowa nie rozpięły pasków i nie zsunęły im adidasów, delikatnie, żeby nie obudzić chłopców?

Tess pomyślała o letnich dniach, kiedy biegała bosą, beztroską i wolną. Wtedy jedyną jej obawą było to, że uderzy się w palec albo upuści słoik ze świetlikami. Na Washington Street dzieci nie znały nawet luksusu biegania bosą w śnie.

# Rozdział 6

MINĘŁO NIEMAL DZIESIĘĆ LAT, od kiedy babcia Weinstein zrezygnowała z dużego, starego domu na Windsor Hills i przeniosiła się do ciasnego mieszkania pod miastem, na północny zachód od Baltimore. „Bardzo tu miejsko”, skomentowała - ku radości całej rodziny, zaskoczonej, że wbrew swojemu zwyczajowi wyraziła się tak oszczędnie. Ostatecznie jednak zmiana miejsca była dla niej mniej istotna niż koszt utrzymania domu, wielkiego i popadającego w ruinę, z próchniejącym drewnianym dachem z gontów i zachwaszczonym ogrodem. „Mam ograniczone środki”, powtarzała swoim wnukom i prawnukom. „Wiecie, że dziadek nic zapewnił mi dobrobytu”. Wiedzieli, że wiedzieli.

Mimo to babcia starała się podejmować gości na poziomie, do jakiego przywykła za życia dziadka. Na urodzinową kolację Judith zaprosiła wszystkich: pięcioro dzieci, ich małżonków, wnuki i prawnuki: w sumie dwadzieścia osób. Gdyby taka gromada zesłała się w mieszkaniu babci, zmieniłoby się ono w zatłoczoną windę; windę pełną bibelotów i spanieli z porcelany, z których każdy miał imię i własną historię.

Dzieci babci Weinstein rozwiązały ten problem w zwykły sposób: podstępem. Matka Tess, Judith, zadzwoniła do swoich czterech braci, którzy zgodzili się, że pociągną zapałki. Przegrani pójdą na kolację, a pozostali wymyślą wiarygodne wymówki. Nawet ojciec Tess uciekł z haczyka, twierdząc, że ma konflikt w pracy. Monaghanowie i Weinsteinowie nie dogadywali się najlepiej. Lista gości ograniczyła się więc do babci, wujka Julesa i ciotki Sylwii, ich córki Debory i zięcia Aarona, wujka Donalda, wujka Spike'a, Tess i, oczywiście, gościa honorowego: Judith, która zorganizowała całe przyjęcie.

- Gdzie są wszyscy? - zapytała babcia, podczas gdy Judith kroić tort i rozdawała go siedzącym przy stole.

- Mają zobowiązania - powiedziała Judith. - Ludzie żyją teraz w takim pośpiechu.

- Cóż, Isaac i Nathan zawsze są w biegu. Dlatego mają tyle sukcesów. Ale przynajmniej twój mąż mógłby tu być. Czy Monaghanowie nie obchodzą urodzin? Bóg wie, że świętują wszystkie inne okazje.

- Patrick zabiera mnie w tym tygodniu do Chaty Perry'ego. - Judith odebrała kawałek ciasta palcami i wepchnęła do ust. Zabiłaby mnie, gdybym to ja zrobiła, pomyślała Tess.

- Do chaty? Z okazji pięćdziesiątych urodzin zabiera cię do chaty?

- To pięciogwiazdkowa restauracja i hotel, babciu - wyjaśniła Tess, bo matka wciąż miała usta pełne ciasta.

- O, na pewno to bardzo eleganckie miejsce. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego nie może być tak, jak kiedyś.

Tess mogła. Nie chodziło jedynie o stratę domu, chociaż był wspaniałym miejscem na urządzenie przyjęć: ogromna, wiktoriańska rezydencja na stoku wzgórza nad Gwynn's Falls, pełna tajemniczych zakamarków, takich jak stara winda kuchenna i pozostałości piwniczki na wina. Nie, to odejście dziadka zmieniło klimat ich rodzinnych spotkań. Przpracowany, przytłoczony obowiązkami, dziadek mimo to zasypywał ich swoją miłością. Babcia, która nie miała nic wspólnego z typową babcią, żydowską czy jakąkolwiek, podawała im niejadalne potrawy i żałowała każdego kęsa. Chyba że jedli mało: wtedy się obrażała.

- Tessie, nie jesz ciasta - odezwała się teraz, obserwując, jak Tess dzieli swój kawałek na pół, a potem znowu na pół. Trudno byłoby znaleźć ciasto, które nie smakowałoby Tess, ale babci zawsze się to udawało: wilgotny placek ananasowy z hipermarketu o konsystencji mrożonego koncentratu prosto z puszek.

Judith spojrzała na córkę ostrzegawczo. Zupełnie jakby Tess trzeba było przypominać o podstawowych zasadach tego spotkania: żadnej szczerości, żadnej nagiej prawdy, nic, co można uznać za obraźliwe. Oczywiście, zasady nie obowiązywały babci.

- Nie dam rady już nic zmieścić po tej pysznej kolacji.

- Judith nie może otworzyć prezentów, póki nie skończysz. Czy ktoś chce jeszcze kawy? Zaraz zrobię.

- Nie! - Judith niemal krzyknęła w panice: groziła im kolejna kulinarna zbrodnia w wykonaniu babci. - Chciałam powiedzieć, że ja to zrobię, mamo. Wiem, gdzie wszystko leży.

- Czyżby Judith przytyła? - zapytała babcia, kiedy jej córka zniknęła za drzwiami kuchni. - Czy to tylko ta sukienka?

I kto to mówi, skomentowała w duchu Tess, wciąż krusząc swój kawałek ciasta. Babcia Weinstein należała do tych starszych kobiet, które od ramion do pasa wydawały się samym biustem. Tess zastanawiała się, czy ten los czeka również jej ciało, niezależnie od tego, jak często ćwiczyła ze sztangą, biegała i wiosłowała. Każdego dnia gazety przynosiły nowe dowody na to, że biologia jest przeznaczeniem, a geny w końcu cię dopadną.

- Wyglądasz ostatnio bardzo zdrowo, Thereso Esther - powiedziała babcia figlarnie. Tess się wzdygnęła. Eufemizmy jej babci bolały bardziej niż obelgi z ust kogoś innego. Szpila, szpila, szpila. Jak na wizycie u kiegoś akupunkturzysty.

- Tess to piękna dziewczyna - odezwał się wujek Donald, jak zwykle nie wyłapując podtekstu. Zabawne, że w czasach, kiedy działał jako prawnik w kręgach politycznych, rozumiał znaczenie najdrobniejszych gestów posłów zgromadzenia stanowego w Annapolis i potrafił przewidzieć los ustawy na podstawie tego, w jaki sposób mówca podrapał się po głowie. Za to jeśli idzie o relacje wewnątrz własnej rodziny, wydawał się nieświadom wszystkich niuansów. - Kiedy idziemy razem ulicą, widzę, jak faceci gapią się na Tess. Myślą sobie, jak taki staruch zdobył taką wspaniałą panienkę.

- Tia. - Na babci nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. - Jeśli kobietę cieszy taki rodzaj uwagi, jest jak kość, której się zdaje, że pies ma zacne zamiary. Nic się nie liczy, póki nie masz na palcu obrączki. Pamiętaj o tym, Tess.

Ciotka Sylvie zareagowała natychmiast.

- A właśnie, kiedy zatańczę na twoim weselu, Tesser?

- Kiedy stan Maryland zakaze słuchania Michaela Jacksona.

Debora uśmiechnęła się do Tess nad głową synka, dwuletniego Samuela, nazwanego tak na cześć dziadka. Trzydziestosiedmioletnia obecnie Deborah poświęciła pięć lat i mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy dolarów, żeby sprowadzić go na świat, upierając się, że syn musi mieć te same geny, co rodzice. Ostrożnie z życzeniami, jak mówią Chińczycy. Samuel to miniaturowa wersja Aarona, a zdaniem Tess Aaron nawet w przybliżeniu nie był wart pięćdziesięciu tysięcy. Debora zrobiłaby lepiej, gdyby kupiła nieco spermy, pozbawionej genu bladej skóry, okrągłych, małych oczek i wąskich do zanku warg.

- Och, mamu, Tess jest bizneswoman - powiedziała Debora. - Słyszałam, że otworzyłaś własne biuro, na Wzgórzu Rzeźnika. Jak interesy?

- Świetnie. - Popołudnie nie mogło chyba być gorsze. Tess wędrowała z Esskay po okolicach domu Beale'a, pytając mieszkańców, gdzie są teraz Destiny, Treasure, Salamon i Eldon. Okazało się, że niemal wszyscy wiedzieli, kim jest jej klient, a ci, którzy nie wiedzieli, zakładali, że Tess jest gliną. Ani ci, ani tamci nie mieli ochoty powiedzieć jej więcej poza „Dzień

dobry”, „Nie”, „Do widzenia”. Byli grzeczni, owszem - po prostu nie chcieli z nią gadać. Nigdy przedtem nie czuła się tak bardzo biała. Aż do dzisiaj sądziła, że umie wzbudzić w ludziach zaufanie, ale jej uczciwa, otwarta twarz i zyczliwy uśmiech nie ujęły nikogo. Nawet zachęcające pomruki Esskay nie zdołały przełamać lodów.

- Nie denerwujesz się trochę? Taka okolica...

- Nie jest tak źle.

- Naprawdę? Zdaje mi się, że czytałam w zeszłym tygodniu, że przy pagodzie w Parku Pattersona znaleziono ciało prostytutki. Ktoś zadzgał ją nożem i pobił.

Deborah pewnie nie umiałaby podać nazwiska aktualnego prezydenta, ale nie mogła przeoczyć kilkudzaniowej notki w „Beacon Light”.

- Była czarna? - zapytała babcia.

- W gazecie nie napisali.

- Nie powinni - odezwała się Tess. - Nie podają rasy, chyba że to ma znaczenie...

- Czarna - zawyrokowała babcia. - Dobrze, niech się nawzajem wymordują. Pewnie zostawiła pięcioro dzieci, na które społeczeństwo musi płacić.

Wszyscy popatrzyli na sufit, a wujek Donald nerwowo odchrząknął, ale nikt się nie odezwał.

Judith wystawiła głowę zza drzwi kuchni.

- Kawa gotowa. Podnieście rękę, kto ma ochotę.

- Thereso Esther, ty leniwa dziewczyno, idź natychmiast pomóc matce - skarciła Tess babcia. - W końcu to jej urodziny.

W domu babci obowiązywała ścisła hierarchia, która dotyczyła również prezentów. Wujek Spike zawsze wręczał swój upominek pierwszy, ponieważ jego pozycja w rodzinie była dość niejasna. Weinsteinowie podejrzewali, że jest Monaghanem, Monaghanowie uważali go za Weinsteina. Wujek utrzymywał ich w niepewności, biorąc udział we wszystkich rodzinnych uroczystościach, nawet tych, na które, jak dzisiaj, nie został zaproszony.

W tym roku Spike złożył się na prezent z wujkiem Donaldem. Podając matce wielkie, ciężkie pudło, Tess poczuła dreszczyk złego przeczucia. W paczce znajdowało się chyba urządzenie elektroniczne. Wujek Spike, właściciel baru i bukmacher, kupował takie sprzęty prosto z ciężarówek, a wujek Donald znany był z tego, że bardzo dba o zaopatrzenie swojego urzędu stanowego we wszelkie dobra, na przykład odtwarzacze wideo i magnetofony.

- Och, radio z odtwarzaczem płyt! - powiedziała uszczęśliwiona Judith.

- Skąd wiedzieliście, że chciałam mieć takie w kuchni?

- Mam swoich szpiegów. - Wujek Donald mrugnął do Tess. - Podoba ci się? Zawsze możemy... wymienić, jeśli wolisz coś innego.

Wujek Spike spojrział z niepokojem znad drugiego kawałka ciasta ananowego. A więc to on odpowiadał za wybór tegorocznego prezentu.

- Nie, nie, jest takie, jak trzeba. Dziękuję, dziękuję wam obu.

Wujek Jules, właściciel sklepu jubilerskiego, podszedł następny, z pudełkiem w firmowym papierze w żółto-zielone paski, owiniętym żółtą wstążką. Każda z kobiet z rodziny Weinsteinów dostawała na urodziny takie pudełko. Zawartość stanowiły zawsze cacka, ale niekoniecznie odpowiednie dla danej osoby. Tess podejrzewała od dawna, że Jules kupował prezenty za pół ceny albo wybierał spośród towarów, których nie udało mu się sprzedać. Tym razem w pudełku znajdował się komplet srebrnych grzebieni z turkusami, jakich Judith nigdy by nie założyła, chociaż mogłaby je nosić Tess. Babcia nie byłaby sobą, gdyby przepuściła taką okazję.

- Jules, to nie dla Judith. Co ty sobie myślałeś? Ona ma w końcu pięćdziesiąt lat i młodsza nie będzie. Może nadałyby się dla Tessie, pasowałyby do jej oczu. Ach, zapomniałam. To Deborah ma zielone oczy, a twoje są bardziej szaroniebieskie, prawda, Tessie? Nawet ładne... w swoim rodzaju.

„Jeszcze jeden prezent dla mamy i wychodzę”. Swoją prezent dała już mamie wcześniej, w domu rodziców: zestaw ręcznie wykonanych cynowych miarek z łyżeczkami. Judith chyba się podobały, ale Tess nagle zrozumiała, że jej matka, choć gotowała dobrze, być może nie znajdowała w tym szczególnej radości. Jako jedyna córka kobiety, która ze szczególną rozkoszą masakrowała jedzenie, została zesłana do kuchni w młodym wieku i została tam z konieczności.

Babcia wręczyła Judith kopertę. Swoim czterem synom i jednej córce zawsze dawała w prezencie kopertę z czekiem na pięćdziesiąt dolarów, podczas gdy wnukom z okazji urodzin i Chanuki przysługiwało po dwadzieścia pięć dolarów. Tess sądziła, że Judith i jej bracia dostają чеки na wyższą sumę, ponieważ system jest wzorowany na odszkodowaniach wojennych. Ci, którzy ucierpieli najbardziej, otrzymują najwięcej.

Tym razem jednak zamiast zielonego czeku Judith wyciągnęła z koperty złożoną kserokopię.

- Co to? Wygląda jak akt własności ziemi.

- Moja wielka niespodzianka - oświadczyła triumfalnie babcia. - Daję wszystkim moim dzieciom i wnukom równe udziały gruntów w północnym okręgu, które zostawił mi Samuel. Okazuje się, że na części terenu chcą stawiać centrum handlowe. Sprzedaż dojdzie do skutku jeszcze tego lata. Dziadek wreszcie zrobił jakiś dobry interes, chociaż opłacił się dopiero dzieśięć lat po jego śmierci.

- Ciekawe, że nie musiał tego sprzedać, kiedy ogłosił bankructwo - powiedział wujek Jules, zakładając okulary, żeby przeczytać dokument. On również miał mieć swój udział w tym deszczu bogactwa, podobnie jak Debora.



- To była prywatna inwestycja. Samuel chciał zbudować dom na wsi, żeby zamieszkać tam na emeryturze. Kto mógł pomyśleć, że ta ziemia będzie coś warta? Tak daleko od miasta? Chociaż co teraz znaczy „daleko”, skoro ludzie uciekają z miasta. Płaciłam podatki i trzymałam akt w garści, i wreszcie się doczekałam. Mój prawnik mówi, że możemy dostać nawet dwieście tysięcy dolarów, jeśli dobrze to rozegramy.

Akt własności krążył wokół stołu, podawany z rąk do rąk, i w końcu dotarł do Tess. Pięcioro dzieci, czworo wnucząt, dwieście tysięcy dolarów: dla każdego ponad dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Jeśli dobrze to rozegramy.

Los wreszcie uśmiechnął się do Weinsteinów. Bóg jeden wie, że na to zasłużyli. Uśmiechnął się też do Tess. Po sfinalizowaniu transakcji będzie miała zabezpieczenie, więcej niż potrzeba, żeby przetrwać chude lata.

Dobry, kochany dziadek. Zupełnie jakby sięgnął z zaświatów i wrzucił do automatu kolejną ćwierćdolarówkę, fundując Tess jeszcze jedną jazdę na latającym króliku.

# Rozdział 7

Nic: DZIWNEGO, ZE BURMISTRZ BALTIMORE każdego ranka tuż po przebudzeniu spogląda na południe i uśmiecha się szeroko. Niezależnie od tego, jak źle działa się w jego mieście, mógł być pewien, że w stolicy stanu, Waszyngtonie, jest jeszcze gorzej. Wyższy odsetek zabójstw, niższy poziom w szkołach, większe dziury w jezdniach i burmistrz z wyrokiem za narkotyki - tak to wyglądało, dopóki miasto w desperacji nie postanowiło powołać rady nadzorczej i oddać jej tego całego bałaganu. Tak, tak, zawsze może być jeszcze gorzej, wydawały się nucić wyboiste ulice Waszyngtonu pod kołami samochodu Tess, która jechała do szkoły Nelsonów na Capitol Hill. Akademia Benjamina Bannekera mieściła się w przypominającym forteczę budynku z piaskowca, zajmowanym wcześniej przez bank, w nie najgorszym kwartale na wschód od Kapitolu. Tess знаła tę okolicę dość dobrze, ale nigdy nie umiała przywyknąć do urbanistycznej szachownicy: odnowione domy jednorodzinne na zmianę ze zrujnowanymi szeregowcami. W Baltimore okolica była albo dobra, albo zła, i łatwo unikało się niebezpiecznych miejsc. Na Capitol Hill można było kupić kawę za trzy dolary i heroinę za dziesiątaka - jedno o pięć minut pieszo od drugiego. Jeden zakręt w niewłaściwą stronę i człowiek nagle grał główną rolę we własnej wersji Fajerwerków próżności.

Tess pchnęła wielkie drzwi Akademii Benjamina Bannekera. Zamknięte. Dość nietypowe jak na szkołę, ale w tej okolicy jak najbardziej na miejscu. Nelsonowie zapewne są przeczulenii na punkcie bezpieczeństwa, zważywszy na okoliczności śmierci Donniego Moore'a. Wcisnęła dzwonek i czekała na kamiennych schodach. W drzwiach pojawiła się głowa młodego mężczyzny o okrągłej twarzy.

- Nic ma odwiedzin w czasie lekcji, szanowna pani.

- Państwo Nelsonowie czekają na mnie.

Obejrzał Tess od stóp do głów, po czym bez słowa zamknął drzwi; wrócił po kilku sekundach i wpuścił ją do środka. Nosił ciemnoniebieski uniform w wojskowym stylu, spodnie miały kanty ostre jak brzytwa, a w butach można by się przejrzeć. Okrągłe policzki nadawały jego twarzy dziecienny wyraz, ale był szczupły i dobrze zbudowany, z mięśniami ciężarowca, które rozpychały uniform na szwach.

- Przykro mi, szanowna pani. Jako dyżurny dostałem wyraźne polecenie, żeby nikogo nie wpuszczać, zwłaszcza dziennikarzy.

- Nie jestem dziennikarką.

Wyglądał na bardzo zaskoczonego, jakby nie umiał sobie wyobrazić, że biała kobieta, pukająca do drzwi Akademii Benjamina Bannekera, może zajmować się czymś innym niż dziennikarstwo. Szczupła kobieta w kwiecistej szmizjerce pojawiła się w holu, naciągając na ramiona biały, rozpinany sweter. Jej postawa była jeszcze bardziej imponująca niż sylwetka dyżurnego: tak prosta i poprawna, że od samego patrzenia na nią Tess poczuła ból kręgosłupa.

- Pani Monaghan?

- Tak, to ja dzwoniłam w sprawie Donniego...

- Oczywiście. - Kobieta dotknęła łokcia młodego dyżurnego. - Drew, możesz wracać na swoje miejsce. Gdybyś czegoś potrzebował, pan Nelson i ja będziemy w gabinecie.

Poprowadziła Tess do małego, ciemnego pokoju, obudowanego pustymi półkami na książki. Najwyraźniej grant dla Akademii nie zaliczał się do wysokich: wszystko tu było stare i podniszczone. Tess przyjrzała się globusowi w rogu: naprawdę pięknemu, z państwami w mocnych, nasyconych kolorach i jasnoniebieskimi oceanami. Takie globusy zwykle kosztują fortunę, ale ten miał już swoje lata. Europa, Rosja i Afryka wyglądały zupełnie inaczej niż dziś.

Pan Nelson, krępy wąsаты mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami, wstał z wyblakłego fotela, stojącego przy oknie, i podał jej rękę.

- Witamy w Akademii Benjamina Bannekera. - Jego głos nie brzmiał szczególnie zachęcająco. Szybko cofnął dłoń, jakby brzydził się dotyku palców Tess.

- Dziękuję. Muszę powiedzieć, że nieco się pogubiłam. Czy to jest szkoła, czy sierociniec?

- Jedno i drugie - odparł pan Nelson. - Ale nie lubimy określenia „sierociniec”. Akademia Bannekera to szkoła publiczna. Otrzymujemy dofinansowanie w ramach programu podnoszenia poziomu szkół państwowych. Jednocześnie prowadzimy tu rodzinny dom dziecka. Uczniowie są kierowani do szkoły przez miejski system opieki społecznej.

- To znaczy, że bierzecie pieniądze z dwóch źródeł.

Pan Nelson zmarszczył brwi.

- Nie robimy nic nielegalnego, jeśli coś takiego pani insynuuje. To dwa odrębne programy pod jednym dachem.

- Nie chciałam sugerować...

- Jestem pewien, że pani nie chciała - uciął.

Wspaniale, Tess udało się go obrazić zaraz na początku rozmowy, kiedy miała być miła i ujmująca. Patrz i ucz się, Dale Carnegie, Tess Monaghan pokaże ci, jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi.

Pani Nelson włączyła się do rozmowy, starając się wygładzić wyboistą konwersację.

- Przekonaliśmy władze, żeby pozwoliły nam otworzyć szkołę dla naszych podopiecznych. Uczymy ich i jesteśmy dla nich rodzicami. Jeśli George i ja wyciągnęliśmy wnioski z naszych wcześniejszych... błędów, to że nie ma sensu dbać o wychowanie dzieci, jeśli posyła się je do szkół, w których całe to wychowanie idzie na marne.

„Ach, więc teraz to вина systemu szkolnictwa Baltimore, że dzieciaki Nelsonów szalały w nocy po ulicach. Więc nikogo nie można oskarżyć o to, co stało się pięć lat temu na Fairmount Avenue?”

- Nasi chłopcy mają teraz ciągłość. Kwitną - mówiła dalej pani Nelson, cicho, ale z uczuciem. - Oczywiście, że nie potrafimy ich uczyć wyższej matematyki ani fizyki, ale gdyby któryś chciał, możemy mu załatwić nauczyciela przez kuratorium. Kiedyś stworzymy tu własny program dla utalentowanych dzieci i nauczyciele będą się zabijać, żeby u nas pracować.

- Kiedyś - powiedział pan Nelson, najwyraźniej bardziej realistyczny niż bujająca w obłokach żona. - Wiemy, jak to zrobić.

- Mówiąc o swoich błędach, rozumiem, że miała pani na myśli Donniego Moore'a.

Nelsonowie popatrzyli na siebie. Mężczyzna ledwo zauważalnie kiwnął głową, jakby pozwalał żonie mówić na zakazany od dawna temat.

- Donalda - odezwała się pani Nelson. - Tak, myślałam o Donaldzie.

- Staram się znaleźć pozostałe dzieci, które mieszkały z wami, kiedy Donald został zabity. - Tess nigdy nie słyszała, żeby ktoś używał oficjalnej wersji jego imienia: ani matka, ani detektyw Tull, ani nawet dziennikarze, ale postanowiła się nim posługiwać, jeśli miało to chociaż trochę zbliżyć ją do Nelsonów.

- Dlaczego?

Tym razem Tess była przygotowana na to pytanie lepiej niż podczas rozmowy z Keishą Moore.

- Chce im pomóc lokalna grupa praw ofiar.  
- Teraz? Chyba jest nieco za późno? Dzieci pewnie doszły do siebie, a pani... ta pani grupa... chcecie przypomnieć im ten horror. - Pani Nelson naciągnęła sweter na ramiona, jakby sama myśl o Wzgórzu Rzeźnika sprawiła, że zrobiło jej się zimno. - Taki rodzaj dobroczynności nie ma zbyt wiele wspólnego z miłością.

- Nikt nie chce, żeby jeszcze raz przechodziły przez to wszystko. Jeśli państwo mieliście z nimi jakiś kontakt...

- Nie - rzucił pan Nelson ostro. - Nie mieliśmy. Nie wiedzą, gdzie teraz jesteście, a my nie wiemy, gdzie one są. Tak to jest z rodzinami zastępczymi. Wzięliśmy je, dbaliśmy o nie, kochaliśmy je, ale nie mieliśmy do nich praw. Były naszymi dziećmi, tak jak rodzone. Ale kiedy Donald zginął, zabrali je nam, jeszcze tej samej nocy. Ten podły staruch zniszczył nasz dom i całą naszą pracę. Mógłby równie dobrze pozabijać wszystkie dzieci.

Pani Nelson płakała bezgłośnie. Jej mąż złapał Tess za ramiona i odwrócił ją w stronę okna.

- Niech pani patrzy - powiedział, trzymając ją, jakby się bał, że ucieknie. Zobaczyła dziesięciu młodych mężczyzn, ćwiczących musztrę w rytm komend, które wykrzykiwał komendant. Na podwórzu było gorąco i chłopcy spływali potem; mimo to powtarzali ruchy z zajądłą determinacją, prędko i precyzyjnie.

- Ci młodzi ludzie kochają dyscyplinę - mówił Nelson. - Pragną jej. Całe życie czekali na kogoś, kto powie, że są dość dobrzy, żeby sprostać najwyższym standardom. Donald i tamte dzieci żyli w świecie, który mówił im: „Jesteś niczym, nigdy nic nie osiągniesz, po prostu rób to co inni, na tyle cię stać”. A na wypadek, gdyby te biedne dzieci nie zrozumiały lekcji, gdyby jeszcze nic nie wiedziały, jak mało warte jest ich życie, za zabicie Donalda sędzia wydał łagodniejszy wyrok, niż dostaje się za zabicie psa.

Młodzi mężczyźni maszerowali teraz w miejscu, krzycząc rytmicznie. Tess nie słyszała słów, ale wyczuwała w ich ruchach radość, z jaką reagowali na komendy dowódcy.

- Niech pani zostawi nasze dzieci w spokoju - rzekł z naciskiem pan Nelson. - Niech im pani pozwoli zapomnieć. Zapomnienie to teraz ich jedyny ratunek.

- Ci, którzy nie pamiętają przeszłości, są skazani na jej powtarzanie.

- Naprawdę pani w to wierzy?

Tess wzruszyła ramionami. Warto było spróbować tego cytatu z Santayany

- Czasem.

Jej szczerść sprawiła, że chłód pani Nelson nieco stopniał.

- Jeśli to może panią pocieszyć, nie mogłabym pomóc, nawet gdybym chciała. Dla nas te dzieci również przepadły. Sądzę, że to kara za to, że nie zadaliśmy o nie lepiej.

- Ale uratujecie tych chłó... młodych ludzi. - To było raczej pytanie, nadzieja, niż stwierdzenie faktu.

Pan Nelson pokręcił głową.

- Chciałbym móc im to obiecać. Ale mogę im tylko obiecać, że są bezpieczni, tutaj, na tym małym kawałku ziemi, z nami. Ostatecznie wszyscy pójdą w świat i wtedy nic już nie zdołamy zrobić. Na pewno nie będzie już tak, jak z Donaldem Moore'em, nie pod naszym okiem.

Co mogła powiedzieć po takiej przemowie? Plan Luthera Beale'a, jego pragnienie odpłaty wydawały się żałośnie banalne i mizerne w obliczu poświęcenia, jakie Nelsonowie okazywali wobec swoich podopiecznych.

- Niech pani idzie w pokoju! - zawołała za nią pani Nelson głosem jeszcze nieco drżącym od płaczu.

Ten sam dyżurny wyprowadził Tess z Akademii. Pod wrażeniem jego doskonałej postawy Tess nieświadomie wyprostowała kręgosłup i wciągnęła brzuch.

- Podoba ci się tu? - zapytała, kiedy otwierał główne drzwi.

- O tak, szanowna pani.

- Czego cię tutaj uczą?

- Sztuki przetrwania.

- To znaczy?

Młody mężczyzna uśmiechnął się do niej przeuroczo i z wyższością zarazem.

- Uczą nas, jak przeżyć w naszym świecie, i jak przeżyć w waszym. Proszę uważać w drodze do samochodu. W tej okolicy zdarzają się źli ludzie.

Tess jechała na północ autostradą Baltimore-Waszyngton, kiedy jej plecak zaczął dzwonić. Zaskoczona, niemal zjechała z pasa, zanim przypomniała sobie o komórce, wrzuconej do środka między długopisy i pogniecione wydruki z bankomatów. Doświadczenie ostatniego roku nauczyło ją, że nie powinna ruszać się nigdzie bez komórki, choć z drugiej strony salda na wydrukach wskazywały, że na komórkę jej nie stać.

- Tu Dorie. Nienawidzę komórek.

- Na pewno nie tak bardzo, jak ja nienawidzę tej wiecznie remontowanej drogi. Wlokę się jak żółw.

- Jedziesz dość wolno, żeby coś zanotować? Czy odbijesz na następnym zjeździe i oddzwonisz do mnie? Mam dla ciebie te informacje o Susan King.

- Zatrzymam się zaraz i zadzwonię do redakcji.

Tess zjechała w alejkę, wzdłuż której stał szereg publicznych telefonów. Kiedyś musiało się to wydawać cudem nowoczesnej techniki: skręcasz w zatoczkę i możesz dzwonić, nie wysiadając nawet z wozu. Dziś to już przeżytek. Ale połączenia były tańsze niż z komórki.

- Dobrze, mam notes. Zastrzel mnie, Dorie. Co wiesz o Susan King?

- Po pierwsze nie nazywa się już Susan King, tylko Jacqueline Weir. Zmieniła nazwisko, kiedy skończyła osiemnaście lat. Pewnie myślała, że w ten sposób najlepiej ukryje się przed rodziną.

- I tak było, póki jej rodzina nie zdobyła dostępu do magicznych paluszków Dorie. - Pochlebstwa stanowiły część układu z Dorie. - Sądziś, że zmieniła nazwisko, bo chciała się ukryć? Z tego, co mówiła jej siostra, straciła kontakt z rodziną, kiedy odeszła po konflikcie z matką.

- Jacqueline Weir ma bardzo dobry powód, żeby unikać rodziny. Pieniądze. Jak na trzydziestodwulatkę jest świetnie ustawiona. Prowadzi własną firmę. Według papierów zajmuje się konsultingiem, ale to może znaczyć wszystko. Musi jej się powodzić, bo ma bardzo duży limit kredytowy. Wzięła też pożyczkę, sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów na kondominium w Columbii.

- To nic wielkiego - zaproponowała Tess, notując adres.

- Nie, ale zabezpieczeniem pożyczki są jej akcje, a niewiele trzydziestodwulatek może się pochwalić takim portfelem. Mniej więcej dwieście tysięcy dolarów na zamknięcie wczorajszego dnia. Ciekawe, ile ty masz oszczędności?

- Nie mów mi, że wydobyłaś jej raport kredytowy. Umawialiśmy się, że to ostateczność.

- Dobrze, dobrze, nie wyciągnęłam. Uznajmy, że szósty zmysł mówi mi, że byłby doskonały. Co jeszcze? Aha, jeździ nowiutkim lexusem, kupionym na firmę. Oszczędza na podatkach. Ta Susan King-Jacqueline Weir to chytra lisiczka. Znalazłam dokumenty jakiegoś postępowania z nazwiskiem Susan King, ale ona nazywała się już wtedy Weir, więc pewnie chodzi o inną osobę albo to nie było nic ważnego. Gdyby ktoś naprawdę chciał ją znaleźć, raczej by mu się nie udało. Myślę, że miała jakiś niezapłacony kwit parkingowy, jakiś drobiazg.

- Taka bogata i nie płaciłaby za parking?

- Nie mówię, że jest milionerką, ale najwyraźniej ma dość pieniędzy, żeby ubożsi krewni mogli ze spokojnym sumieniem prosić ją o pomoc.

Tess pomyślała o Mary Browne w drogim żółtym kostiumie, który pasował do butów, dopasowanych z kolei do koloru wstążki na kapeluszu.

Matka Tess ubierała się w taki sposób, co nie wychodziło tanio: same ranchunki za obuwie mogły przyprawić o zawał.

- Jej siostra nie wyglądała, jakby jej czegokolwiek brakowało.  
- To część planu, prawda? Nie zdobędziesz pieniędzy, jeśli wyglądasz, jakbyś ich nie miała. Przy okazji, sprawdziłam nazwisko Mary Browne z datą urodzenia, którą mi podałaś.

- I?

- W samym Maryland znalazłam około setki. Z „e” na końcu, bez „e”, ale przynajmniej sto kobiet mogłoby być twoją klientką. Tylko że żadna nie urodziła się tego dnia.

- Wiedziałam, że kłamała o swoim wieku.

- Niewykluczone. - Dorie nie była przekonana. - A może nie posługuje się prawdziwym nazwiskiem. A może nie pochodzi z miejsca, o którym mówiła. A może nie jest siostrą tamtej kobiety, a może wcale nie wiesz, dlaczego szuka Susan King, która próbuje poukładać sobie życie na nowo jako Jacqueline Weir.

Tess spojrzała na zegarek.

- Jestem niedaleko od zjazdu do Columbii. Posłuchaj: podjadę do Jacqueline Weir i jeśli jest w domu, spróbuję się czegoś dowiedzieć. Nie powiem, kto mnie wynajął. Szczęśliwa?

- Będę, jak zobaczę czek od ciebie.

Tess odwiesiła słuchawkę i z trudem włączyła się do ruchu. Jadąc powoli w tłoku, myślała tylko o tym, co Dorie mogłaby znaleźć w elektronicznych bazach danych na temat Theresy Esther Monaghan. Dwunastoletnia toyota. Żadnego kredytu mieszkaniowego, tylko pożyczka na rozkręcenie firmy, żyrowana przez Kitty i Tynera. Brak innych informacji dotyczących firmy: ostatecznie należała do Edwarda Keyesa, chociaż nazwisko Tess, jako wiceprezeski, też znalazło się w papierach. Czuła się bezpieczna i zadowolona, że nie zostawia elektronicznych śladów. Z drugiej strony miała też poczucie klęski - ważni ludzie na pewno nie mogą iść przez życie anonimowo, jak ona.

Zamyślona głęboko nad swoim elektronicznym profilem, niemal przegapiła zjazd do Columbii. W ostatniej chwili skręciła na drogę 175 i pojechała na zachód, w kierunku miejsca, w którym władze stanu Maryland podjęły ostatnią próbę stworzenia Utopii.

Columbia, wzniesiona w szalonych i optymistycznych latach sześćdziesiątych, miała być rewolucją w rzeczywistości amerykańskich przedmieść z wymierzonymi i wyliczonymi skrawkami zieleni. „Nowe miasto”, nowy styl życia. Ostatecznie jednak jedynym dziedzictwem Columbii okazały się dziwaczne nazwy zaułków: Plac Dumnej Stopy, Droga Otwartego Okna, Morska Zmiana. Utopia stała się kolejnym zwykłym przedmieściem, sypialnią Baltimore i Dystryktu Columbia. Jej twórca, architekt James Rouse, zaśląnął



jako twórca naśladowanych powszechnie marketów rozrywkowo-handlowych w historycznych centrach miast, od bostońskiego Faneuil Hall po Harborplace w Baltimore. Chciał zmienić sposób życia ludzi, sposób, w jaki turyści robią zakupy. To tyle w temacie wizjonerstwa, pomyślała Tess. Cóż, przynajmniej zamieszkał w jednym ze swoich dzieł, a na emeryturze budował domy dla najuboższych.

Kondominium Jacqueline Weir znajdowało się w okolicy zwanej Zatoką. Tess wędrowała wśród ceglanych, zdobionych stiukiem budynków niemal kwadrans, nim wreszcie odszukała dwupoziomowe mieszkanie z oknami wychodzącymi na wąski kanał, wpadający do sztucznego jeziora Wilde, o tej porze roku płaskiego jak stół i jaskrawozielonego od kwitnących alg.

Wciąż słyszała w głowie wątpliwości Dorie. A jeśli Jacqueline Weir nie chce zostać znaleziona? A jeśli ma uzasadnione powody, żeby nie kontaktować się z siostrą? A może Mary Browne nie jest wcale jej siostrą? Tess nie mogła przecież stanąć przed drzwiami i powiedzieć: „Halo, zostałam wynajęta, żeby panią odszukać, jak pani uważa: dlaczego nie powinnam?” Mogła za to - uzbrojona jedynie w notatnik i neutralne wizytówki - udać, że jest ankieterką i wydobyć z Jacqueline Weir wszystkie potrzebne informacje. Może też podać się za przedstawicielkę jednego z tych nowych internetowych serwisów, które pomagają ludziom nawiązać kontakt po latach, i obserwować reakcję Jacqueline na ofertę darmowej usługi. Zapukała energicznie, skupiona na swoim zadaniu.

Cisza. Żadnego ruchu w mieszkaniu. Dorie powiedziała, że Jacqueline-Susan pracuje poza domem, ale kto wie, gdzie może być konsultant w środku dnia? Zapukała ponownie. Tym razem z wnętrza dobiegł stukot obcasów. Doskonale. Wyprostowała się nieco, przypomniawszy sobie wyprężone plecy młodego dyżurnego z Akademii Bannekerki i pani Nelson. Przyglądała włosy wolną ręką. Kłamstwa już nie mogły się doczekać, kiedy wypuści je w świat.

Wszystkie pierzchyły jak ptaki, kiedy drzwi się otworzyły. Tess nie mogła wykrztusić słowa.

- Sądziłam, że dotrze tu pani szybciej - powiedziała kobieta, którą znała jako Mary Browne. - Mimo to, biorąc pod uwagę okoliczności, poradziła sobie pani całkiem dobrze.

# Rozdział 8

KIM TY WŁAŚCIWIE JESTEŚ?

- Jackie Weir - powiedziała kobieta, którą Tess znała jako Mary Browne. Z pewnością była ubrana jak Mary Browne: w koronkowy garnitur z białym wykończeniem przy mankietach i kołnierzu. Białe były też szpilki, perłowe kolczyki i podwójny sznur pereł na brązowej szyi. Cały ten wypracowany strój tylko po to, żeby siedzieć w domowym biurze, czekając na Tess i na puentę tego chorego żartu.

- Ale Jackie Weir to Susan King.

- Zgadza się.

- A Mary Browne wynajęła mnie do odnalezienia Susan King. Wynajęłaś mnie, żebym odnalazła ciebie. - Przez chwilę Tess żałowała, że nie nosi przy sobie broni. To było czyste wariactwo, a wariaci ją denerwowali.

- Tak, i udało ci się. Gratulacje. Jak mówiłam, spodziewałam się ciebie szybciej. To nie jest takie trudne, kiedy się już odkryje zmianę nazwiska. Każdy kompetentny prywatny detektyw powinien dać sobie radę. Mimo to jestem pod wrażeniem.

Wciąż stały w holu mieszkania Mary - Susan, nie: Jackie. Tess wpatrywała się w parkiet, zabójcze z wyglądu białe szpilki Jackie i własne nubukowe buty na płaskim obcasie. Zamówiła je z katalogu Tweedsa. Jej zdaniem miały kolor przechodzonej żółci, ale katalog nazywał go „kukurydzianym”. „Dlaczego myślę o butach?” Ponieważ była zakłopotana i upokorzona. Skoncentrowanie na butach pomagało jej ukryć, jak bardzo jest wściekła.

- Nie podoba mi się to wszystko - zaczęła. - Przyszłaś do mojego biura, okłamałaś mnie...

- Rozumiem, że ty nigdy nie kłamiesz.

Tess pominęła to milczeniem.

- Zmarnowałaś mój czas.

- Zapłaciłam za niego. Stawiasz dopiero pierwsze kroki jako prywatny detektyw, na początek powinnaś rozwiązywać proste sprawy. Wiem, jak to jest, kiedy się zaczyna nowy interes. Nigdy za dużo prostych zleceń. Ale moje następne zlecenie jest trudniejsze. Nie będzie tak prosto znaleźć osobę, której naprawdę szukam.

Tess podniosła oczy.

- Dlaczego uważasz, że będę chciała dla ciebie pracować? Po tym, jak mnie przerobiłaś?

Jackie obdarzyła ją uśmiechem bizneswoman, która podczas negocjacji nieraz musiała dopieszczać trudnych przeciwników i łagodzić konflikty, żeby dojść do „tak”.

- Już po dwunastej. Możemy porozmawiać o tym podczas lanczu? Po drugiej stronie ulicy jest Clyde's.

- Nie chcę do Clyde's - powiedziała Tess krnąbrnie, jak dziecko. - Nie wybaczę im tej mdłej piosenki, Afternoon Delight.

- Więc jedźmy do Clarksville.

- A co tam jest? Miejskowa Dairy Queen?

Hot dog i deser z fistaszkami - właśnie tego było Tess potrzeba. Za jedyne minus mieszkania w wielkim mieście uważała poważny niedobór barów Dairy Queen.

- Najwyraźniej nie jesteś na bieżąco z rynkiem nieruchomości w hrabstwie Howard. Clarksville to bardzo szykowna okolica. Jest tam doskonała francuska restauracja. Droga, ale warta swojej ceny. Ja stawiam.

- Oczywiście, że ty - odpowiedziała Tess. - W końcu masz portfel akcji, które wczoraj na zamknięcie dnia były warte prawie dwieście tysięcy dolarów.

Patrzyła z satysfakcją, jak oczy Jackie Weir się rozszerzają. Dobrze. Całą drogę będzie się zastanawiać, co jeszcze Tess odkryła podczas swoich poszukiwań.

Clarksville bardzo się zmieniło. Tess pamiętała je jako wieś z rzadko rozrzuconymi wśród pól i drzew skromnymi domkami. Teraz w zadbanym krajobrazie stały okazałe domy, z rodzaju tych, jakie nawet tuż po wybudowaniu nie wyglądają na świeżo ukończone, a ich ogrody nigdy nie są nagie i puste. Właściciele, którzy wydali tyle pieniędzy, nie mogą znieść wokół siebie nic poza natychmiastową perfekcją. Ale to właśnie brak niedociągnięć, brak śladów jakiegokolwiek spontaniczności, takich jak przewrócony rower na podjeździe, zrobił na Tess odpychające wrażenie.

- Minirezydencje, tak się je nazywa na rynku - wyjaśniła Jackie, kiedy jechały na zachód. - Działka o powierzchni co najmniej sześciu tysięcy metrów i wszystko wykonane wyłącznie z naturalnych materiałów.

- Widziałam dom z lawendowego kamienia. To ma być naturalne?

- Dokładniej mówiąc, z niebieskofioletowego. Właściciel kazał polakierować swojego mercedesa na ten sam kolor. A może na odwrot?

Napatrzywszy się na przerośnięte i przeładowane ozdobami domy, Tess spodziewała się, że restauracja również będzie miała proporcje jak z koszmarnego snu. Ku jej uldze Trouve okazało się małym wiejskim domkiem z polnego kamienia, który wyglądał, jakby przeniesiono go wprost z francuskiej prowincji. Gdyby nie parking, pełen drogich samochodów, lokal można by pomylić ze zwykłym gospodarstwem, którym dawniej był.

- Czy ma pani rezerwację na dzisiaj, panno Jacqueline? - zapytał szef restauracji. Przyglądając się niemal całkowicie zapełnionej sali, Tess poczuła się nagle jak ostatni łachmyta. Jej strój na ciepłe dni składał się z luźnych, nie dotykających skóry rzeczy - dzisiaj były to biały podkoszulek i długa do kostek bawełniana spódnica, pod którą nie musiała wkładać rajstop, wszystko mocno wygniecione po długiej jeździe samochodem.

- Nie zaplanowałam tego wcześniej, ale miałam nadzieję, że znajdziesz dla nas miejsce, Michel.

- Oczywiście.

Tess sądziła, że dwie kobiety - z czego jedna niechlujnie ubrana - zostaną posadzone gdzieś koło kuchni albo toalety, ale Michel poprowadził je do stolika tuż przy wielkim oknie, wychodzącym na sad owocowy, za którym rozciągała się łąka.

Jackie uznała, że czas się nieco pochwalić.

- Jak mówiłam, często przychodzę tutaj z klientami.

- Czym się dokładnie zajmujesz?

- Profesjonalnym zdobywaniem funduszy. Zaczęłam w szpitalu na przedmieściach Waszyngtonu, potem zrozumiałam, że więcej zarobię, pracując na kontraktach. Wspieram akcje społeczne, żeby uspokoić sumienie... Rzecznicy Dzieci i Młodzieży, Ośrodek Zdrowia dla Bezdomnych, Dom Manny... ale to ledwo opłacalne. Prawdziwe pieniądze to projekty kapitałowe.

- A politycy?

- Na początku owszem, teraz już rzadko dla nich pracuję. Wolę choroby od polityków.

- A kto nie woli?

Jackie spojrzała znad menu, wyraźnie zbита z tropu.

- Żart - wyjaśniła Tess.

- A, rozumiem - odparła Jackie, ale się nie uśmiechnęła.

Cokolwiek o niej myśleć, Jackie - Tess wciąż miała problem z zapamiętaniem jej właściwego imienia - mogła się pochwalić świetnym apetytem. Zamówiła przystawkę, sałatkę i danie główne, co oznaczało, że Tess może iść w jej ślady, nie tłumacząc się, że rano wioślowała i przebiegła pięć kilometrów. Posiłek w towarzystwie kobiety, która tak dużo jadła i nie usprawiedliwiała się, był prawdziwym wytchnieniem. Wiele ze znanych Tess kobiet odmawiało sobie wszystkiego, grając w niezgłębioną grę, w której zwyciężała zamawiająca najmniej smakowity posiłek. Matka Tess również specjalizowała się w samozaparciu. Siedząc obok Jackie, Tess miała ochotę wywieść nad stołem transparent z hasłem: „Wnieście tłuste sosy!”

- Naprawdę mam zlecenie dla prywatnego detektywa - powiedziała Jackie, kiedy złożyły zamówienie. - Ale mam też kiepskie doświadczenia. Kilka miesięcy temu wynajęłam faceta, który nic nie robił, tylko siedział na tyłku i inkasował czeki. Inny poddał się, kiedy zaczęło być trudno. Postanowiłam, że następnym razem zanim kogoś wynajmę, upewnię się, że daje sobie radę z podstawowymi rzeczami. Można mnie łatwo znaleźć, jeśli ktoś ma dość oleju w głowie, żeby sprawdzić nazwisko w bazie „Chicago Title”, a potem w wydziale komunikacji, żeby zdobyć adres.

- Które konkretnie nazwisko? - rzuciła Tess niewinnie, smarując maśłem świeżą, ciepłą bułeczkę.

- Ta historia, którą ci opowiedziałam, to w zasadzie prawda. Susan King zaszła w ciążę jako nastolatka. Miała konflikt z matką, odeszła z domu. Przykro powiedzieć, ale nigdy do końca się z nią nie pogodziła.

- Musisz mówić o sobie w trzeciej osobie? To strasznie brzmi.

- Susan King to dla mnie ktoś obcy. Umarła, tak jak moja matka.

- Dlaczego zmieniłaś nazwisko? Ukrywałaś się przed matką po tym, kiedy cię wyrzuciła?

Jackie wyglądała na zniecierpliwioną. Najwyraźniej wiele razy odgrywała tę scenę w głowie, a Tess nie trzymała się roli. Ależ musiała się bawić, siedząc w mieszkaniu i czekając, aż zapuka do drzwi.

- Matka nie wyrzuciła mnie dlatego, że miałam mieć dziecko. Nie w tym rzecz. Nie byłam pierwszą dziewczyną w południowo-zachodnim Baltimore, która zaszła w ciążę.

- W południowo-zachodnim Baltimore? W jakiej dzielnicy? - zapytała Tess, prawdziwa Baltimorka, zawsze ciekawa, gdzie kto mieszka.

- W Pigtown\* - mruknęła Jackie. - W Pigtown, w porządku? Mama chciała, żebym zatrzymała dziecko. Wtedy ona by je wychowywała, dostaliby zapomogę i kartki na żywność. Poszłabym na to. Tylko że właśnie

\* Pigtown - w wolnym tłumaczeniu „Świniów” lub „Świniowo” (przyp. tłum.).

skończyłam liceum i miałam być jaką pracę, i nagle zobaczyłam swoją przyszłość. Powiedziałam sobie: „Dziewczyno, jeszcze możesz być kimś, ale pod warunkiem, że nie zatrzymasz tego dziecka”.

Na stole pojawiły się przystawki: tarta z grzybami dla Tess, coś dziwnego z kozim serem dla Jackie.

- A ojciec dziecka?

- Nie był zainteresowany. Ale jestem mu wdzięczna, że powiedział to od razu, zamiast udawać, że chce w to wejść, a potem rzucić mnie, kiedy dziecko się urodzi. Wiele moich przyjaciółek przez to przeszło. W każdym razie oddałam córkę do prywatnej agencji adopcyjnej i więcej już o tym nie myślałam. A kiedy zdobyłam stypendium na Uniwersytecie Pensylwanii, postanowiłam zmienić nazwisko. To miał być symbol mojego nowego życia. Myślę, że gdzieś tam w środku chodziło mi o to, żeby moje dziecko mnie nie odnalazło. Zamierzałam być naprawdę sławna, odnieść sukces, nie chciałam, żeby w przyszłości jakiś brukowiec wywlókł to i rozdmuchał skandal.

Opowieść Jackie zrobiła na Tess wrażenie i jednocześnie wydała jej się odpychająca. Jak to możliwe, żeby osiemnastolatka była tak wyrachowana? Trzeba jednak powiedzieć, że wiara w siebie została nagrodzona. W jej życiu nie brakowało żadnej z materialnych oznak sukcesu, a w dodatku osiągnęła ten poziom w wieku, w którym większość ludzi jeszcze się obja. Tess zrozumiała, dlaczego tak skwapliwie podjęła temat wieku „Mary Browne”: nie mogła się pogodzić z tym, że ktoś tylko o parę lat od niej starszy, ktoś, kto nie miał bogatej rodziny ani przywilejów, mógł osiągnąć tak wiele. Jackie- Susan potknęła się na pytaniu o wiek - to jedyny element maskarady, niedostatecznie przemyślany. Błąd, który najwyraźniej rzadko jej się zdarzał.

- W takim razie z czym do mnie przysłaś? Boisz się, że twoja córka stanie nagle na progu, i chcesz się zabezpieczyć? Sprawić, żeby nie można cię było odnaleźć? Zapewne można to zrobić, tylko że ja się specjalizuję w znajdowaniu ludzi, nie w ukrywaniu.

- Nie chcę się ukrywać. Nie wstydę się przeszłości.

Patrzcie, patrzcie. Jackie Weir ma jednak nerwy i nie zawsze umie je kontrolować. Trzęsącymi się rękami podniosła do ust szklanekę i pociągnęła kilka długich, spokojnych łyków wody. Kiedy się odezwała, była na powrót opanowana.

- Jak mówiłam, moja matka zmarła w zeszłym roku. Do pewnego stopnia odzyskałyśmy kontakt, ale traktowała mnie jak bankomat. Dzwoniła, żeby poskarżyć się na problemy, ja posyłałam jej pieniądze. Kiedy umarła, myślałam, że poczuję się osamotniona. Ale zamiast tego miałam wrażenie,

że ktoś mnie prześladowa i śledzi. Zaczęłam odwoływać spotkania, żeby jeździć po Pigtown i przyglądać się dziewczynkom. Myślałam: „Jesteś tutaj? Co się z tobą stało? Czy mnie nienawidzisz?”

- Twoja córka została adoptowana, pewnie przez jakąś miłą rodzinę z klasy średniej. Okazałaby się potworną niewdzięcznicą, gdyby nienawidziła kobiety, która umożliwiła jej lepsze życie.

- Chciałabym to wiedzieć na pewno. Ona skończy wkrótce trzynaście lat. Nie byłam wiele starsza, kiedy poznałam jej ojca. Pięć lat później już siedziała w moim brzuchu.

Tess zastanawiała się, jak to jest być w ciąży. Znała tylko lęk przed nią, obsesyjne myśli o zawodnej antykoncepcji, liczenie w kółko dni, żeby ustalić moment owulacji, i podejrzenia, że być może, być może amerykańskie koncerny farmaceutyczne właśnie ją zawiodły. Żadna metoda nie dawała stuprocentowej pewności. A jeśli ktoś nie może mieć dziecka? Jeśli wyda się fortunę i zmarnuje tyle nerwów z powodu czegoś, co i tak nie może się zdarzyć? Czy wchodzi wtedy w grę zwrot pieniędzy?

- Chcesz znowu być częścią życia córki? W takim razie nie zamierzam brać w tym udziału. Uważam, że rodzicami dziecka są ci, którzy je wychowali.

- Nie, absolutnie nie. Chcę ją tylko zobaczyć, sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Co mogłabym jej dać? Jestem za młoda, żeby być wzorem jako matka, za stara na przyjaciółkę. Każę wpisać moje nazwisko do rejestru biologicznych rodziców. Kiedy skończy osiemnaście lat, będzie mogła mnie odnaleźć, jeśli zechce. Teraz wystarczy, że ją zobaczę, choćby z daleka, i jeśli się okaże, że to wszystko się opłaciło, będę szczęśliwa. Sama zrobiłam tyle błędów, kiedy byłam młodsza. Chcę się tylko przekonać, że ona ich nie powtarza.

Kolejne zaginione dziecko. To nie miało nawet imienia. Tess nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

- Zrobisz to? Pomożesz mi znaleźć moje dziecko? - Jackie porzuciła profesjonalny, chłodny ton. Teraz w jej głosie było naleganie, niemal prośba.

- Nie wiem. To trudna sprawa. Mówiąc szczerze, nie mam pojęcia, od czego zacząć.

- Tutaj w Columbii działa Grupa na Rzecz Praw Adopcyjnych. Spotykają się co dwa tygodnie. Możemy tam pójść i dowiedzieć się, co można zrobić.

- Nie martwię się tylko tym, jak to zrobić. Mogę się postarać i sporo zrobić bez obawy, że zdieram z ciebie skórę. Ale nie wiem jeszcze, czy chcę dla ciebie pracować.

- Dlaczego?

- Bo mnie oszukałaś. Zrobiłaś ze mnie idiotkę. Dobra, rozumiem, że wcześniej się sparzyłaś, ale są inne sposoby, żeby się przekonać, co umiem.

Cały czas mam wrażenie, że podobała ci się ta gra i udawanie Mary Browne. Czuję się jak myszka w łapach kota. Bawiłaś się mną. Poza tym jesteś bystrą. Skoro pracowałaś dla polityków, masz znajomości. Sama mogłabyś się dowiedzieć tyle, ile ja, może nawet więcej.

- To prawda, odniosłam sukces. Większy niż ty.
- Dziękuję za przypomnienie - powiedziała Tess sucho.
- Ale kiedy stoję przed ludźmi, którzy mają nade mną władzę, zwłaszcza białymi, zapominam o tym wszystkim. Wstydzę się, krępiję i płaczę mi się język albo zaraz krzyczę i wygłaszam mowę oskarżycielską. Żadne z podejść nie jest szczególnie skuteczne.

Tess miała przedziwne uczucie déjà vu, jakby doskonale wiedziała, o czym mówi Jackie. Dyrektorka szkoły w Gwynn's Falls, milkliwa Keisha, sąsiedzi Beale'a, którzy nie chcieli pomóc, Nelsonowie. Wszyscy rzucali jej kłody pod nogi, robili dla niej mniej, niż mogli - tylko dlatego, że była biała.

- Dobrze, ale coś za coś.
- To znaczy?
- Wezmę twoją sprawę, ale chcę nie tylko pieniędzy. Chcę, żebyś mi pomogła. Porozmawiała z ludźmi, którzy nie chcą rozmawiać ze mną, o innej mojej sprawie.

Jackie popatrzyła na nią pogardliwie.

- Masz na myśli biednych czarnych, tak? Sądzisz, że znam jakiś tajny szyfr, dzięki któremu się z nimi dogadam? Myślisz, że jakiś biedny czarny dzieciak będzie chciał rozmawiać z siostrą, która jeździ lexusem i ubiera się tak jak ja?

- Może. Jestem pewna, że zdołasz przekonać dyrektorkę podstawówki, że jesteś krewną jednego z uczniów. Mnie się to nie uda. Zacznijmy od tego i zobaczymy, co będzie dalej.

Kelner przyniósł główne danie. Jackie zaatakowała swoją pompano en croute z gwałtownością, która wzbudziła podziw Tess, a nawet wydała się jej znajoma. Pochyliła się nad swoim talerzem z takim samym zapamiętaniem. Jackie potrafiła jednak skupić się najedzeniu i jednocześnie negocjować.

- Jeśli pomogę ci w tej drugiej sprawie, dostanę zniżkę?
- Nie - odpowiedziała Tess radośnie. - Musisz zapłacić cenę swojego grzechu, za to, że się mną bawiłaś. To będzie dopłata za matactwo i nie-szczerłość.

Jackie wreszcie się uśmiechnęła; co prawda był to uśmiech chłodny i nieco wyniosły.

- Brawo. Już się nauczyłaś jednej z podstawowych zasad, których musi się trzymać bizneswoman. Nie odpuszczaj, chyba że naprawdę musisz.

- A ty kiedykolwiek odpuściłaś?
- Nie. Ale ja od początku byłam dobra.



## Rozdział 9

POJECHAŁY DO MIASTA RAZEM, chociaż dla Tess, która zostawiła samochód pod domem Jackie, oznaczało to długą podróż z powrotem do Columbi. Musiała jednak podać Jackie imiona dzieci, których szukała, opowiedzieć o miejscu, w którym kiedyś mieszkały, i powiedzieć, o co ma pytać. No i sprawiała jej przyjemność jazda luksusowym wozem, uczucie, że wiezie ją szofer. O tym już Jackie nie poinformowała.

Była najgorętsza pora dnia i Tess z perwersyjną rozkoszą posłała Jackie na Fairmount Avenue w szpilkach.

- Poszłabym z tobą - stwierdziła - ale to by wszystko popsulo. Gdyby zobaczyli nas razem, podważyłoby to twoją wiarygodność.

- Racja. A co ty będziesz robić w tym czasie? - Najwyraźniej jednym z przepisów Jackie Weir na sukces było unikanie wszelkich przestojów.

- Pomyślę nad tym, w jaki sposób zdobędziemy informacje o twojej córce - uspokoiła ją Tess.

Następną godzinę spędziła, ucząc Esskay aportować. Rzuciła ołówki w róg pokoju, jak mogła najdalej od sof. Kiedy Jackie wróciła, utykając na lewą nogę, jakby już zdążyła obetrzeć sobie piętę, w kącie leżał całkiem okazały stosik ołówków; wystarczyłoby chyba na małe ognisko.

- Zapomniałam, jak gorąco jest latem w tych szeregowcach. - Wzięła od Tess puszkę coli, przykładając ją sobie do karku i czoła. - I jakie bywają okropne. Jeśli ktoś nie wierzy, w jakich warunkach żyją ludzie w Trzecim Świecie, powinien wybrać się do Wschodniego Baltimore.

- Dowiedziałaś się czegoś o dzieciakach?

- Owszem. Niewiele, ale się dowiedziałam. - Jackie uśmiechnęła się z zadowoleniem. Miała powody: w końcu odniosła sukces, i to natychmiastowy, tam, skąd Tess odeszła z niczym. Dlatego właśnie Tess wciągnęła ją do

pomocy. A jednak wciąż irytowało ją poczucie, że istnieje mur, bariera, która nie pozwala jej wejść w pewne miejsca i rozmawiać z niektórymi ludźmi. Odwróciła się do komputera i otworzyła plik z informacjami o zleceniu Luthera Beale'a. Nic było w nim wiele: tylko notatki z ich pierwszego spotkania i wzmianka o wczorajszych, zakończonych fiaskiem spotkaniach.

- Mów, co masz.

Jackie przekazała jej swoje odkrycia tak, jak zapewne przedstawiała klientowi plan poszukiwania funduszy: szybko, skutecznie, bez zbędnych słów.

- O dwóch dzieciakach nic nie wiem. Salamon Hawkings i Eldon Kane. Sąsiedzi nie przypominają sobie, żeby widzieli ich w okolicy po strzelaninie. Nikt nie wie, co się z nimi stało. Za to bliźniaki, Treasure i Destiny, wcale stamtąd nie zniknęli. Oficjalnie zajmuje się nimi jakaś ciotka, która mieszka przy Biddle Street. Ale sąsiedzi stale ich widują. Prawdopodobnie dzieciaki mieszkają w pobliżu.

- Mieszkają? Kto wynajęłyby mieszkanie nastolatkom?

Spojrzenie Jackie mówiło wyraźnie, że głupota Tess przekracza wszelkie wyobrażenia. Ten sam wyraz samozadowolenia miała na twarzy, kiedy dzisiaj rano Tess zapukała do jej mieszkania.

- Nie wynajmują mieszkania. Zajęli jakiś pusty dom. Ciotka pojawia się od czasu do czasu i zabiera ich do siebie, ale prędzej czy później wracają. Treasure bierze krak. Jest na objeździe.

- Na objeździe?

Znów to spojrzenie.

- Żywi się w jadłodajniach dla ubogich. Beans and Bread, Bea Gaddy, kiedy Beans and Bread jest zamknięte. Za to Destiny jest samochódówką.

- Co to takiego? - Może jeśli przyzna się do swojej ignorancji, Jackie przestanie zachowywać się tak, jakby musiała się zniżyć do jej poziomu.

- Coś jakby prostytutka - praktykantka. Facet podjeżdża i proponuje, że ją przewiezie. Wiadomo, że chodzi mu o seks, a ona coś za to dostanie, ale nie jest zawodową prostytutką. Destiny lubi rzeczy od Versacego i fikuśne skórzane torebeczki. Tak mi powiedziały sąsiadki. Ma stałego chłopaka, od którego dostaje droższe prezenty. Przejazdkami zarabia na drobne wydatki. I na dragi dla Treasure'a, załóż się.

- Versace? Jej chłopaka stać na Versacego?

- Myślę, że jest, jak to się mówi, przedsiębiorcą farmaceutycznym - wyjaśniła Jackie, unosząc brew. - Nikt nie wie, jak się nazywa, ale gdyby wiedzieli, też by mi nie powiedzieli. Tutaj ludzie unikają podawania nazwisk, jeśli mowa o lokalnych dilerach. Za to można pożegnać się z życiem.

- Jak to zrobiłaś, że ludzie tyle ci opowiedzieli? - Tess miała nadzieję, że nauczy się czegoś od Jackie.

- Nie wciskałam im kitu. Mówiłam, że chcę znaleźć dzieci, które były w rodzinie zastępczej z tym zabitym chłopcem. Ciekawe: tu stale ktoś ginie, ale wszyscy pamiętali tę noc, kiedy Beale zastrzelił Donnigo. Powiem ci, że ludzie naprawdę go nienawidzą.

- Co o nim mówią?

- Ze zadziera nosa. Tutaj to najgorsze, co można o kimś powiedzieć. Myśli, że jest lepszy od nich, i wcale tego nie kryje. Ludzie wiele wybaczą, ale tego nie darują. Cokolwiek robisz, nie pozwól, żeby ludzie wiedzieli, że chcesz od życia więcej niż oni.

Tess podejrzewała, że Jackie mówi to z własnego doświadczenia.

Kiedy dotarły do podstawówki w Gwynn's Falls, dzień szkolny niemal się kończył. Po drodze Tess znowu wtajemniczyła Jackie w jej zadanie. Prawdomówność jak dotąd się opłacała, ale ta opcja miała ograniczenia. Twarda jak Terminator dyrektorka na pewno nie poinformuje, gdzie można znaleźć byłego ucznia, tylko dlatego, że Jackie powie jej wprost, o co chodzi.

- Przedstawić się, że jestem z teatru Arena? - zapytała zdezorientowana Jackie. - Myślałam, że mam być krewną. Jeśli muszę coś zmyślić, to może powiem, że jestem ze szkoły teatralnej? Znacznie lepiej brzmi.

- Nie. Gdyby ktoś ze szkoły, dowolnej szkoły, chciał namierzyć jakiegoś ucznia, wystarczyłby jeden telefon. Jesteś z Areny, w przyszłym sezonie wystawiacie współczesną sztukę. Jest tam rola dla nastolatka z dużymi partiami dialogu. Słyszałaś, że Salamon Hawkings ma ogromny talent do publicznych występów.

- Jaki tytuł ma sztuka?

- Tytuł? O Jezu, Jackie, nie wiem. Będziesz improwizować.

- Wolę mieć wszystko wcześniej przygotowane - powiedziała sztywno. Niewątpliwie.

- Dobrze, sztuka ma tytuł...- Tess zerknęła na pobocze. Przejżdżały obok parceli, na której był kiedyś lunapark, a tuż za nim gospodarstwo. Właściciel stawiał przy drodze ciężarówkę, z której jej matka kupowała latem warzywa i owoce. Na handlu farmer dorobił się małego sklepiku i zaczął sprzedawać również ryby. Kilka lat temu sklepik spłonął w tajemniczych okolicznościach, a rodzina po prostu zniknęła. Teraz stał tutaj mały kościółek z pustaków. Ale Tess dobrze pamiętała ręcznie wymalowany szyld, który wisiał nad leżącymi w lodzie rybami.

- Sztuka ma tytuł Świeży pstrąg. Dramat w stylu Augusta Wilsona o rodzinie, która prowadzi stragan i ledwo wiąże koniec z końcem. Konflikt między ojcem a synem, który nie chce pomagać w handlu, tylko wyjechać do college'u. Jak ci się podoba?

- Niezbyt oryginalne, ale niech będzie. Więc Arena wystawia Świeżego pstrąga i szuka nastolatka, który da sobie radę z długimi dialogami.

- Tak. Pamiętaj, że usłyszałaś o Salamonie Hawkingsie od swojej kuzynki, której córka startowała razem z nim w stanowym finale konkursu.

Sądząc z wyrazu twarzy, Jackie nic wiedziała, czy powinna być pod wrażeniem, czy zniesmaczona.

- Z czego żyjesz? Z wciskania ludziom kitu?

- Prawda może wyzwala, ale nie pomoże ci zdobyć informacji. Zaufaj mi: kiedy zaczniemy szukać twojej córki, docenisz, co potrafi zdziałać porządne kłamstwo.

Tłum dzieci wylewał się z podniszczonego budynku. Tess zsunęła się niżej na siedzeniu pasażera; nie chciała ryzykować, że zobaczy ją dyrektorka. Na pewno spełniłaby groźbę i wezwała policję; mówiąc szczerze, wyglądała na zdolną do tego, żeby przejrzeć wybieg z teatrem Arena. Tess żałowała, że nie może być przy Jackie, gotowa w razie potrzeby podrzucić jej dodatkowe kłamstewko. Chociaż było ją stać na chytry podstęp z „Mary Browne”, Jackie najwyraźniej nie urodziła się z darem spontanicznego kręactwa. Łgarstwo, jeśli miało być skuteczne, musiało sprawiać przyjemność. Kiedy ktoś skupiał się na efekcie, tracił radość, jaką dawało poczucie, że ryzykowny manewr się udał. To było jak lot szybowcem, z wiatrem we włosach, wysoko nad ziemią, na której żyli sobie zwykli ludzie. Poza tym historyjka o Arenie należała do najbardziej natchnionych kłamstw Tess. Wołałaby opowiedzieć ją osobiście.

Minęło piętnaście minut. Szkoła opustoszała. Jackie postawiła wóz w cieniu, ale w środku było gorąco, a skórzane siedzenia kleiły się do skóry bardziej niż zwykle, obite tkaniną. Tess opuściła okno, wystawiła głowę i dyszała, wywieszając język jak Esskay. Chciała wziąć sukę ze sobą - w końcu czekała ją jazda z Columbii, podczas której przydałoby się towarzystwo. Jednak Jackie była zbulwersowana pomysłem wozienia psa w swoim nieskazitelnym samochodzie. Tess nie miała całkowitej pewności, czy Jackie cieszy się, że musi wozić ją.

- Bardzo atrakcyjnie wyglądasz - powiedziała Jackie, wyłaniając się zza wozu.

- Psy wiedzą, co robią. Naprawdę jest mi chłodniej. Jak ci poszło?

Jackie obeszła samochód i usiadła w fotelu kierowcy.

- To było takie proste, że aż wstyd. Zostałam dłużej i pogadałam jeszcze z dyrektorką, bo głupio się czułam, że oszukuję taką miłą kobietę. Okazuje

się, że Salamon Hawkings załatwił sobie stypendium w bardzo luksusowej prywatnej szkole, Penfield School w Butler - zawiesiła głos. - Nawet nie wiem, gdzie to jest.

- W samym sercu krainy WASP-ów\*. W Butler są tylko dwa sklepy: jeden z siodłami i uprzężą, drugi z alkoholami. Wszystko, czego potrzebuje WASP.

- Co czarny chłopak robi w takim miejscu?

Tess wzruszyła ramionami.

- Te prywatne szkoły dbają o różnorodność. W każdej, którą znam, uczy się przynajmniej kilkoro dzieci z miasta. Dostają specjalne stypendia. Jeśli Salamon jest naprawdę dobrym mówcą, założę się, że starało się o niego kilka szkół.

- A może po prostu potrzebowali małego czarnuszka, żeby stał przy wejściu do budynku i trzymał lampę, jak figurki, które ludzie kiedyś stawiali na trawnikach.

Przejeżdżały przez Woodlawn, a raczej wlokły się w pierwszej fali popołudniowego tłoku. Tess żałowała, że nie zwróciła uwagi na trasę, wybraną przez Jackie - poradziłaby jej, żeby nie pchała się w korki i skręciła na pustą szosę I-70, jedną z niewielu autostrad międzystanowych w kraju, która utknęła w martwym punkcie. Irytowali ją ludzie nie znający baltimorskich skrótów i objazdów.

- Zauważyłam, że w kilku miejscach w mieście te figurki nadal stoją - ciągnęła Jackie. - Pomalowali im twarze na biało, jakby to miało kogoś oszukać.

- Tak, możesz też zobaczyć gliniane koty na parapetach. O Boże, tam jest jeden! Wezwij towarzystwo opieki nad zwierzętami!

- To nie to samo - powiedziała zimno Jackie.

- Owszem, to samo. W takim sensie, że nie warto marnować na to energii. Niektórzy ludzie to idioci. Trzymając taką figurkę w ogrodzie, ogłaszają to całemu światu. Przynajmniej od razu wiesz, z jakim durniem masz do czynienia.

- Skoro tak uważasz, to powinnaś też popierać specjalne rejestracje dla Synów Weteranów Konfederacji. Chyba że twoim zdaniem to kwestia wolności słowa?

- Daj spokój. To jakby się wściekać na kierowców tirów z cypatykami panielkami na błotnikach. Co mam zrobić, pozwać ich za obrazę moich uczuć?

- Państwo nie wydadzą błotników.

- A szkoda. Mogłoby zarobić znacznie więcej niż na tych konfederacyjnych licencjach. Jackie, jesteś moją klientką. Pracuję dla ciebie. Nie chcę się kłócić o coś, co mnie w ogóle nie obchodzi.

\* WASP - skrót od White Anglo-Saxon Protestant, biały Amerykanin o pochodzeniu anglosaskim (przyp. tłum.).

- Chciałabym mieć ten luksus. Ale mnie te sprawy obchodzą, bo mają na mnie wpływ. To moje życie.

Tess zamilkła. Miała na końcu języka wiele słów, które bała się wypowiedzieć. W końcu Jackie była klientką, nawet jeśli przez kilka godzin działały jak partnerki. A takie rozmowy są zawsze niebezpieczne, niezależnie od okoliczności. Nikt, nawet najlepsi przyjaciele, nie rozmawia naprawdę szczerze o rasie. Tess postanowiła udać, że jej nie majak wystraszony opos. Odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Wkrótce naprawdę zasnęła, a obudziła się dopiero przed domem Jackie. Miała wrażenie, jakby całe tygodnie minęły od dzisiejszego poranka, kiedy stanęła przed jej drzwiami, bardzo z siebie dumna, że udało jej się wytropić Jackie Weir, dawniej Susan King.

- Grupa na Rzecz Praw Adopcyjnych spotyka się w poniedziałek - przypomniała Jackie, kiedy Tess się przeciągała. - Idziesz tam ze mną, prawda?

- Tak się umawialiśmy. Jak mogłabym się wykręcić, po tym, co dziś dla mnie zrobiłaś?

- Zdziwiłabyś się, jak często ludzie nie dotrzymują słowa. - Głos Jackie zabrzmiał niemal złowieszczo. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, Tess uznałaby ten komentarz za dziwaczny żart, ale przekonała się już, że poczucie humoru nie jest silną stroną Jackie.

- Kolejna rada dla bizneswoman?

- Rada na życie. Prawda, którą znam od bardzo dawna. - Z tymi słowami Jackie znikła w domu. Nadal lekko utykała na lewą nogę w białym pantoflu na szpilce. W pantoflu, który, choć obeszła w nim większą część wschodniego Baltimore, nadal był niepokalanie biały.

# Rozdział 10

NASTĘPNEGO KANKA TESS POSZŁA DO SWOJEGO BIURA Z Esskay na smyczy i już z daleka widziała, że coś jest nie w porządku. Drzwi kołysały się lekko na wietrze. Nie były otwarte, ale nie zostały też zatrzaśnięte.

Przy bliższych oględzinach okazało się, że ktoś wyłamał zamek. Dokładniej: wydfubał. Zasuwa została wyrwana z drewna jakimś ostrym narzędziem.

- Powinna pani sprawić sobie metalowe drzwi - powiedział Luther Beale, siedzący na krześle naprzeciw biurka.

- Byliśmy na dzisiaj umówieni? - spytała Tess, badając dziurę, w której znajdował się zamek, podczas kiedy Esskay wyminęła panią i poczłapała w kierunku sofy.

- Nie, ale pomyślałem, że wpadnę i dowiem się, czy ma pani dla mnie jakieś wiadomości. Kiedy przyszedłem, drzwi już były otwarte.

Tess przytrzymała drzwi książką telefoniczną, żeby klimatyzowane powietrze nie uciekało na ulicę, podczas gdy będą czekać na ślusarza. Czowała się bardzo dzielna i dumna z siebie, że postanowiła zajrzeć do biura w sobotę i popracować trochę, zanim spotka się z Tynerem w siłowni i pójdą na późny lunch. To, co tutaj zastała, wyssało z niej całą energię i dobry humor. Teraz będzie uziemiona na kilka godzin.

- Ja tego nie zrobiłem - odezwał się Beale obronnym tonem człowieka przyzwyczajonego do wysłuchiwania oskarżeń.

- Wcale tak nie pomyślałam - odparła Tess, szukając w notatniku na biurku numeru do właściciela. Miała nadzieję, że to on musi zapłacić za wstawienie zamka. Może powinna najpierw wezwać policję, a dopiero potem dzwonić do właściciela, żeby zgłosił się po wypłatę odszkodowania? Człowiek, od którego wynajmowała biuro, Hiram Hirsh, malutki i zasuszony, znał jej dziadka i najwyraźniej mu zazdrościł. Każdą rozmowę potrafił

skierować na ulubiony temat: jak to jemu nadal dobrze się powodzi, a jej dziadek zaczął bardziej efektywnie, ale ostatecznie poniósł klęskę. „Powoli i miarowo, powoli i miarowo, doradzał jej. Twój dziadek był zającem, ja jestem żółwiem. Możesz się dużo ode mnie nauczyć”. Zdecydowanie nie miała ochoty na ezopowe mądrości w wykonaniu Hirama Hirsha.

- Nie, szanowna pani, drzwi już tak były, kiedy przyszedłem - odezwał się Beale, bardziej do siebie niż do niej.

- Dziwię się, że tak po prostu pan wszedł i czekał na mnie. Skąd pan wiedział, że przyjdę? Jest sobota.

Tess wybrała numer do najbliższego komisariatu, nie próbując nawet dobić się do 911. W mieście działała teraz linia 311, dla mniej pilnych wezwań, ale uznała, że włamanie zasługuje na odwiedzinę policji jeszcze w tym dziesięcioleciu.

- Nie wiedziałem. Pomyślałem, że wpadnę. Kiedy zobaczyłem drzwi, postanowiłem wejść i popilnować pani rzeczy. Komputer nie pozostałby tu długo, nie w tej okolicy.

Dyżurny w komisariacie przełączył Tess na oczekiwanie, zanim zdążyła otworzyć usta. Rozejrzała się po pokoju. Na pierwszy rzut oka nic nie brakowało: komputer, skaner i drukarka były na swoich miejscach. Zdjęcie z latającym królikiem nadal wisiało na ścianie, zaśnaniając sejf. Może włamali się do niej ćpuni, szukając metalu, żeby sprzedać go w skupie złomu? Niektórzy właściciele skupów nie pytali o pochodzenie miedzianych rynien, żeliwnych grillów i starych bojlerów, które codziennie przybывały do ich punktów w sklepowych wózkach. Ale kuchenka była na miejscu. Kran również.

Trzymając słuchawkę przy uchu, zdjęła osłonę z komputera i go włączyła. Żadnego pliku nie brakowało. Powiększyła okno, klikając „ostatnio modyfikowane”. Nic. Ale drukowanie z pliku nie było modyfikacją. W podajniku drukarki leżał papier - Tess wkładała go tylko wtedy, kiedy zamierzała jej użyć, bo sierść Esskay wciskała się w każdy zakamarek. A poza tym Tess oszczędzała papier. To część kosztów stałych, którą mogła kontrolować.

- Zna się pan choć trochę na komputerach? - zapytała sceptycznie.

- Na tyle, żeby nie kupować sobie Maca, jak pani. Mam klon IBM-a z procesorem 200 Mh i gigabajtem pamięci. Wie pani, że prawie wszystkie gazety w kraju można czytać w Internecie? Założę się, że oszczędzam pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

- W nocy ktoś mógł zrobić kopie moich plików.

- Nie ma pani hasła?

- Nie. - Skoro Beale uważał się za takiego specja od komputerów, powinien o tym wiedzieć. Otwierała komputer w jego obecności, kiedy przyszedł pierwszy raz. - Nie sądziłam, że jest mi potrzebne. W końcu pracuję tu sama.



- A co było w moim pliku?  
- Niewiele. Trop do bliźniąt. Przy okazji, kiepsko zapamiętał pan imiona. Nazywają się Treasure i Destiny Teeter.

- Nigdy nie miałem głowy do imion - mruknął Beale. - I gdzie oni są?  
- Dokładnie nie wiadomo. Według sąsiadów teoretycznie mieszkają przy Biddle Street, ale często pokazują się tutaj w okolicy.

Zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć, że chyba żadne nie wybiera się do college'u. Ale opłata czesnego była tylko jedną z form pomocy, o której wspominał. Może mógłby załatwić odwyk dla Treasure'a, a dla Destiny miejsce w takiej szkole, jaką prowadzą Nelsonowie w D.C., tylko dla dziewcząt.

- Tylko tyle pani się dowiedziała? To mało.

Tess przerwała połączenie z komisariatem i ponownie wybrała numer. Znow nie udało jej się powiedzieć ani słowa, nim przełączono ją na oczekiwanie.

- Sądzę, że to całkiem sporo, biorąc pod uwagę, jak niewiele informacji mi pan podał. Cztery dni temu nie miałam nawet ich imion. Teraz wiem, gdzie szukać bliźniaków, i zlokalizowałam kolejnego, Salamona Hawkingsa. Dostał stypendium w prywatnej szkole. Eldona Kane'a poszukuje policja. Pewnie jest daleko stąd i myślę, że możemy skreślić go z listy.

- Widziała się już pani z Hawkingsem? Szkoła się zaraz skończy.

- Jeszcze nie.

- Nie śpieszy się pani, co? Płacę od godziny, więc spodziewam się, że wykorzysta pani każdą minutę.

Beale przypominał jej babcię Weinstein: wiecznie niezadowolony, zaw sze z jakąś pretensją. Oboje potrafili doprowadzić człowieka do obłędu.

- Muszę powiedzieć, że cała ta tajemnica bardzo utrudnia mi pracę. W szkołach niezbyt lubią obcych ludzi, którzy bez podania powodu próbują skontaktować się z uczniami. Skoro mam się spotkać z Salamonem Hawkingsem, potrzebny mi przekonujący powód.

- To proste - stwierdził Beale. - Niech pani powie w szkole, że Hawkings może dostać sporo pieniędzy. Nie trzeba szczegółów. Ludzie zawsze się na to złapią.

- Myśli pan o czymś takim jak bezpańskie konto? Takie, jakich listy ogłaszają władze?

- Nie, to za łatwo sprawdzić. Może jakaś fundacja, która spełnia marzenia dzieci.

- Tam chodzi o chore dzieci. Ale pomysł jest dobry.

Beale wstał. Miał na sobie ten sam brązowy garnitur, co podczas pierwszego spotkania, tym razem z koszulą w biało-niebieskie paski. W rękę trzymał swoją poźółkłą panamę.

- Tylko niech pani nie zbija bąków. O ile pamiętam, płacę pani od godziny. Czekanie na ślusarza na pewno w to nie wchodzi.

I wyszedł: bez podziękowania, bez jednego słowa pochwały za to, co Tess udało się dotąd zdziałać. No cóż, tak to jest w interesach. Ludzie, którzy płacą, nie muszą być ci wdzięczni, tylko wręczać czek. Pod tym względem Beale był klientem idealnym.

Przerwała kolejne połączenie z komisariatem i zadzwoniła do właściciela. Niech Hersh zajmie się wyłamanym zamkiem. Niech głądzi ślusarzowi nad głową o tym, jak daleko zaszedł żółwim krokiem, wyprzedzając szybkich jak zające Weinsteinów. A Tess zamierzała trochę poćwiczyć.

Tyner powitał ją bardzo miło, chociaż sporo się spóźniła. Nadal podejrzewała, że czuje się winny: wyrzucił ją z bezpiecznego gniazda i przyjął kogoś na jej stanowisko, ledwo wstała od biurka. Oczywiście nie spodziewała się, że tak już zostanie, ale na razie pławiła się w deszczu prezentów i przysług, takich jak zegarek czy karta wstępu na całe lato do Downtown Athletic Club, siłowni, w której trenował. Jej samej nigdy nie byłoby na to stać.

DAC, jak mówili baltimorczyacy, to nie najbardziej elegancka siłownia w mieście, ale z pewnością największa. Powstała w dawnym magazynie, w miejscu, przez które przejeżdżał pociąg z trumną Lincolna, i mogła się pochwalić własną historią. Do legendy przeszły walki o miejsce na parking: fitnessowi nałogowcy starali się postawić samochód jak najbliżej wejścia, żeby nie iść pieszo ani cała więcej niż to konieczne. Męskie szatnie, dające mnóstwo okazji do podrywu, w weekendy przypominały plan zdjęciowy filmu, dozwolonego od osiemnastu lat. Wśród ludzi krążyła też apokryficzna opowieść o człowieku, który dostał ataku serca w czasie popołudniowego natłoku gości. Kilka osób pośpieszyło mu z pomocą, podczas gdy inni skorzystali z zamieszania, żeby przepchnąć się w kolejce do steppera.

- Panie Gray, co pan opowiada - zaprotestował młody trener, wciągając wózek Tynera po kilku stopniach, prowadzących do głównej sali, podczas gdy Tyner swoim stentorowym, przerwany wstrząsami głosem powtarzał Tess wszystkie historyjki o DAC. - Wie pan, że nic takiego tutaj się nie zdarzyło.

- Ale powinno - upierał się Tyner. Korzystając z pomocy asystenta, wwindował się z wózka na siedzenie maszyny do trenowania bicepsów i włożył rękawice do podnoszenia ciężarów. - Co dziś będziesz robić, Tess? Siłowe czy aerobik?

- Rano sporo wiosłowałam, więc tylko siłowe. Ale zacznę od dolnych partii.

- Nie objaj się. Mam cię na oku!

- Lepiej uważaj na siebie! - Tess chwyciła ramię Tynera, kiedy przenosiła ciężarki do pozycji wyjściowej. - Posiłujmy, się staruszku. Mocniej. Jeszcze mocniej. Potrafisz.

Potrafił, i to bez wielkiego trudu. Tyner dbał o siebie. Powyżej pasa był wciąż szczupły i muskularny, jak w wieku dwudziestu lat, gdy należał do olimpijskiej reprezentacji wioślarzy. Poniżej - cóż, poniżej pasa był kaleką. Ponad czterdzieści lat temu rozpedzony samochód zmiażdżył mu nogi i zakończył olimpijską karierę.

- W górnych partiach dalej jestem silniejszy niż ty - zakpił dobrodusznie.

W sobotnie popołudnie DAC świecił pustkami. Co prawda rok szkolny jeszcze się nie skończył, ale właściciele udziałów w domkach nad morzem spędzali weekendy poza miastem albo trenowali na świeżym powietrzu. Tess także wolałaby ćwiczyć na zewnątrz, niestety: nie mogłaby wtedy podnosić ciężarów.

Na maszynie do treningu mięśni czwórgłowych siedział blady, żyłasty czterdziestolatek.

- Mogę? - zapytała.

- Jeszcze dwie serie - powiedział, podnosząc dwa palce. Ale zamiast zacząć, dalej siedział, rozparty jak przy barze. Wyraźnie mu się nie spieszyło. Tess postanowiła potrenować wyciskanie nogami na suwnicy. - Co o tym myślisz? - zagadnął, nadal zwlekając z rozpoczęciem ćwiczenia.

- O czym? - rzuciła przez zaciśnięte zęby, kończąc serię. Obciążniki opadły z trzaskiem. Ale fuszerka. Jeśli Tyner słyszał, zmyje jej głowę.

- O tym gościu na wózku. O co mu chodzi?

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Chryste, jest stary i jeździ na wózku. Ja ćwiczę, bo rok temu się rozwiodłem. Trzeba utrzymać stare cielsko w formie. Nie znoszę tego, ale trudno. A dlaczego on to robi?

- Skończyłeś już? - spytała lekkim tonem, chociaż jej drugie, sekretne wcielenie właśnie budziło się do czynu: tak pewnie czuł się Clark Kent, zrzucając garnitur w budce telefonicznej. Policzyła do trzydziestu - bynajmniej nie po to, żeby opanować gniew. Chciała tylko wyznaczyć sobie jak najkrótsze okresy odpoczynku.

- Prawie. - Wykonał kolejną serię, za szybko i zbyt gwałtownie, sapiąc, prychając i majtając nogami. Podniósł palec. - Jeszcze jedna seria. Tak przy okazji, jak masz na imię?

- Tess. - Ale nazywają mnie Kastratorką.

Czekała na właściwą chwilę, spokojnie i cierpliwie, pozwalając mu głądzić przez cały długi okres odpoczynku i ostatnią serię ćwiczeń. Co chwila

podrzucał drobne wskazówki, żeby pojęła, iż właśnie trafia się jej życiowa okazja. Miał dość rozumu, żeby wpleść je w opowieść - niepotrzebnie skomplikowaną historię o tym, jak to nienawidzi jeździć swoim range roverem na stadion, ale nie jest ostatecznie tak źle, jeśli się zaparkuje w strefie dla posiadaczy karnetów na cały sezon, o tym, że kocha Orioles, ale nie znosi jedzenia, które dają na stadionie, chyba że w Camden Club, a po meczu zwykle idzie do Dalesia. Nie wystosował formalnego zaproszenia - Tess wiedziała, że jeszcze nie zdecydował, czy jest tego warta - ale przekazał jej podstawowe informacje na wypadek, gdyby uznał, że na dzisiejszy mecz nie szuka się żadne lepsze towarzystwo.

Kiedy wreszcie skończył, wytarł nieistniejący pot z siedzenia i wyjął blokadę z trzydziestopięciokilogramowego obciążnika.

- Na ile ci ustawić? Wy, dziewczyny, nie lubicie za bardzo pakować, co?

- No, nie wiem - odparła Tess beztrąsko. - Nie jestem dziś w formie... Niech będzie pięćdziesiąt pięć kilo.

Zaśmiał się, jakby powiedziała świetny kawał, i włożył blokadę tam, gdzie prosiła. Tess z kamienną twarzą wskoczyła na siedzenie, poderwała obciążniki i szybko, sprawnie wykonała serię ćwiczeń. Jej nowy przyjaciel wchodził właśnie na suwnicę, ale przerwał, widząc, gdzie zostawiła blokadę. Czowała, że ambicja nie pozwala mu zmniejszyć wagi obciążników, a jednocześnie boi się, że nie będzie w stanie podźwignąć ciężaru, z którym Tess dała sobie radę.

- Ja chyba już mam dość na dzisiaj - stwierdził.

Jeszcze nie.

- A wiesz, ten gość na wózku... - powiedziała, kiedy się odwrócił i ruszył do wyjścia.

- Tak?

- To mój chłopak.

Dopiero teraz miał dość.

Podczas lanczu Tess streściła tę historię Tynerowi, omijając to, co dotyczyło bezpośrednio jego. Chociaż twierdził, że ma w głębokim lekceważeniu idiotów wszelkiej maści, na pewno zabolowałyby go bezmyślne komentarze tamtego faceta.

Siedzieli w Point, podniszczonym pubie, którego właścicielem był jej wujek Spike. Nie wiedziała, czy lokal jest tylko przykrywką dla bukmacherskich operacji Spike'a, czy źródłem utrzymania w sezonie, kiedy na zakładach nie można zarobić. Czerwiec był kiepską porą dla obu interesów: zastój w koszykówce i na torze wyścigów konnych Pimlico, rozgrywki futbolowe dopiero majaczyły na horyzoncie, a bejsbolem interesowali się tylko frajerzy. Żeby przyciągnąć klientów, Spike zaczął podawać darmowe fistaszki w

wielkich beczkach. Jego pomocnik, Tony, odmówił codziennego zamiętania podłogi, więc każdemu krokowi gości towarzyszyły trzask rozdeptywanych łupinek i obłoki fistaszkowego pyłu.

- Na pewno masz mnóstwo zajęcia jako Kastratorka - stwierdził Tyner - ale bardziej mnie interesuje twoja prawdziwa praca. Jak ci idzie?

- Szło doskonale, póki dzisiaj w nocy ktoś nie wyłamał zamka w biurze. Nic nie zginęło, ale mam przeczucie, że to nie będzie ostatnie włamanie. Taka okolica.

- Myślisz, że to ćpun?

- Chcesz jeszcze orzeszków? - Tess podeszła do najbliższej baryłki, złapała dwie garście fistaszków i wysypała je ze stukotem na stół przed Tynerem. - Zauważyłeś, że w każdej porcji orzeszków jest zawsze jeden idealny? Trochę mocniej uprażony niż inne, ciemniejszy, prawie pikantny. Jesz kolejne porcje, szukając tego doskonałego smaku, ale zamiast tego trafiasz na takiego wyschniętego i gorzkiego, który zabija aromat tamtego, więc znowu jesz i jesz, żeby to jakoś wyrównać, a jak się opamiętasz, mdli cię z przeżyczenia i ważysz tonę, i wciąż nie udało ci się znaleźć tego idealnego, ulotnego fistaszkowego smaku.

Tyner nie należał do ludzi, których uwagę można odwrócić monologiem o orzeszkach ziemnych.

- Więc to nie byli ćpuni, prawda?

- Nie - przyznała Tess, wzdychając głośno. - Myślę, że ktoś włączył mój komputer i wydrukował plik. W podajniku był papier, a ja nigdy go nie zostawiam w drukarce. Wkładam, kiedy jest potrzebny.

- Który plik wydrukował?

- Nie wiem. Zakładam, że Beale'a. Stary siedział w środku, kiedy przyszedłem. Powiedział, że przypadkiem trafił na wyłamane drzwi. Wiem, że to podejrzanе, ale dlaczego miałby kraść informacje z własnej sprawy? I tak ma prawo je znać. Ale to nie mogła być też Jackie. Tylko ona jedna wie, że dla niej pracuję.

- Twoim zdaniem.

- No tak, tylko czemu miałyby kłamać?

- Nie mam pojęcia, ale wiemy na pewno, że już raz skłamała. Nawet jeśli miała powód, żeby urządzić całą tę zgadywanę z Mary Browne, skłamała. I w dodatku umie to robić. - Tyner zmiotł na ziemię skorupki. - Co wiesz o ojcu dziecka?

- Pieśń przeszłości. Jakiś chłopak z sąsiedztwa. Nic był zainteresowany ojcostwem i zrzekł się praw rodzicielskich. Jackie nie widziała go od lat.

- Tak ci powiedziała.

- I znów: dlaczego miałyby mnie okłamać?
- Nie wiem, dlaczego ludzie robią różne rzeczy - stwierdził Tyner. - Mam obowiązek przypominać ci, ile jest możliwości na tym świecie. Nie bierz nic za pewnik, Tess. Ktoś wydrukował plik z twojego komputera. Są w nim dwa pliki, Beale'a i Jackie. Beale siedział w twoim biurze, kiedy przyszedłaś, i zapewniał, że jest niewinny, zanim ktokolwiek go oskarżył. Dziwne. Bardzo dziwne. A Jackie okłamała cię przynajmniej raz. Kto wie, czy nie skłamała w sprawie ojca dziecka. Może ktoś jeszcze chce znaleźć tę dziewczynkę.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Trzymasz broń w biurze?
- Tak, w sejfie. Jest na swoim miejscu.
- Masz pozwolenie, żeby ją nosić przy sobie. Może powinnaś z niego skorzystać.

- Tyner, to jakaś paranoja.

- Byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, że masz pistolet w kieszeni. To w końcu Wzgórze Rzeźnika. A jeśli następnym razem wejdiesz prosto na włamywaczy? Powiesz: „Przepraszam, muszę wziąć coś z sejfu i zaraz do panów wracam?” Jeśli to ćpuni, musisz reagować szybko. Oni nie działają racjonalnie, mogą cię zabić z byle powodu.

Tess milczała, wybierając ze stosiku kolejne fistaszki. Wciąż miała zamiar znaleźć ten idealny orzeszek

# Rozdział 11

W NIEDZIELĘ RANO TESS WYBRAŁA SIĘ NA POSZUKIWANIE TREASURE'A\*.

Mimo że było gorąco, postanowiła iść pieszo. Wiedziała, że tak właśnie przemieszcza się po mieście Treasure: na zachód, do jadłodajni Beans and Bread, i z powrotem na wschód, do miejsca, gdzie akurat (oczywiście nielegalnie) zamieszkiwał.

Punkt wydawania zupy Beans and Bread znajdował się zaledwie kilka przecznic od jej mieszkania. Pierwszy lokal tej katolickiej misji mieścił się w małym sklepiku, bliżej rzeki i tuż za rogiem ulicy, przy której mieszkała. Jednak bieda była jednym z niewielu interesów w Baltimore, który nie przeżywał sezonowych przestojów, i Beans and Bread szybko musiało się przenieść do większej siedziby. Obecnie jadłodajnia zajmowała budynek dawnej synagogi.

Mimo że wiedziała o tym wszystkim, Tess zaskoczył widok kolejki niemal pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet, którzy czekali przed Beans and Bread w niedzielę o jedenastej rano. Barczysty mężczyzna w lustrzanych okularach bronił dostępu do drzwi, mamrocząc coś do krótkofalówki. Od czasu do czasu drzwi otwierały się z trzaskiem, ze środka wyglądała kobieta i szeptała mu do ucha numery, które powtarzał głośno. Wtedy pięć do dziesięciu osób pokazywało swoje kartki i wpuszczano ich do wnętrza. Scena przypominała selekcję przed jakimś modnym nowojorskim klubem, tylko że tutaj oczekujący byli znacznie uprzejmiejsi.

- Nie możesz wejść z psem, siostró. - Mężczyzna przy drzwiach zwrócił się do niej zdecydowanym, ale grzecznym tonem. - Mogę go popilnować, kiedy będziesz jadła. Trzeba z pół godziny zaczekać.

\* Treasure - dosłownie: skarb;  
Destiny - przeznaczenie (przyj. tłum.).

- Nie przyszłam po jedzenie. Szukam chłopaka, który tu często bywa. Nazywa się Treasure Teeter.

- Treasure Teeter? - Mężczyzna popatrzył na tłumek zza lustrzanych szkieł. - Nie przypominam sobie. Ale nie znam wszystkich po nazwisku. Siostra Eleanor pewnie by wiedziała, tylko że dziś jej nie ma. Czy to może zaczekać do jutra?

- Może, skoro musi. - Tess westchnęła.

- Wiesz, jak on wygląda?

- Nie. Tylko tyle, że jest bardzo młody, ma koło siedemnastu lat. I pewnie bierze narkotyki.

- Jest taki jeden chłopak, przychodzi codziennie, ale nie słyszałem, żeby ktoś mówił na niego Treasure. - Mruknął coś do krótkofalówki i posłuchał przerywanej trzaskami odpowiedzi. - Joe Lee mówi, że był tu, kiedy otwieraliśmy. O dziesiątej. Ale już dawno poszedł. Trzy, cztery tury temu.

Bezzębny starzec, mimo ciepłego dnia okutany w gruby płaszcz i w wełnianej czapce, przysunął się do mężczyzny przy drzwiach i wyszeptał mu coś nieśmiało do ucha. Żył na ulicy od tak dawna, że kurz i brud wżarty się w jego skórę i ubranie. Kiedy Esskay chciała powąchać brzeg granatowego płaszcza, skurczył się ze strachu i odbiegł dobre dwadzieścia metrów.

- O co chodzi?

- Mówi, że Bea Gaddy wydaje dziś jedzenie i że chłopak tam poszedł. Wiesz, gdzie to jest? Na Collington.

Starzec zbliżył się do nich ostrożnie, grzebiąc w kieszeniach i nie spuszczać oczu z Esskay. Znow zaczął szeptać do mężczyzny przy drzwiach, tak cicho, że Tess nie mogła zrozumieć ani słowa.

- Twój pies gryzie? - zapytał mężczyzna.

- Tylko jeśli jesteś hot dogiem albo gryzoniem.

- Widzisz, Howard? Pies nie gryzie i ona chyba też nie. Dalej, powiedz siostrze, co dla niej masz.

Starzec pokręcił lekko głową, po czym wydobyl z kieszeni puszkę pomarańczowego napoju gazowanego i wyciągnął rękę w stronę Tess. Grzbiet dłoni miał brudne, ale wewnątrz wyglądało na świeżo wyszorowane.

- Gość z Superfresh przekazał nam dzisiaj kilka skrzynek z napojami. Każdemu dajemy puszkę na odchodne - wyjaśnił mężczyzna w okularach. - Howard chce, żebyś ją wzięła. Mówi, że do Bei Gaddy jest daleko, a w takie gorąco chce się pić.

Tess spojrzała na puszkę z napojem, leżącą na sękatej, pożółkłej, spękanej dłoni z paznokciami o czarnych obwódkach. Jaskrawopomarańczowa puszkę - marki Superfresh, America's Choice - wciąż była pokryta perełkami



wody. Nie mogła długo leżeć w kieszeni granatowego płaszcza. Poczwała, że mężczyzna przy drzwiach przygląda się jej uważnie. America's Choice. Wybór Ameryki. Jej wybór. Wzięła puszkę, starając się nie wzdygnąć, kiedy jej palce dotknęły palców Howarda, otworzyła ją i pociągnęła długi łyk.

- Dziękuję, Howardzie - powiedziała do starca, który zrobił kilka kroków tyłem, odwrócił się i pobiegł ulicą.

- Uszczęśliwiłaś go - odezwał się mężczyzna przy drzwiach.

- Bo wzięłam od niego napój i postraszyłam psem?

- Bo pozwoliłaś mu zrobić coś dla siebie. Nikt nie chce zawsze tylko przyjmować. Howard codziennie wynosi stąd chleb. Karmi ptaki, żeby być komuś potrzebny.

Skręciwszy na wschód w Bank Street, Tess zobaczyła Howarda w środku stadka ptaków. Gołębie i mewy krążyły tuż nad jego głową, ale wcale się ich nie bał. Gruchał do nich w swoim języku, krusząc chleb, i wyrzucał go w powietrze jak białe konfetti.

Lato było dla Bei Gaddy okresem zastoju - cały wysiłek koncentrowała na przygotowaniu i odpowiednim nagłośnieniu obiadu dla tysięcy osób, wydawanego z okazji Dnia Dziękczynienia. Mimo to przed jej szeregowcem stał stół na dary, które napływały każdego dnia. Dzisiaj na stole leżało tylko kilka swetrów i pudło zużytych kaset wideo. Niesamowite, jakie rupiecie ludzie przekazują instytucjom dobroczynnym, pomyślała Tess, zupełnie jakby były wysypiskami, gdzie wyrzucone śmieci można sobie odpisać od podatku.

Młody mężczyzna z wielką uwagą przeglądał taśmy, jakby wpadł do wypożyczalni i wybierał film na wieczór. Może kiedyś miał odtwarzacz, ale jego wynędzniała sylwetka opowiadała historię niezliczonych wizyt w lombardach i życia, w którym nie było już ani jednej rzeczy, nadającej się do przehandlowania za dolara czy dwa.

- „Dorf uczy golfa” - odezwał się, odkładając kasetę. - Ej, tu nic nie ma. Podobno dawaliście dziś tastykakes.

- Tak - powiedziała kobieta, pilnująca, żeby ludzie nie brali rzeczy ze stołu na sprzedaż; co prawda na tych ubraniach trudno byłoby cokolwiek zarobić. - Spóźniłeś się dziesięć minut. Wiesz, jak szybko znikają słodycze.

- Ej, to ból - przeciągał sylaby jak zmartwione dziecko i przestępował z nogi na nogę. - Były butterscotch krimpets? Nie mów, że były butterscotch krimpets.

- A czy to ważne? Wszystkie poszły. Nic nie dostaniesz.

- Człowiek lubi wiedzieć, co go ominęło, czujesz? No to były butterscotch krimpets czy nie?

- Nie wiem - odparła kobieta ponuro. - Głównie juniors i babeczki.

Tess, stojąc z boku, czekała uprzejmie, aż mężczyzna skończy swoje dochodzenie w sprawie ciastek. Kiedy zaczął przerzucać używane swetry, zwróciła się do kobiety.

- Zna pani Treasure'a Teetera?

- Aha. - Tylko jedna sylaba: nie zabrzmiała miło, za to mniej więcej twierdząco.

- Był tu dzisiaj?

Kobieta bez słowa odwróciła się i zaczęła składać brązowe papierowe torby. Mężczyzna, nadal przebierając w ubraniach, obserwował Tess spod ciężkich powiek. Wyciągnęła z kieszeni pięciodolarowy banknot, pomachała nim ostentacyjnie, po czym odeszła z Esskay. Skręciła za róg Collington i czekała. Niebawem się pojawił: biegł, żeby ją dogonić.

- Ja go znam... mówił, dysząc, ledwie żywy po przebiegnięciu tak krótkiego dystansu. - Treasure Teeter. Każe na siebie mówić Trey, ale jedna dziewczyna, która tu przychodzi, nazywa go Treasure. Ładna dziewczyna. Nie wiem, co taka w nim widzi.

- Pokaż mi, gdzie go znaleźć, to dam ci tego piątaka. Kupisz sobie mnóstwo butterscotch krimpets.

Wiedziała, że nie kupi. Mając gotówkę w ręku, zapomni o apetycie na słodycze i będzie myślał tylko o tym, żeby zaspokoić inny, większy głód.

- Za dziesiątkę zaprowadzę cię do niego.

- Prosto do niego? Zgoda.

Wyciągnął rękę - oczywiście nie chciał uścisnąć jej dłoni na zgodę, tylko wziąć banknoty.

- To później. Kiedy zobaczę się z Treasure'em.

Ruszył prawie biegiem, najpierw na zachód, potem skręcił na południe, w Chester Street, i wreszcie zatrzymał się w połowie ulicy.

- To tu - oznajmił, niecierpliwie nadstawiając dłoń.

- To opuszczony dom, skąd mam wiedzieć, że Treasure jest gdzieś w pobliżu?

- Jest w środku. - Mężczyzna załomotał w okno, aż zadrżała wypełniająca je sklejka. - Trey, stary, to ja, Bobby. Mam coś dla ciebie. Coś dobrego.

Sklejka odchyliła się powoli. Chłopiec, który wystawił głowę z otworu, wyglądał na znacznie mniej niż siedemnaście lat. Miał zaspianą buzię cherubinka, którego ktoś obudził w środku nocy, ropę w kącikach oczu i czuprynę spłaszczoną z jednej strony. Przy ustach widniała żółta, rozmazana plama - nadzienie z babeczki.

- Czego chcesz, stary?

Ale Bobby'ego już nie było: pognął przed siebie, ściskając w ręce pięciodolarówkę od Tess.

- Cześć, Treasure. Nazywam się Tess Monaghan. Szukałam cię.
- Mam na imię Trey.
- Nadal cię szukam.
- Znam cię?
- Nie.
- Nic nie zrobiłem - powiedział automatycznie.
- Nikt nie mówi, że zrobiłeś.
- To co ode mnie chcesz?
- Ktoś poprosił, żebym sprawdziła, co u ciebie. Jak się masz.

Był zbyt zobojeźniały, żeby wysilić się na autentyczny sceptycyzm, ale widziała, że jej nie uwierzył.

- Moja ciotka wynajęła białą babkę, żeby sprawdziła, jak się mam? Przecież wie. Prosiłem ją o pieniądze w środę, jak Beans and Bread było zamknięte i nie mogłem zjeść nic ciepłego. Niezła sztywniara. Powiedziała, że może mi zrobić omlet. A gotuje do dupy. Ja mam to jeść?

- Mieszkaś u niej, prawda?
- Jak chcę. Jak muszę. Zimą jest w porządku. Ale wolę być na swoim.
- A twoja siostra, Destiny? Mieszka u ciotki czy tu, z tobą?
- Destiny nie ma.
- A gdzie jest?
- Dawno jej nie widziałem, ale zaraz wróci i wszystko będzie dobrze.

Tak mi powiedziała. Że będzie w porzo. Jak tylko wróci, wynajmiemy sobie mieszkanie.

- Dokąd pojechała?
  - Nie wiem - zachichotał. - Pewnie do Birmy.
  - Do Birmy?
  - A może tym razem przekopała się aż do Chin. Tak, do Chin, na pewno.
- Chichotał i nie mógł przestać.

Dragowy humorek. No, ale Tess, kiedy się upiła, też uważała, że jest zabawna do łez.

- Kiedy wraca?
- Jak skończy.
- Kiedy ją ostatnio widziałeś?

Treasure podniósł ręce, jakby chciał policzyć dni na palcach. Zamiast tego znów zaczął się śmiać, jak gdyby zobaczył coś wesołego na swoich dłoniach. Może linię życia. Potem wyprostował dłoń, niczym policjant zatrzymujący ruch, i popatrzył nad ramieniem. Stał tak przez jakiś czas.

- Treasure?
- Robię Heismana\*.
- Co?
- Heismana. Jak w futbolu.

Powtórzył ruch. Tess zrozumiała, że naśladuje postać z nagrody; toruje sobie drogę przez życie.

- Mógłbym tak biegać. Mógłbym. Mógłbym dostać stypendium, gdybym chciał.

- Pytałam o Destiny. Myślałam, że bliźnięta są ze sobą naprawdę blisko, bliżej niż zwykłe rodzeństwo.

Treasure popatrzył na nią tępo.

- Jesteśmy blisko. Naprawdę. Destiny i ja zawsze trzymamy się razem. Słuchaj no, szukałaś mnie czy mojej siostry? I czego w ogóle chcesz?

Dobre pytanie. Co Luther Beale mógł zrobić dla Treasure'a Teetera, poza kupieniem mu zapasu kraku i znalezieniem przyjemniejszego miejsca, gdzie mógłby go palić?

- Chcesz z tym skończyć? Chcesz zdać GED\*\*? Znam kogoś, kto mógłby ci pomóc.

- Wiedziałem, że to jakieś gówno. Jesteś z tej kliniki, nie? Tej, co zbiera ludzi z ulic. Wszyscy wiedzą, że na detoksie nie ma miejsc, nawet jak ktoś chce. Trzeba czekać w kolejce. Chyba że jesteś weteranem. Ale ja nie jestem. Nie oficjalnie. - Zachichotał. - Jakby kto chciał, to bym poszedł na wojnę. Na wojnie nie może być gorzej niż tam, gdzie byłem. Tak, pani szanowna, poszedłbym na wojnę, jak w dym.

- Mogłabym załatwić ci miejsce w prywatnym szpitalu. Znam... program, który za wszystko zapłaci. Jeśli tylko chcesz. Osobny pokój, dobre jedzenie. Nie to, co w państwowym szpitalu.

Treasure oparł brodę na parapecie. Wyglądało na to, że zastanawia się nad jej propozycją. Nagle jego uwagę przyciągnęła stonoga, pełznąca po łuszczącej się farbie. Podstawił jej palec, a kiedy na niego weszła, przysunął ją sobie do twarzy i patrzył z takim natężeniem, aż zaczął zezować. W końcu strzepnął palec, strącając owada na ziemię.

\* Nagroda im. Heismana, najbardziej prestiżowe wyróżnienie, jakie może zdobyć zawodnik drużyny akademickiej, ma postać figurki futbolisty w charakterystycznej pozycji (przyp. tłum.).

\*\* GED - General Educational Development - zestaw pięciu testów, po których zdaniu otrzymuje się świadectwo posiadania wiedzy na poziomie absolwenta szkoły średniej (przyp. tłum.).

- Niece... to nie dla mnie.

Tess podała mu wizytówkę.

- Gdybyś zmienił zdanie, zadzwoń. Propozycja będzie aktualna, przynajmniej przez jakiś czas.

Treasure sięgnął po kartonik i zaczął sobie nim dłubać w zębach.

- Dobra była ta babeczka - powiedział. - Szkoda, że nie wziąłem dwóch.

Kiedy Tess i Esskay wróciły do domu, Kitty przygotowywała sklep do otwarcia. Suka, która nie miała okazji skorzystać z daru bezdomnego starca, rzuciła się do miski - Kitty trzymała ją dla niej za kontuarem - i zaczęła łączyć chleptać, rozlewając więcej wody, niż wypijała.

- Masz czasem wrażenie, że są co najmniej dwa Baltimore, a niejedno? - zapytała Tess, próbując jednocześnie wytrzeć kałużę z podłogi.

Kitty jak zwykle rozumiała, co Tess ma na myśli, nawet jeśli ona sama nie była tego pewna.

- Raczej trzy albo cztery, a może pięć. Ale tak zawsze było, Tesser. Bogałe Baltimore, biedne Baltimore. Białe Baltimore i czarne. Stare Baltimore... to ci ludzie, którzy potrafią wykazać swoje arystokratyczne pochodzenie od czasów Mojżesza i arki... i Baltimore imigrantów.

- Nigdy nie sądziłam, że kilometr od domu mogę się poczuć jak w obcym państwie. Kitty, ja się dzisiaj bałam. Bałam się starego człowieka, który chciał mi tylko dać puszkę napoju gazowanego. Bałam się stać na Chester Street przed opuszczonym domem i rozmawiać z naćpanym dzieciakiem w środku. To miasto umiera. Za sto lat już go nie będzie.

- Za młoda jesteś, żeby tracić złudzenia. Kiedy raz zaczniesz tak myśleć, to już koniec. Pamiętaj: w zeszłorocznych gniazdach dzisiaj nie ma ptaków.

- To znaczy?

- Nie skończyłaś jeszcze Don Kiszotę, prawda?

Tess zaczęła zaciekle szorować podłogę, chociaż zebrała już prawie całą wodę. Ta książka prześladowała ją całe życie.

- Skończyłam pierwszą część. Cervantes wydał drugą po dziesięciu latach od pierwszej, więc myślę, że za dziesięć lat po nią sięgnę.

- Naprawdę ważna jest druga część. Ważniejsza od tych walk z wiatrakami z pierwszej części. - Kitty otworzyła podwójne drzwi, przed którymi z kubkami kawy w rękach stało już kilka osób. Byli to jej najbardziej oddani klienci, czekali aż do niedzielnego popołudnia, żeby kupić w księgarni pisma wychodzące poza Baltimore i zasiąść do lektury w wypłowiayłych fotelach. Tylko kilku udawało się wyjść bez nowej książki: Kitty po prostu wciśkała im je w ręce. Kitty Monaghan, królowa handlu obnośnego.

- Pomyliłam się, wiesz? - odezwała się nagle znad stosu powieści autorstwa Annę Tyler, który zawsze leżał przy kasie. Tą donkiszoterią Kitty próbowała zwabić unikającą rozgłosu lokalną autorkę na spotkanie z czytelnikami i rozdawanie autografów w księgarni. Jak dotąd to się nie udało, ale Kitty nie traciła nadziei.

- Co do czego? Świat się kończy. Nie pamiętam, żebyś chociaż raz przyznała się do pomyłki.

Kitty zignorowała docinek.

- Nie brakuje ci iluzji, Tess. Brakuje ci Sanczo Pansy. Whitney jest w Tokio, Crow w Teksasie. Potrzebujesz towarzysza. Nie ma Don Kiszota bez Sanczo Pansy.

- Whitney wróci. A Crow... Wcale o nim nie myślę.

- Kłamczucha.

- Może. Tak czy inaczej, mam Esskay. Wystarczy mi taki Sanczo Pansa. Na dźwięk swojego imienia suka podniosła mokry pysk. Dyszała niczym lokomotywa, wywieszając jęzor jak flagę, i nadstawiała uważnie jedno ucho, podczas gdy drugie opadało w bok.

- Może być - zawyrokowała Kitty. - Póki nie pojawi się coś lepszego.

# Rozdział 12

MOIM ZDANIEM KAWA SIĘ POPRAWIA - stwierdziła Tess, popijając łyk z kubka. Czekają z Jackie na rozpoczęcie spotkania Grupy na Rzecz Praw Adopcyjnych. - Kiedy podnieśli ceny i ludzie przywykli, że muszą płacić dwa, trzy dolary, zaczęli mieć większe oczekiwania. Tam, gdzie podawali przepalone, lurowate ścieki, muszą teraz mieć przyzwoitą kawę. Nawet w takich miejscach jak tu, gdzie jest za darmo.

Jackie nic nie powiedziała, objęła się tylko ściślej ramionami i wcisnęła długie nogi pod plastikowe krzeselko.

- No, ale jest jeszcze tajemnicza sprawa z rozpuszczalną kawą - gadała dalej Tess; miała nadzieję, że w ten sposób uspokoi Jackie. - Czytałam w gazetach, że rozpuszczalną piją głównie starsi ludzie. Kiedy ich zapytać dlaczego, mówią, że zaparzenie mielonej trwa za długo. Tak jakby mieli coś lepszego do roboty niż poczekać dziesięć minut na kawę!

Jackie zgięła się w pół. Wyglądała jak ofiara bolesnego skurczu żołądka. Tess zaczęła się zastanawiać, czy nie chce jej mieć przy sobie na wypadek, gdyby nie wytrzymała napięcia i próbowała uciec. Chociaż, prawdę mówiąc, Centrum Międzyreligijne w Columbii ją również przyprawiało o ból brzucha. Ekumeniczny, otwarty dla wszystkich wiar ośrodek był częścią oryginalnej wizji Columbii i w budynku zostało coś z dawnego hipisowskiego klimatu.

- Nie każą nam chyba wziąć się za ręce i śpiewać te okropne piosenki o Jezusie, które brzmią jak kiepskie country? - zapytała.

- Nie wygłupiaj się. Jesteśmy w sali spotkań, nie na mszy - warknęła Jackie. Była opryskliwa, ale Tess cieszyła się nawet z takiej reakcji.

Mimo to Jackie nadal próbowała złożyć się w pół, jak łabędź z papieru, jakby chciała się skurczyć i schować. Niestety, nie mogła się stać niezauważalna. Jej ubranie - zwykłe jak na Jackie, po prostu granatowe spodnie i

sweter - było ładniejsze niż innych. Wyróżniała się urodą. Najwyraźniej uprawiała jogę.

A do tego czarnoskóra - jako jedyna w pomieszczeniu pełnym białych ludzi.

Energiczna kobieta z siwiejącymi jasnymi włosami weszła na podwyższenie. Włączyła mikrofon, postukała w niego i w końcu wyłączyła.

- Chyba tego dziś nie potrzebuję - powiedziała silnym, dźwięcznym jak dzwon głosem. Większość obecnych się roześmiała - Tess również - za to Jackie wyglądała na zniecierpliwioną i rozdrażnioną.

- Nazywam się Adele Sirola. Jesteśmy na spotkaniu Grupy na Rzecz Praw Adopcyjnych, która jest grupą wsparcia w najlepszym sensie tego nadużywanego słowa. Pomagamy w nawiązaniu kontaktu między osobami adoptowanymi a ich biologicznymi rodzicami. Prowadzimy też lobbing w Senacie stanowym. Staramy się o zwiększenie dostępu do dokumentów adopcyjnych i środków na tworzenie rejestrów rodziców biologicznych i adoptowanych dzieci. W zeszłym miesiącu, jak co roku w maju, zorganizowaliśmy w Waszyngtonie marsz pod hasłem „Otwórzcie moje akta”. - Uśmiechnęła się smutno. - I jak co roku, media całkowicie nas zignorowały. Można powiedzieć, że w ostatnich latach cierpieliśmy na problemy z PR-em.

W pierwszym rządzie ktoś podniósł rękę.

- Przyjaciel ostrzegał mnie, żeby tu nie przychodzić. Powiedział, że jesteście bardzo radykalni i uważacie, że adopcje powinny być zakazane.

Adele westchnęła.

- To wszystko pokłósie spraw Małej Jessiki, Małego Richarda i innych nietypowych przypadków, w których biologiczna matka zaczyna żałować decyzji i próbuje odzyskać dziecko, zanim adopcja dojdzie do skutku. Wykorzystuje się wtedy jakąś lukę wprawie, zazwyczaj jej własne kłamstwo na temat ojcostwa. Kończy się tak, że wszystkie stacje pokazują, jak wrywa się wrzeszczące, oszołomione dziecko z rąk rodziców adopcyjnych i oddaje obcej dla niego osobie. To dobrze wygląda w telewizji, ale nie o to nam chodzi.

Rozgorączkowana Adele przemierzała podwyższenie wielkimi krokami.

- Dostaję szału, kiedy ktoś mówi, że czegoś nie rozumiem, bo sama przez to nie przesłam. Uważam, że nie brak mi empatii. Ale prawda jest taka, że osoby, które nie są adoptowane, po prostu tego nie rozumieją. Nie wiedzą, jak to jest mieć dwoje wspaniałych, kochających rodziców i mimo to gapić się w lustro, zastanawiając się, kim jest twoja matka. Dlaczego rodzice cię oddali? Co ci przekazali? Przy tych wszystkich odkryciach w genetyce, jak możesz nie chcieć się dowiedzieć, kim są twoi biologiczni rodzice?

Ktoś odezwał się z lewego kąta.



- Agencja, która przeprowadziła moją adopcję, twierdzi, że mam prawo do informacji medycznych, ale gdyby nie mogli zagwarantować dożywotniej poufności, cały system by się rozsypał.

- Niech zgadnę, to była katolicka agencja, prawda? - zapytała Adele. Kilka osób się roześmiało. Każda grupa ma swój język i folklor. Nawet swoje własne żarty, pomyślała Tess.

- Tak, znam ten argument - mówiła dalej Adele. - Nieco nieaktualny, nie sądzicie? Opiera się na założeniu, że adopcja ma związek z jakimś wstydlwym sekretem, którego ujawnienie byłoby wielkim problemem dla rodziców i dla dziecka. No cóż, kiedy ostatni raz sprawdzałam w kalendarzu, XIX wiek już się skończył. Dzisiaj nieślubna ciąża to po prostu decyzja, która wpływa na przebieg kariery. W jednym pokoleniu przeszliśmy od Ingrid Bergman do Madonny. Kiedy odwołują się do „wstydu”, tak naprawdę mówią: „Jesteś błędem. Jesteś problemem”. Śmieszne.

Jackie kręciła w palcach klips, z głośnym trzaskiem otwierając i zamykając zapięcie.

- Jesteś adoptowana? - zwróciła się do Adele kobieta siedząca w lewym rogu.

Prowadząca się uśmiechnęła.

- Jestem matką trójki dzieci i pracuję w Narodowym Instytucie Zdrowia. Uznałam, że mam za dużo wolnego czasu i muszę się czymś zająć.

Obecne w sali kobiety roześmiały się, a zaskoczeni mężczyźni popatrywali po sobie z niezrozumieniem.

- Oczywiście, że jestem adoptowana - powiedziała Adele. - Wiedziałam o tym całe życie, ale zaczęłam szukać matki dopiero, kiedy miałam trzydzieści kilka lat i własne dzieci. Nawiasem mówiąc, często tak bywa: duże zmiany w życiu powodują, że zaczyna się o tym myśleć. Znalazłam moją matkę w stanowym domu opieki w Nowym Jorku, z zapaleniem płuc. Większość życia mieszkała na ulicy. Zmarła tydzień później. I powiem wam, że żałowałam tylko jednego: że nie zaczęłam wcześniej jej szukać. Mogłabym mieć pół roku, rok, pięć lat z moją matką. Miałam tydzień. To lepsze niż nic.

- Dlaczego nam nie powiesz, jak ją odszukałaś? - Tess pomyślała, że pytanie brzmi jak przygotowane.

- Dziękuję, Terry. Przy okazji, Terry jest ustawiona, miała o to zapytać. - Adele była swobodna i jednocześnie tak opanowana, że Tess zastanawiała się, czy cokolwiek zdołałoby wytrącić ją z równowagi. Zebrani jedli jej z ręki. Mogłaby im sprzedawać próżniowe pojemniki na żywność, bieliznę, udziały w apartamentach wakacyjnych albo magnetyczne płytki uzdrawiające.

- Zrobiłam to dokładnie tak, jak wy znajdziecie swoich rodziców. Musicie zacząć od tego, co wiecie: nazwa agencji, która przeprowadziła adopcję, wszystko, co możecie wywnioskować z informacji medycznych, do których macie prawo wglądu, między innymi dzięki staraniom takich grup jak nasza. Musicie jęczeć, błagać, przymilać się. Zdobądźcie imię albo nazwę stanu. Zdziwicie się, ile można w ten sposób osiągnąć.

- Nie jest tak prosto kogoś znaleźć. Mówisz, jakby to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem - wyrwało się Tess, która doskonale pamiętała, jak trudno było jej odszukać dzieci, których imiona znała.

Zebrani odwrócili się w jej stronę, z niezadowoleniem marszcząc brwi na widok obcej osoby, która ośmiela się wyrażać wątpliwości. Adele tylko wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że to trudne. Dlatego właśnie mamy tę dwudziestostronicową broszurę - podniosła rękę z cienkim zeszytem w brzoskwiniowej okładce, spiętej czarnym, plastikowym grzbietem - którą możecie dostać za nie wiarygodnie niską cenę zera dolarów. Mamy też bazę internetową i kontakty z podobnymi grupami w całym kraju, jeżeli ktoś z was będzie szukać rodziców w innym stanie. Jeśli to wszystko zachęciło was do zasilenia naszego konta, zapraszam. Jesteśmy organizacją pozarządową i wszelkie wsparcie dla nas możecie sobie odpisać od podatku. Są jeszcze jakieś pytania?

W górę wystrzeliło kilka rąk.

- Ogólne pytania, nie dotyczące waszych konkretnych spraw. - Ręce opadły. - W takim razie możecie wstać, dolać sobie kawy i wziąć ciastka. Nasi konsultanci będą siedzieć w różnych miejscach w sali. Możecie porozmawiać z nimi w cztery oczy o tym, jak zacząć poszukiwania. Możecie też się razem zastanowić, czy jesteście już gotowi. Ale skoro tu przyszliście, macie za sobą pierwszy krok.

Jackie się nie poruszyła. Tess podeszła do stolika, dolała kawy do dwóch kubków i nałożyła ciastek do serwetki. Pepperidge Farm i małe francuskie ciasteczka, Lulu, bezkofeinowa kawa z Sumatry i czekoladowo-migdałowa zwyczajna. „Toto, chyba nie jesteśmy już w Baltimore!”

Jackie zignorowała kawę i ciastka. Wyglądało na to, że nie ma zamiaru ruszyć się z miejsca, chociaż zebrani zaczęli już rozmowy z konsultantami i salę wypełnił stłumiony szum zaafierowanych głosów. Kołysała się lekko na krześle, obejmując ramionami, jakby było jej zimno.

Adele zbliżyła się i usiadła po drugiej stronie. Bluzka wylaziła jej ze spódnicy, miała okruchy ciastka w kąciuku ust i mieszała kawę długopisem. Tess już zaczęła ją lubić, a stukanie długopisu BIC w brzeg papierowego kubka przesądziło sprawę.

- Trochę się denerwujesz, prawda?
- Nie! - wy paliła Jackie. - Chodzi o to, że jestem... inna niż reszta.
- Bo jesteś czarnoskóra? - Adele wyglądała na autentycznie zaskoczoną.

Rasy nie uważało się za istotną w Centrum Międzyreligijnym, w sercu utopijnej Columbii. W złym tonie było nawet o niej wspominać.

- Stale mówiłaś o szukaniu rodziców. Ja nie szukam matki. Byłam... jestem... to ja jestem matką.

Adele złapała Jackie za rękę. Zdumiewające, że Jackie na to pozwala - Tess spodziewała się, że wyrwie i schowa dłoń. Nie ruszyła się jednak. Adele mówiła kojącym głosem, o wiele cichszym, ale tak samo swobodnym i jasnym, jak podczas prezentacji.

- Byłaś bardzo młoda, prawda? Szesnaście, siedemnaście lat?
- Osiemnaście - odpowiedziała Tess, ponieważ Jackie milczała. - Teraz ma trzydzieści jeden.

- Masz rację, że zazwyczaj przychodzą do nas adoptowane dzieci. I rzadko kiedy trafiają się matki w twoim wieku. Ale to bardzo dobrze, wiesz? Z każdym rokiem ślad się zaciera. Urodziłaś tutaj, w Maryland?

Jackie kiwnęła głową, ze wzrokiem wbitym w kolana.

- W jakiej części?
- W Baltimore, w mieście.
- Do jakiej agencji poszłaś? Kościelnej, prywatnej czy państwowej?
- Do prywatnej. To było małe biuro przy Saratoga Street.
- Pamiętasz nazwę?
- „Alternatywy” i coś dalej.

- Dobrze, jakieś „Alternatywy” przy Saratoga Street. Pewnie myślisz, że to niewiele, ale zaraz zawołam Jeffa i zobaczysz, co potrafi zdziałać z takimi strzępkami informacji. - Zwracała się do Tess, jakby uważała ją za opiekunkę Jackie. - Jeff zna Baltimore. Ja lepiej się orientuję w przedmieściach Waszyngtonu.

Podeszła do szczupłego mężczyzny z wąską twarzą i wyrazistymi, brązowymi oczami. Gdyby Tess zwracała ostatnio uwagę na takie rzeczy, uznałaby go za przystojnego - ale ostatnio nie zwracała uwagi na takie rzeczy. Adele i Jeff odeszli na bok, rozmawiając w skupieniu, ściszonymi głosami. Tess usłyszała chyba, że któremuś wyrwało się głośniejsze „Jezu Chryste”, potem znów zaczęli szeptać. Kilka minut później podeszli do miejsca, gdzie siedzieli z Jackie. Tess wyczytała z twarzy Adele, że sprawa nie jest taka prosta, jak się spodziewała.

- Chyba mam dla ciebie dobrą wiadomość i złą wiadomość - zaczął Jeff - Znam to miejsce. Alternatywy w Planowaniu Rodziny. Ogłaszali się na

złoty stronach, oferując pełen zakres usług, od antykoncepcji do aborcji. W rzeczywistości byli finansowani przez radykalną grupę prolajferską. Przeprowadzili kilka adopcji, ale chodziło im przede wszystkim o odwołanie kobiet od aborcji. Wprowadzali je w błąd, podawali nieprawdziwe informacje. Kilka lat temu władze zakazały im działalności.

- Co to dla mnie oznacza? - W obliczu problemu Jackie otrząsnęła się z bierności. Znów była bizneswoman, która własnymi rękami wypracowała swój sukces. Żadna przeszkoda nie mogła jej zatrzymać w drodze do celu.

- Oznacza tyle, że nie możesz zrobić tego, co zwykle doradzamy w takiej sytuacji: wrócić do agencji i starać się ich przekonać, żeby podsunęli ci jakiś trop - wyjaśniła Adele. - Skoro agencja została rozwiązana, w zasadzie nie da się znaleźć danych pracowników, a tym bardziej akt. To poważne utrudnienie, ale nie koniec świata.

Tess dźgnęła Jackie małym palcem. Paznokcie miała dość krótkie, ale nie na tyle, żeby Jackie nie poczuła ukłucia w udo. „Pamiętaj, po to masz mnie. Umie odnaleźć ludzi, których trudno znaleźć”.

- W takim razie od czego mam zacząć? - zapytała nagłoc Jackie. - Skoro nie mogę pójść do nich, to gdzie mam iść?

- Zaczynaj od tego, co pamiętasz - powiedział Jeff. - Agencje mają zwyczaj podawać parę informacji matkom, żeby je uspokoić. Czasem nawet zamieszczają w dokumentach dane, których nie powinni mieć. Jedna z naszych klientek znalazła nazwisko matki w kwestionariuszu, który szpital przysłał jej przez pomyłkę.

- Powiedzieli mi, że adopcyjny ojciec jest lekarzem - zaczęła Jackie z nadzieją w głosie.

- Cholera. - Adele smutno pokręciła głową. - Przykro mi, kochana, ale to mówią prawie każdej dziewczynie. Taki zwyczaj w tym biznesie.

Jackie wyglądała, jakby miała się rozplakać. Tess wbiła mocniej paznokieć w jej udo, żeby się opanowała i zaufała osobie, którą wynajęła.

- Ta agencja została zamknięta z hukiem czy po cichu? - spytała.

- Kim dla niej jesteś? - W głosie Adele nie wyczuła wrogości, tylko ciekawość. Tess zastanowiła się przez chwilę, czy nie bierze ich za kochanki.

- Przyjaciółką - odpowiedziała Jackie, zanim Tess zdążyła otworzyć usta. Przykrywka dobra jak każda inna.

- Pojawiły się informacje w telewizji i kilka artykułów w gazetach, nic wielkiego. Chyba mam w biurze jakieś notatki o tej sprawie - oznajmił Jeff. - Ale nie przypominam sobie żadnych nazwisk. Klienci byli chronieni, właściciele agencji zniknęli z dokumentami.

- Za to zrobiło się trochę zamieszania w Annapolis, prawda? Próba uchwalenia ustawy, która zapobiegłaby takim przypadkom, jakieś łzawe zeznania: zrozpaczeni klienci, skruszony pracownik?

Jeff spojrzął na nią jak na jasnowidza.

- Dokładnie tak było, tylko że projekt ustawy nie wyszedł nawet z komisji. Skąd wiedziałas?

- Jeśli polityk nie umie wykorzystać dla siebie czyjejś tragedii, to po co być politykiem? - Tess odwróciła się do Jackie. - Nawet jeśli nie dojdzie do uchwalenia ustawy, zeznania i dane świadków zostają w aktach. Jutro będę miała listę nazwisk i możemy zaczynać zabawę.

- To nie jest zabawa w podchody - odezwała się poważnie Adele. - Nie chodzi tylko o to, żeby kogoś znaleźć i krzyknąć „Eureka”! Ustawiasz naprawdę wielkie kostki domina i nie wiesz, w którą stronę polecą. Powinnyście pracować z nami.

Jackie wyjęła z torebki książeczkę czekową i pióro - oczywiście Mont Blanc - i wypisała czek na dwieście pięćdziesiąt dolarów dla Grupy na Rzecz Praw Adopcyjnych.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała. - Będę się martwić, kiedy domino zacznie się przewracać. A tymczasem...

Adele popatrzyła na nią z nadzieją.

- Czy mogę dostać potwierdzenie? Chodzi o odpis od podatku.

# Rozdział 13

O DZIEWIĄTEJ RANO WE WTOREK ZJECHAŁA Z AUTOSTRADY i ruszyła na północ wąską drogą. Trzydziestopięciominutowa jazda do Penfield zleciała szybko dzięki audycji radiowej. Prowadząca objaśniała wielki rządowy spis, za którego sprawą wszystkie nowe samochody są wyposażane w mikroczypa, pozwalającego unieruchomić je w dowolnym momencie. Tess zastanawiała się, jak to miałoby działać: gdyby władze wyłączyły teraz silnik jej wozu, co z nim zrobią? A z nią?

Słuchanie stacji, nadających dyskusje, im bardziej paranoiczne, tym lepiej, stało się ostatnio ulubioną rozrywką Tess. Kakofonia głosów zapewniała całkiem niezłe towarzystwo. Niestety, coraz trudniej było wytropić program, którego prowadzący naprawdę wrzał gniewem. Przeważali potrząsający szabelką konserwatyści i przeprasający za wszystko liberałowie, którzy wciąż powtarzali tę samą śpiewkę.

W tej chwili słuchacz zadał pytanie, czy nowe, mniejsze anteny satelitarne naprawdę są elementem rządowego programu kontroli.

- Oczywiście, że tak - zapewniła go prowadząca i zaczęła wyjaśniać, w jaki sposób programy pay-perview dają władzom dostęp do domów obywateli. Tess, wsłuchana w szczegółowy opis skomplikowanego planu, o mało nie przegapiła zjazdu do szkoły Penfield.

Praca dla dwóch klientów wymagała nie lada gimnastyki. Jackie sądziła, że Tess pojedzie dziś rano do Annapolis, ale ona obiecała już wcześniej Beale'owi, że porozmawia z Salamonem Hawkingsem. Zadzwoiła wczoraj do Penfield i opowiedziała dyrektorowi niemal prawdziwą historię: że jest absolwentką Washington College (stuprocentowa prawda), że jest zainteresowana zwiększeniem różnorodności wśród studentów (prawda, chociaż nigdy

nic w tym celu nie zrobiła) i że słyszała, jakoby Salamon Hawkins był obiecującym uczniem i nagradzanym mówcą (prawda). Dyrektor wzdychał i pomrukiwał, ale wreszcie zgodził się, że może spotkać się z Hawkingsem dziś rano, w czasie godzin lekcyjnych.

Prosta drewniana tabliczka z nazwą szkoły była tak mała i słabo widoczna, że Tess nie zauważyła wjazdu na teren Penfield i musiała zawracać. Penfield School, rok założenia 1888. Na początku prowadzili ją księża, a przeznaczona była pierwotnie dla ubogich sierot. Biorąc pod uwagę pochodzenie i przeszłość, Salamon Hawkins znacznie bardziej przypominał pierwszych uczniów Penfield niż większość dzieci, która obecnie tu się zapisywała.

Dyrektor, Robert Freehley, wyszedł nas jej spotkanie do holu, wysoki, szczupły i przedwcześnie posiwiasty. Czerwcowe poranki były tu chłodniejsze niż w mieście, ale nie na tyle zimne, żeby usprawiedliwić tweedową marynarkę. I to ze skórzanymi łatami na łokciach.

- Czekają na panią w bibliotece - oznajmił, prowadząc Tess korytarzami, które prawdę mówiąc, nie różniły się zbyt wiele od innych szkolnych korytarzy, a mimo to wyczuwało się wyraźnie, o ile Penfield jest bogatsze niż, powiedzmy, podstawówka w Gwynn's Falls. Nie mówiąc już o Akademii Benjamina Bannekera. Różnice raczej niewielkie, ale znamienne: gablotka, uginająca się od pucharów za zwycięstwa w lacrosse i piłce nożnej, została wykonana z dębu, a trofea wyglądały na celowo nie odkurzone. Meble podniszczone, lecz w stylowy, WASP-owski sposób. W budynku było dość zimno - nie z powodu centralnej klimatyzacji, ale dlatego, że grube kamienne mury utrzymywały nocny chłód. Tylko zapach był w każdej szkole taki sam: przeważała w nim woń kredowego pyłu i dorastających chłopców.

Salamon Hawkins siedział przy końcu długiego stołu, pochylony nad książką. Dookoła na podobnych bibliotecznych stołach stały lampy z zielonymi kloszami, w tej chwili zgaszone, ponieważ do pomieszczenia wlewało się poranne słońce, przefiltrowane przez drewniane żaluzje. Nad Salamonem stał trzydziestokilkuletni mężczyzna w bawełnianym garniturze - nauczyciel? Bibliotekarz? Tess miała wrażenie, że zna skądś tę nijaką twarz.

- Zostawię was samych - powiedział dyrektor. Sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego. Może mężczyzna jest członkiem rady powierniczej szkoły albo bogatym absolwentem.

- Pani Monaghan? - zapytał mężczyzna. Salamon nawet nie podniósł oczu znad książki. - Nazywam się Chase Pearson.

Tess wyciągnęła rękę, ale Pearson się nie poruszył.

- Ach, tak. Jest pan z gabinetu gubernatora. Działania na rzecz dzieci i młodzieży, prawda? - Plotka, którą przekazał jej wujek Donald, głosiła, że

Pearson myśli o stanowisku zastępcy gubernatora, o ile okoliczności ułożą się pomyślnie. Jego rodzina miała koneksje i arystokratyczny rodowód, choć niewiele poza tym. Imię Pearsona miało zapewne przypominać, że łączy go odległe pokrewieństwo z sygnatariuszem Deklaracji Niepodległości ze stanu Maryland. Bardzo odległe pokrewieństwo.

- Jestem specjalnym sekretarzem do spraw młodzieży i dzieci - oświadczył nieco wyniośle. No cóż, polityk na pewno przeżywa gorzki zawód, jeśli ktoś nie pamięta jego funkcji i nie rozpoznaje twarzy. - Wcześniej kierowałem działaniami wokół młodzieży i przemocy w Baltimore, miałem specjalne mianowanie burmistrza. Ludzie często mylą te stanowiska. Ale tutaj jestem jako absolwent Penfield i opiekun Sala Hawkingsa.

Chłopak nadal czytał, jakby był sam w bibliotece. Zapewne ma duże doświadczenie w wyłączaniu się ze świata, pomyślała Tess, jakąś nadnaturalną zdolność koncentracji. Właśnie dzięki tej umiejętności, połączonej z talentem oratorskim, doszedł aż tutaj.

- Czy dyrektor powiedział panu, że Washington College jest zainteresowany Salamonem?

- Salem - poprawił chłopak, przewracając kartkę. - Teraz chciałbym być Salem.

Chase Pearson się uśmiechnął. Tess zauważyła jeszcze jedną przeszkodę, która stała między nim a wielką karierą: nierówne, żółte zęby z plamami nikotyny, brązowe przy dziąsłach. Dobre może dla zastępcy gubernatora, ale nie do przyjęcia na wyższym stanowisku.

- Dyrektor powiedział mi to, co pani mu powiedziała. Zadzwoń mi wczoraj do Chesterton. W dziale rekrutacji Washington College nikt nie wie dział, o czym mówię.

Psiakrew. Czują, że powinna się umówić od razu po telefonie. Nawet najlepsze kłamstwo ma krótki termin przydatności.

- Ten program rekrutacji realizuje Stowarzyszenie Absolwentów. College niekoniecznie musi o nim wiedzieć.

- Nie sądzę. - Pearson sięgnął po kartkę, leżącą na stole. - Theresa Esther Monaghan, lat dwadzieścia dziewięć. Zamieszkała przy Bond Street w Felis Point, w budynku należącym do jej ciotki, Katherine Helen Monaghan. Właścicielka dwunastoletniej toyoty, która w zeszłym roku nie przeszła testu emisji spalin. Dwa niezapłacone bilety parkingowe, jeden w Baltimore, drugi w Towson. Była pracowniczka pisma „Star”. Obecnie licencjonowany prywatny detektyw w Keyes Investigations. Posiada smith and wessona kaliber 38 i pozwolenie na noszenie broni.



Jeśli Tess zastanawiała się, jakie jej dane znajdują się w bazach, teraz już wiedziała. Pearson musiał użyć kontaktów we władzach, żeby skompletować jej dossier w tak krótkim czasie. Dorie wyszukałaby znacznie więcej, ale i Pearson poradził sobie nieźle - jak na amatora.

Podsunał kartkę Salamonowi - Salowi - który nie zwrócił na nią uwagi, skupiony na lekturze.

- Nawiasem mówiąc, w Washington College ucieszyli się z pani nowego adresu, bo stracili panią z oczu. Myślę, że niebawem może się pani spodziewać listu z zachętą do finansowego wsparcia uczelni. Co prawda odnośnie wrażenie, że nie cierpi pani na nadmiar dochodów.

- Jeśli Washington College chce ode mnie pieniędzy, powinni byli zniechęcić mnie do robienia dyplomu z literatury - odparła Tess. - No więc dobrze: skłamałam. W pewnym sensie. Reprezentuję kogoś, kto zna okoliczności śmierci przyjaciela Sala, Donniego Moore'a. Ta osoba, która chce zostać anonimowa, chciałaby pomóc Salowi i pozostałym świadkom śmierci Donniego.

- Reprezentuje pani Luthera Beale'a.

Tess pomyślała o drzwiach biura, otwartych siłą i kołyszących się lekko w letnim wietrzyku. Trudno uwierzyć, że ktoś taki jak Pearson posunął się do tego. Nie musiałyby. Może policja stanowa ma Beale'a na oku. Może jakiś absolwent Penfield jest w radzie jej banku i zauważył, czyje czeki przyniosła. W radach nadzorczych w całym Baltimore pełno było absolwentów Penfield.

- Tej informacji nie mógł pan wziąć z żadnej bazy. Nie może pan wiedzieć, kogo reprezentuję - powiedziała, ciekawa, czy zaprzeczy.

- Wziąć - odezwał się Sal, po raz pierwszy podnosząc wzrok znad książki. Był przystojny, a raczej byłby, gdyby się uśmiechnął. Miał głęboko osadzone oczy i wyraźne rysy. Bardzo krótko ostrzyżoną głowę pokrywał ciemny meszek. - Mówi się: wziąć.

- Ktoś chce pomóc ci zapłacić za koledż albo zafundować podróż do Europy, jeśli chcesz się tam wybrać. Co ryzykujesz? Czy to ważne, kto chce cię wesprzeć?

Tess zwróciła się bezpośrednio do Sala, który jednak wrócił do swojej książki, ignorując jej słowa. Najwyraźniej tylko gramatyka i kwestia imienia zasługiwały na jego uwagę.

- Sal to piątkowy uczeń. Na egzaminach zdobył ponad tysiąc trzysta punktów. Niemal każdy college w kraju zaoferuje mu pełne stypendium - mówił Pearson. - Nie potrzebuje niczyich pieniędzy. Zwłaszcza pieniędzy, na których jest krew.

- Zabawne. Sądziłam, że jedną z ważnych spraw, jakimi się pan zajmuje, jest rekompensata dla ofiar. Ktoś deklaruje rekompensatę, a pan nie chce mieć z tym nic wspólnego.

- Luther Beale zabił tylko jednego chłopca, ale niemal zniszczył wszystkie dzieci, które widziały, co zrobił tamtej nocy na Wzgórzu Rzeźnika. Nie życzę sobie, żeby zbliżał się do Sala. Nie obchodzi mnie jego rzekoma skrucha. Tygrys nie może zmienić swoich pasków.

- Lampart nie może zmienić cętek - poprawił Sal.

- Sal, nie przerywaj.

- Tak jest tu napisane - powiedział Sal. - Ta historia jest w książce, którą czytam.

Przewrócił kolejną kartkę i Tess zobaczyła kolorową ilustrację: krokodyla, zaciskającego szczękę na trąbie słońtka. Rudyard Kipling, Takie sobie bajeczki, o tym, jak słoń zdobył swoją trąbę. Całkiem niezła przestroga dla ciekawskiej Tess, która stale pcha nos w nie swoje sprawy. Tylko dlaczego chłopak, który właśnie zaczął naukę w elitarniej szkole średniej, czyta bajki dla dzieci?

- A więc Sal jest zabezpieczony i niczego nie potrzebuje? Nawet jeśli dostanie stypendium, myślę, że mógłby skorzystać ze wsparcia. Może przydałby mu się samochód, nowy komputer. Mój klient chętnie mu pomoże.

Słyszac o samochodzie, Sal spojrzal na Pearsona z odcieniem prośby, jakby chciał powiedzieć: „A co by to szkodziło?” Pearson pokręcił głową.

- Tobie łatwo - mruknął Sal. - Jeździsz porsche.

- Penfield znajduje się na prywatnym terenie. Sal zostaje tu na lato. Ma dodatkowe zajęcia z matematyki i nauk ścisłych, żeby szybciej nadrobić braki. Bardzo proszę, żeby pani tu nie wracała i nie próbowała w żaden inny sposób skontaktować się z Salem. Jeśli nie spełni pani mojej prośby, zrobię z tego oficjalną sprawę i załatwię nakaz ograniczający.

- Nakaz ograniczający? Spodziewa się pan, że co zrobię? Siądę na nim i będę mu pchać dolary do kieszeni?

- Sal jest moim podopiecznym. Jestem za niego odpowiedzialny. Nie jest pani pierwszą podejrzaną osobą, która próbuje zerować na jego przeszłości. Dwa miesiące temu, kiedy Beale wyszedł z więzienia, dzwonili do nas ludzie z jakiegoś sensacyjnego talk showu. Chcieli urządzić „pojednanie” przed kamerami. Obrzydliwe. Zrobię wszystko, żeby Sal nie żył w cieniu tego, co zdarzyło się pięć lat temu.

Tess spojrzala na obficie zaopatrzoną bibliotekę, na Sala Hawkingsa w granatowym blezerze, spodniach khaki i niebieskiej oksfordzkiej koszuli. Pomyślała o Treasure, z plamą cytrynowego nadzienia na twarzy, gnieżdżącym się w opuszczonym domu.

- Wygląda na to, że z dzieci ze Wzgórza Rzeźnika tylko Salowi się udało. Dlaczego Treasure i Destiny nie chodzą do Penfield? Albo Eldon? Dlaczego tylko Sal zasłużył na pańską troskliwą opiekę?

- Jestem tu, bo jestem inteligentny. - Sal zatrzasnął książkę. - Tamci to tępe fiutki, ja miałem dość w głowie, żeby chcieć się stamtąd wydostać. Nawet jeśli musiałem pójść do takiej gównianej szkoły. A teraz bardzo przepraszam, zaraz zacznie się druga lekcja. Nie mam czasu na bzdety, których nie będzie na świadectwie.

Wyszedł z pokoju, zabierając swojego Kiplinga.

- Widzi pani? - powiedział Pearson. - Każda wzmianka o Lutherze Beale'u wytrąca go z równowagi. Taka trauma nigdy całkiem nie mija. Proszę odejść i niech pani pamięta, że następnym razem każę panią aresztować.

Jak to zwykle bywa, dopiero pod Annapolis Tess zdała sobie sprawę, co powinna odpowiedzieć. „Sal wcale nie wściekł się dlatego, że usłyszał nazwisko Beale'a czy nawet Donniego. Chodziło o pozostałe dzieci, Treasure'a, Destiny i Eldona”.

Mimo że sesje zgromadzenia dawno już się zakończyły, w Annapolis panował wzmożony ruch. Miasto nawiedzały tłumy turystów, skuszone jego atmosferą. Najwyraźniej na wąskich, pokrytych kocimi łbami uliczkach nawet oferta Gap i Banana Republic zyskuje posmak egzotyki. Chociaż z bólem serca myślała o płaceniu za postój - stąd te dwa zaległe bilety - Tess zostawiła samochód w garażu niedaleko Main Street i wspięła się na wzgórze, które wieńczył budynek Senatu stanowego.

Za swoich dziennikarskich czasów nigdy nie pisała reportaży ze zgromadzenia, ale jako dobry obywatel wiedziała w ogólnym zarysie, w jaki sposób projekt ustawy staje się prawem. Jeff z Grupy na Rzecz Praw Adopcyjnych powiedział jej, że projekt, dotyczący działania takich organizacji, jak Alternatywy w Planowaniu Rodziny, nosił numer 319 i został wniesiony przez senatora z hrabstwa Carroll, dawniej przeważnie rolniczego, a obecnie uważanego za część aglomeracji Baltimore. Tess dziwiła się, że taki projekt poparł polityk spoza miasta, w dodatku od lat będący zagorzałym przeciwnikiem aborcji. Wyczuwała, że sprawa zaczęła się od jakiegoś poszkodowanego wyborcy. Jeśli akta komisji okażą się bezużyteczne, pójdzie do biura senatora i sprawdzi, co tam mają. Najwyraźniej jednak zmiana prawa nie była dla niego bardzo ważna: w ciągu ostatnich pięciu lat nie próbował ponownie wnieść projektu do komisji.

Tess weszła do pustego budynku Senatu i wspięła się szerokimi schodami na trzecie piętro. Sekretarka, która wręczyła jej dokumenty, wydawała się wdzięczna za dostarczenie zajęcia.

- A czego właściwie pani szuka? - spytała.  
- Kilku osób, które wtedy zeznawały. Chcę sprawdzić, czy dowiem się od nich czegoś o tej agencji adopcyjnej. - Tess wyciągnęła z papierów listę, na której musieli złożyć podpis wszyscy świadkowie. Lista dla projektu SB 319 zawierała zaledwie pięć nazwisk: sam senator, ktoś z Wydziału Zasobów Ludzkich, państwowej instytucji, która nadzorowała adopcje, małżeństwo o nazwisku Wilson i Willa Mott. Senator i urzędnik z WZL złożyli zeznania na piśmie, ale jeśli chodzi o Wilsonów i Willę Mott, nie było nic.

- To wszystko?

- Wszystko, co jest w aktach. Ja tu pracuję od dziesięciu lat i pamiętam większość kontrowersyjnych spraw, ale z tą nic mi się nie kojarzy, zupełnie. A o co chodzi?

- Nic takiego, chciałam tylko znaleźć świadków. Szkoda, że nie wiem, co powiedzieli albo skąd się wzięli w tej sprawie.

Sekretarka wzruszyła ramionami.

- Są przecież taśmy.

- Taśmy?

- Wszystkie zeznania przed komisją są nagrywane. Jeśli zna pani datę i godzinę... a zna, bo są tutaj... może pani iść do archiwum. Dostanie pani taśmę i słuchawki. Trochę jak stara audycja w radio, tylko o wiele bardziej nudne.

- Mogę iść od razu?

- Pewnie. Chociaż żal mi pani, skoro nie ma pani nic lepszego do roboty. Taki piękny dzień! Niech się pani wybierze do doków i zje coś dobrego. W jednej knajpce mają najlepszy dip krabowy. Jeśli firma płaci, to polecam Cafe Normandy, dają naprawdę dobrego granika.

Starając się nie okazać zbyt widocznego obrzydzenia na myśl o krabach czy rybie, Tess podziękowała i poszła do archiwum, po przeciwnej stronie ulicy.

Mimo silnej pokusy, żeby przewinąć zeznania na przyspieszeniu, przysłuchała z obowiązku całą taśmę. Chaotyczne, mętne, pełne formalnych formułek wprowadzenie senatora, obronne wypowiedzi przedstawiciela WZL - agencja wydawała się nie mieć nic przeciwko planowanej ustawie, chciała tylko wykazać jasno, że nie odpowiada za aberracje, takie jak Alternatywy w Planowaniu Rodziny.

Sama ustawa miała być raczej trywialna: zawierała nakaz informowania w ogłoszeniach, czy agencja oferuje pomoc w przeprowadzeniu aborcji. Senator - prolaifcer próbował chyba przeprowadzić atak prewencyjny: słaba, nieefektywna ustawa powstrzymałaby władze od lustrowania innych agencji, które mogłyby próbować tej samej gry, co Alternatywy w Planowaniu Rodziny: wabienia kobiet obietnicą aborcji, a następnie odwodzenia ich od tego zamiaru wszelkimi metodami. Jedna z klientek usłyszała na przykład, że

aborcja zmniejsza o połowę szansę zajścia ponownie w ciążę i dziesięciokrotnie podnosi ryzyko raka narządów rodnych.

Monotonna gadanina wlekła się niemożliwie. Tess niemal już spała, gdy nagle zmiana głosu w słuchawkach wyrwała ją z otępienia. Przewinęła kawałek taśmy.

Wilsonowie rozpoczęli starania o adopcję za pośrednictwem Alternatywy w Planowaniu Rodziny, ale zerwali umowę, kiedy pracownik agencji zaproponował im zniżkę, jeśli zgodzą się wziąć niepełnosprawne dziecko mieszanej rasy.

„- Zupełnie jak na wyprzedazy resztek, prawda, Mike? - Kobieta zwróciła się do męża. - »Czy weźmiecie państwo dziecko, jeśli obniżymy opłaty o tysiąc dolarów? Dwa tysiące? A gdyby dziecko nic było niepełnosprawne, tylko mieszanej rasy?«.,

Tess znów przewinęła taśmę. Tak, kobieta wyraźnie powiedziała „Mike”, chociaż na liście świadków byli wpisani jako „państwo Johnstwo Wilsonowie”. Jeśli się więcej nie pomyli i nie poda ich pełnych danych albo miejscowości, w której mieszkają, nie uda się ich odnaleźć.

Jak wynikało z jej zeznania, Willa Mott pracowała w agencji dziesięć lat, a następnie zajęła się domową opieką nad dziećmi w Westminster, rodzinnym hrabstwie senatora. Bingo! Tess zanotowała jej dane. Jeśli nie opuściła stanu, z takim nazwiskiem będzie ją łatwo odszukać. Nerwowym, piskliwym głosem, który doskonale pasował do staropanińskiego nazwiska, opisywała, w jaki sposób jej byli pracodawcy zastraszali kobiety, i jak postanowiła opowiedzieć o tym w lokalnej stacji telewizyjnej. Jako pracowniczka biura była obecna podczas większości rozmów z klientami i miała wgląd we wszystkie akta.

- „Dlaczego tak długo pani czekała, zamiast wcześniej powiedzieć, co się tam dzieje?” - zapytał jeden z senatorów.

Willa Mott aż zacinęła się z nerwów.

„- Osobiście nie wierzę w aborcję, z powodu moich przekonań r-r-r-religijnych. Sądziłam, że odradzanie aborcji kobietom jest właściwe. Ale potem zorientowałam się, że oni krzywdzą te kobiety, a część z nich i tak szła gdzie indziej. Razem zjedną klientką zadzwoniłyśmy do telewizji. Nie wystąpiłam przed kamerą, nagrali mnie w ciemności i zmienili mi głos taką maszyną. Ale nim nadali reportaż, moi szefowie zamknęli biuro i zniknęli. Przyszłam do pracy i zastałam lokal zamknięty.

- Czy adopcje, które przeprowadzali, były zgodne z prawem i uczciwe? - zapytał inny członek komisji, kobieta.

- O Boże, tak. Gdyby tylko tym się zajmowali, czułabym się dumna, że dla nich pracuję. Ale mieli powody, żeby naciskać na te kobiety. Oni naprawdę wierzyli w to, co robią”.

Na tym przesłuchanie się zakończyło i zanim Tess się zorientowała, słuchała już zupełnie innej debaty, nad projektem ustawy o stanowym prawie adopcji prywatnej. Wyłączyła słuchawki i wyszła, mrużąc oczy przed jaskrawym słońcem, które zalewało plac Prawników, leżący w centrum kompleksu siedziby władz stanowych. Turyści gromadzili się tutaj wokół pomnika Thurgooda Marshalla: stawali obok brązowej podobizny sędziego Sądu Najwyższego i pstrykali sobie z nim fotki, jakby był to naturalnej wielkości kartonowy portret prezydenta albo słynnego sportowca.

Statuę Marshalla, stosunkowo nowy dodatek, postawiono w tym miejscu, żeby załagodzić protesty, jakie wywoływał pomnik innego marylandczyka, który zasiadał w Sądzie Najwyższym, Rogera Taneya. Niesławny Taney dał się zapamiętać jako człowiek, który osobiście sformułował wyrok w sprawie Dreda Scotta\*, kierując kraj ku wojnie domowej. W latach dziewięćdziesiątych, na fali rozrachunków z przeszłością, zaczęto żądać zniszczenia jego pomnika. W rzadkim przyływie salomonowej mądrości władze stanu postanowiły zrównoważyć jego obecność, wystawiając podobiznę Marshalla. Kompromis przyniósł nieoczekiwany rezultat: królujący na placu Marshall został ulubieńcem turystów, a Taney siedział gdzieś pod szczytem wzgórza, w drugim końcu kompleksu, zapomniany i samotny.

Wróciwszy do samochodu, Tess włączyła radio i zmieniała stacje, aż trafiła na relację o spisku mediów, które ukrywają jakiś skandal w Waszyngtonie. Chodziło oczywiście o liberalne media. Uśmiechnęła się: media były najbardziej konserwatywną instytucją, jaką знаła.

Program przerwał komunikat o ruchu: na zachód od jej biura powstał korek. Zapalił się jakiś szeregowiec, Pratt i Fayette zablokowane. Musiała skręcić na wschód i pojechać przez tunel Fortu McHenry. W tunelu miała zawsze klaustrofobiczne lęki, a płacić za przejazd nienawidziła jeszcze bardziej niż za parkowanie. Ale najbardziej ze wszystkiego nie znosiła myśli o całej tej wodzie za ścianą - i momentu, kiedy milknie radio. Zostanie sama w wozie, bez towarzystwa chociażby tego bałwana od teorii spisku.

\* Dred Scott - niewolnik, który przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych dochodził prawa do wolności. W 1857 roku Sąd Najwyższy siedmioma głosami do dwóch odrzucił jego argumentację, uznał ponadto, że Murzynom nie przysługuje i nie będzie w przyszłości przysługiwać obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Wyrok spotkał się z gorącą krytyką ze strony nowo powstałej Partii Republikańskiej. W 1861 roku południowe stany zdecydowały się na secesję i wojnę dla ochrony swoich instytucji, z których jedną z ważniejszych było niewolnictwo. Zniesiono je ostatecznie w całych Stanach Zjednoczonych w 1865 roku (przyp. tłum.).

Może powinna najpierw zadzwonić do którejś stacji i podzielić się rewelacjami o dwóch sędziach z Annapolis. Większość stacji była skłonna płacić za połączenia z komórki, tak bardzo potrzebowały telefonów od słuchaczy. Ale nic, nie chciała rozmawiać z żadnym nadętym prowadzącym. Tess zdała sobie sprawę, że w wyobraźni rozmawia o tym z Jackie, wymyślając, o czym mogłyby gawędzić w drodze do Westminster. Zawsze tak robiła; zapamiętywała anegdotki, które mogłaby opowiedzieć komuś bliskiemu - sprowokować Tynera, rozśmieszyć Kitty.

Tylko że Jackie nie jest przyjaciółką, napomniała się. To klientka. „Kiedy znajdę jej córkę, po prostu zniknie”.

# Rozdział 14

CZY W HRABSTWIE CARROLL PRZYPADKIEM NIE DZIAŁA KU-KLUX-KLAN? - zapytała Jackie, rozglądając się nerwowo po sklepiku z bajglami, w którym przeczekiwały do umówionego na dziesiątą spotkania z Willą Mott.

- Owszem. Tam na ścianie wisi nawet plakat - odpowiedziała Tess, wskazując brodą tablicę z ogłoszeniami. - Zachęcają, żeby do nich dołączyć. Słyszałam, że to wspinały sposób poznawania mężczyzn. Chcesz, żebym zapisała numer?

- Wiesz co? Niektóre żarty nie są śmieszne.

- Zgodzę się, jeśli ty się zgodzisz, że niektóre są.

Jackie odłamała kawałek bajgla i przyglądała mu się z zaskoczeniem, jakby zapomniała, co się z tym robi. Nie była aż tak spięta i zdenerwowana jak na spotkaniu Grupy na Rzecz Praw Adopcyjnych, ale na pewno niespokojna. Czy to możliwe, żeby człowiek chciał czegoś tak bardzo, że jest tym przerażony?

- Przypomnij mi, żebym się przejrzała, zanim pojedziemy - poprosiła Tess. - Nie chcę z nią rozmawiać z makiem między zębami.

- W takim razie nie trzeba było brać czegoś z makiem.

Och, ale pedantka.

- Tylko takie bananowo-orzechowe coś z jagodowym serkiem, jak ty? Jackie, mam dla ciebie wiadomość. To nie jest bajgiel. Gdyby miejscowi chłopcy z Ku-Klux-Klanu tu weszli i zobaczyli, co jesz, powiedzieliby sobie: „No, przynajmniej nie jest żydówką”. Za to mnie wywlekliby za warokcz, jak kozacy kobiety z wioski mojej praprababci.

- Naprawdę? Twój przodkowie przeżyli coś takiego?

Tess wzruszyła ramionami.



- Wiemy tyle, ile opowiedziała nam babcia Weinstein, a ona zawsze lubiła trochę koloryzować. Zwłaszcza jeśli trzeba było zmusić kogoś z wnuków do zjedzenia wątróbki.
- Ale ty nie jesteś żydówką, prawda? Masz na nazwisko Monaghan.
- Żydowskość dziedziczy się po matce.
- Tak to działa? - Jackie wyglądała na naprawdę zainteresowaną. - To znaczy gdyby twój ojciec był Weinstein, a matka Monaghan, to nie byłabyś żydówką?
- Byłabym dokładnie tym, czym jestem, czyli niewierzącym mieszkańcem, ale nie mogłabym się ubiegać o obywatelstwo Izraela. - Tess wyszczerzyła zęby. - Widzisz gdzieś mak?
- Tak, przy siekaczu. Nie, po drugiej stronie. Już.
- A więc poznajmy Willę Mott.

H.L. Mencken, zawsze szczodry w pochwałach, nazwał kiedyś hrabstwo Carroll jednym z najpiękniejszych zakątków Maryland. W kilku bardziej zafowanych okolicach nadal można było podziwiać łagodne wzgórza i rozległe widoki, które kiedyś tak go zachwyciły. Wzdłuż ulic najstarszych miast - Westminster, New Windsor, Union Mills - biegły szeregi XTX- wiecznych ceglanych domów, kojarzących się bardziej z niemieckimi czy menonickimi osiedlami po pensylwańskiej stronie linii Masona-Dixona. Tutaj czas się zatrzymał. Jednak tuż za zakrętem drogi czekały paskudne budynki z lat siedemdziesiątych, przykucnięte jak rodzina trolli, które poprzysięgły wypłoszyć z okolicy wszelkie piękno.

Willa Mott mieszkała w jednej z najbrzydszych i najstarszych podmiejskich dzielnic Westminster, na południe od centrum. Wypłowiwała tablica na ogrodzeniu od ulicy głosiła „Opieka nad Dziećmi - Jabłkowy Sad”, ale jedynym drzewem, jakie Tess wypatrzyła, był bożodrzew, którego nikt nie ściał w porę, aż wreszcie zrobiło się za późno. Cherlawe drzewko, wyrastające z pęknięcia w betonie, miało już ze cztery metry.

- Dzieciaki oglądają wideo - powiedziała Willa Mott, otwierając drzwi, kiedy Tess i Jackie były jeszcze na ścieżce. - Czyli mamy dokładnie osiemdziesiąt osiem minut. Chyba że będą chciały, żebym zaśpiewała razem z Quasimodo.

Naprawdę trudno było sobie wyobrazić Willę Mott śpiewającą czy oddającą się czemukolwiek zbliżonemu do zabawy. Wyglądała dokładnie tak, jak Tess ją sobie wyobraziła, słuchając jej zeznania: całkowicie przeciętna, niczym się niewyróżniająca kobieta w dzinsowej spódnicy, białej poliestrowej bluzce i granatowym rozpinanym swetrze. Miała matowe brązowszare włosy i jeszcze bardziej matowe brązowszare oczy. Jedynym akcentem koloru

na jej twarzy był nos, zaczerwieniony od kataru siennego. Wytarła go w wydobytą z kieszeni chusteczkę, najpierw jedną dziurkę, potem drugą, jak to robią dzieci.

- Mam alergię - wyjaśniła. - Dzisiaj jest poziom pyłków 150.

- To dużo?

- Bardzo. Ale chyba nie przyszyście panie rozmawiać o moich zatkach. - Zerknęła na Jackie. - Nie przypominam sobie pani. Ale pewnie trochę się pani od tego czasu zmieniła. A pani mnie poznaje?

- Chyba tak. Może.

Tess wiedziała, że Jackie kłamie, po pierwsze przed samą sobą. W przyływie nadziei mogła powiedzieć wszystko, co wydawało jej się właściwą odpowiedzią, nawet jeśli to nie była prawda.

- Jackie przysłała do agencji trzynaście lat temu, jako Susan King. Miała wtedy osiemnaście lat. Czy to cokolwiek pomoże?

- Nie bardzo. Było u nas mnóstwo nastolatek. Boże, to prawdziwe złoto?

Willa wpatrywała się w ręce Jackie - złożone niemal jak do modlitwy - podziwiając zegarek na lewym nadgarstku. Ozdobny, z diamentkami wokół cyferblatu - owszem, dość oryginalny, ale nie na tyle, żeby odwrócić czyjąś uwagę od rozmowy.

- To? Tak, chyba tak.

- Lubię staroświeckie drobiazgi - powiedziała Willa. - Mam na oku taką starą szpilkę w komisie w Sykesville. Kupię ją, kiedy tylko będę miała za co. Myślałam, żeby za zwrot podatku, ale zawsze się rozchodzi, zanim człowiek się obejrzy...

Tess rozejrzała się po małym, dwupoziomowym domu. Każdy dom przeżyłby ciężko przekształcenie w prywatne przedszkole: plamy z soku na boazerii, odciski lepkich rączek na ścianach, wydeptane ścieżki na wykładzinie. Ale nawet bez twórczego wkładu dzieci dom Willi Mott wyglądałby na mocno podniszczony i zaniedbany. Sądząc z dźwięków, jakie dobiegały z sąsiedniego pokoju, znajdowało się w nim pięcioro lub sześcioro dzieci. Willa Mott zarabiała tygodniowo od sześciuset do dziewięciuset dolarów. Tess nie wiedziała na pewno, ile kosztuje dzienna opieka nad dziećmi. Zapewne Willa nie biedowała, ale też nie zostawało jej wiele na staroświeckie szpilki.

- Kiedy rozmawialiśmy wczoraj przez telefon, czy wspomniałam, że zwykle płaci się za poświęcony czas? Rozumiem, że odciągamy panią od pracy, i nie chciałabym, żeby pani myślała, że tego nie doceniamy, pani Mott.

- Panno Mott - poprawiła Willa z nerwowym śmieszkiem. - Boże, przecież nie wezmę żadnych pieniędzy, jeśli w niczym wam nie pomogę. Choć... - Przyjrzała się uważniej twarzy Jackie. - Tak, wtedy była pani grubsza,

prawda? Dlatego pani od razu nie rozpoznałam. Jest pani o wiele, wiele szcuplejsza.

- Oczywiście, że jestem. Wtedy byłam w ciąży.

- Nie, to nie tylko to. Miała pani bardziej okrągłą twarz i duże okulary. Trochę jakby się pani za nimi ukrywała. I wyglądała na nieco starszą. Tak, teraz sobie przypominam.

Tess pomyślała o zdjęciu, które Jackie przyniosła na pierwsze spotkanie. Willa miała rację - albo niesamowitą intuicję. Jako nastolatka Jackie była grubsza, a nadwaga dodawała jej lat.

Z pokoju obok dobiegł najpierw głośny huk, a zaraz potem dziecięce zawodzenie.

- Pani Mott, pani Mott! Brady mówi, że wyglądam jak Quasimodo!

- Chrissie wygląda jak Quasimodo, Chrissie wygląda jak Quasimodo! - zawrzęszczał cały chórek.

- Przepraszam. Chyba muszę iść do garażu po sok, może to je uciszy. Kiedy Willa wyszła, Jackie trąciła lekko Tess w łydkę czubkiem pantofla na szpilce.

- Daj jej pieniądze.

- Powiedziała, że nic nie chce.

- Gówno prawda. Każdy potrzebuje pieniędzy. Zatrzymałaś się przy bankomacie. Daj jej te pieniądze. Wszystko przecież idzie na mój rachunek, tak czy nie?

Willa wróciła z garażu, niosąc w ramionach kartoniki soku, i zniknęła w sąsiednim pokoju. Po chwili dobiegły stamtąd krzyki i piski oraz odgłosy kłótni o to, kto dostał najlepszy sok. Willa pobiegła po jeszcze jeden kartonik winogronowego. Nim wróciła do salonu, minęło niemal dziesięć minut.

- Tak, teraz sobie przypominam - stwierdziła, jakby nie było żadnej przerwy w rozmowie. - I coś w związku z ojcem pani dziecka. Coś nietypowego... ale nie pamiętam co.

- Ojciec mojego dziecka nie jest ważny - powiedziała Jackie. - Wiem, kto nim był. Chcę wiedzieć, kto adoptował moją córkę.

Willa zmarszczyła brwi i zacisnęła wargi, pokazując, że intensywnie myśli. Tess przemknęło przez głowę, że powinna teraz pochylić się i oprzeć brodę na rękę, jak Myśliciel Rodina. I rzeczywiście zaraz to zrobiła. Tess z westchnieniem wyciągnęła z plecaka zwitek banknotów i upuściła na jej kolana dwudziestodolarówkę.

- O Boże. Nie chcę, żebyście panie myślały, że chodzi mi o pieniądze.

- Tess upuściła następną dwudziestkę i jeszcze dziesiątkę. Przy okazji dorzuciła swoją wizytówkę. Willa zaczęła chwilę, na wypadek, gdyby miały się

pojawić kolejne banknoty, po czym złożyła pieniądze i wetknęła do kieszeni swetra razem z wizytówką. Oby nie do tej z chusteczkami, pomyślała przelotnie Tess, chociaż tak naprawdę było jej obojętne, czy Willa Mott wysmarka nos w dwudziestodolarówkę.

- Ja nie wiem za dużo. Urodziła pani dziewczynkę, tak? Zdaje mi się, że zaadoptował ją dyrektor któregoś z tych zakładów w Hunt Valley. Z McCormick, Noxella albo kamieniołomów. Któreś z tych. Pamiętam, że miał dużo pieniędzy. U nas trzeba było dużo zarabiać, żeby zaadoptować dziecko. To kosztowało ponad dziesięć tysięcy dolarów. Jego żona była nauczycielką, ale miała zostać w domu z dzieckiem. Jakieś często spotykane nazwisko. Johnson albo Johnston. Chcieli dziewczynkę, mieli ją nazwać Caitlin.

Jackie wyraźnie miała wątpliwości.

- Tak nagle sobie pani to przypomniała?

- Pamiętam wszystkie dziewczyny, które u nas były. Muszę tylko chwilę się zastanowić, skojarzyć twarz.

- Gdybym zdjęła ten zegarek i pani dała, przypomniaby sobie pani więcej?

Willa Mott wyglądała na autentycznie urażoną.

- Bardzo dziękuję, że wynagrodziły panie mój czas, ale moja pamięć nie zależy od pieniędzy. Potrzebowałam chwili, żeby skojarzyć, jak pani wyglądała wtedy. Kiedy pani była gruba.

- Nie byłam gruba - wycedziła Jackie. Dziecięcy pisk.

- Pani Mott, pani Mott! Cal trąca mnie butem!

- Wcale nie! - zaprotestował chłopięcy głosik.

- Wcale, że tak!

- Chyba lepiej pójdę do maluchów - powiedziała Willa Mott. - Miło mi było panie poznać. Jeśli coś sobie jeszcze przypomnę, na pewno zadzwonię. Mam pani wizytówkę.

Z tymi słowami wkroczyła w środek bójki w sąsiednim pokoju, podniosła Cala za koszulkę, jakby był kociakiem, i czubkiem granatowej tenisówki wyłączyła wideo.

- Macie się natychmiast uspokoić albo koniec z Dzwonnikami - oznajmiła. - Mówię do wszystkich, Cal, Brady, Bobby, Chrissie, i do ciebie też, Raffi!

Tess stłumiła śmiech.

- Co cię tak bawi? - chciała wiedzieć Jackie. Wydawała się zła, że Tess dostrzeże w tej sytuacji coś śmiesznego.

- Może to przypadek, ale wszystkie dzieciaki w jabłkowym Sadzie mają imiona po jakimś graczu ze składu Orioles z tego roku, kiedy Cal pobił rekord Lou Gehriga. Cal Ripken, Chris Hoiles, Rafael Palmiero, Brady Anderson.

Zgadza się, wtedy zostały spółdzone!

- Biali mają źle w głowie - parsknęła Jackie.

Milczała całą drogę. Odezwała się dopiero, kiedy dojeżdżali do Wzgórza Rzeźnika.

- Za dużo jej zapłaciłaś.

- Słucham?

- To nie było warte pięćdziesiąt dolarów. Zapłaciłaś jej za dużo i teraz ma nas za frajerki. Założę się, że wie więcej, niż nam powiedziała.

- Najpierw każesz mi jej zapłacić, teraz mówisz, że dałam za dużo. Pamiętała, jak wyglądałaś, to brzmiało wiarygodnie. Widziałam twoje zdjęcie, byłaś... dużą dziewczyną. A o co chodziło z ojcem dziecka?

- O nic. - Jackie zacisnęła palce na kierownicy, aż zbieleły jej kostki.

- Żadnych tajemnic, Jackie. Żadnych kłamstw. Tak się umawialiśmy, pamiętasz?

- Dobrze. - Uśmiechnęła się lekko. - Ojciec mojego dziecka był biały.

Zanim Tess zdążyła zareagować, odezwała się znowu.

- Nie bądź taka zaskoczona.

- Wcale nie jestem. Mówiłaś mi chyba, że to chłopak z sąsiedztwa.

- W mojej okolicy mieszkali biali chłopcy.

- Wiem. Znam Pigtown. - Tess lubiła patrzeć, jak Jackie wzdryga się, słysząc nieelegancką nazwę rodzinnej dzielnicy. - Zastanawiam się tylko, dlaczego Willa akurat to zapamiętała. Agencja zajmowała się adopcjami dzieci mieszanej rasy, wiem z taśm.

- A czego się spodziewasz po jakiejś prostytutce z Carroll? Zapomnij o niej. Co teraz robimy?

- Dobre pytanie. Szukać Caitlin Johnson-Johnston w Baltimore i okolicach to jak szukać igły w stogu siana.

- A ja mam pomysł. Możesz dziś popracować?

- Pewnie.

- Spotkajmy się w twoim biurze o siódmej. Pokażę ci, jak zarabiam na życie. Przyniosę dla nas obiad.

- Co będziemy robić?

- Powiem ci w biurze. Masz jedną linię telefoniczną, tak? Będziemy też dzwonić z mojej komórki. Trochę drogo to wypadnie, ale inaczej trwałoby za długo.

Przed biurem Tess czekał nieoznakowany wóz policyjny.

- Muszę z tobą pogadać - zaczął bez wstępów Martin Tull i zerknął na Jackie. - Prywatnie.

- Teraz?

- Teraz.

- W porządku - odezwała się Jackie. - Zobaczymy się tu o siódmej. Potrzebuję piętnastu minut, żeby ci wyjaśnić, co chcę zrobić.

Esskay zeskoczyła z sofy, przeciągnęła grzbiet, jakby składała pokłon w kierunku Mekki, po czym wykonała tradycyjny taniec na cześć psiego przysmaku. Tull zwykle pytał, czy może dać suce herbatnika, ale dziś ledwo zwrócił na nią uwagę. Tess wydobyla ze słoika ręcznie robiony herbatnik z piekarni w południowym Baltimore, rzuciła go Esskay i odłożyła pistolet do sejfu.

- Myślałem, że nie lubisz nosić broni.

- Tyner uważa, że powinnam, po włamaniu.

- Faktycznie, było u ciebie włamanie. Ale według raportu nic nie zginęło.

Tess postanowiła nie dopytywać się, skąd detektyw z wydziału zabójstw wie o drobnym włamaniu. Nie zgłosiła go na policję, ale może zrobił to właściciel. Miała nadzieję, że Tull nie zaczyna się nią opiekować. Dokładnie tego jej było potrzeba: kolejnej osoby, która będzie się martwić o jej bezpieczeństwo. - Chcesz coli? Zawsze trochę kofeiny.

- Ostatnio na Wzgórzu Rzeźnika dzieją się złe rzeczy. Wczoraj po południu był pożar - mówił, ignorując jej propozycję. - Tuż za rogiem.

- Aha. Radio podało, że spalił się opuszczony szeregowiec na Fayette. - Wzięła sobie colę, wróciła do biurka i wcisnęła klawisz automatycznej sekretarki. Żadnych telefonów. Keyes Investigations wprost nie mogło się opędzić od klientów.

- To źle podało. W związku z pożarem zamknięto ruch na Fayette, ale dom stał przy Chester. I był opuszczony, ale nie pusty. - Tull rzucił na jej biurko kopertę. - W suterenie znaleźli ciało. Wygląda na to, że chłopak palił krak i upuścił lufkę.

Tull czekał chyba, że sięgnie po kopertę. Nic ruszyła się, więc sam ją otworzył i wyciągnął dwa zdjęcia z polaroida.

- Pewnie, to się zdarza. Dziwię się, że nie częściej. Ci krakowcy stale zajmują puste domy i palą albo do siebie strzelają. Ale według patologa ten chłopak nie żył, kiedy wybuchł pożar. Ktoś rozbił mu głowę i podpalił dom. Pewnie byśmy go nie zidentyfikowali, gdyby nie karta dentystyczna z czasów, kiedy był w rodzinie zastępczej. Władze wymagają, żeby dzieci, które trafiają pod opiekę państwa, miały przynajmniej jedną kontrolę lekarską.

- Ogromnie miło ze strony władz - mruknęła Tess ze ściśniętym żołądkiem. Zakręciła butelkę i odstawiła ją obok komputera.

- Dzieciak nazywał się Treasure Teeter. - Tull rzucił w jej stronę polaroidem jak kartą do gry. Tess pozwoliła, żeby przeleciał jej nad ramieniem i spadł na podłogę, ale nie mogła nie zauważyć zwężlonego kształtu na zdjęciu.

- Słyszałaś o nim, prawda? Wiem, że go szukałaś. I szukałaś jego siostry, Destiny, ale chyba nie znalazłaś. A ja znalazłem.

Rzucił na biurko kolejne zdjęcie. W ramce z żółtej taśmy policyjnej, na jaskrawozielonej trawie leżało ciało. Rozcięte gardło wyglądało jak ohydne echo ust - gdyby dało się zobaczyć usta. Ale nie można było rozróżnić rysów twarzy, zmasakrowanej i skatowanej do kości.

- Poznaj Destiny Teeter - powiedział Tull. - Być może znaną ci lepiej jako prostytutka spod pagody.

# Rozdział 15

LUTHER BEALE SZOROWAŁ MARMUROWE SCHODY PRZED SWOIM DOMEM, ale nawet gdyby nie krzątał się przed wejściem, Tess domyśliłaby się od razu, gdzie mieszka. W rzędzie zaniedbanych szeregowców tylko dom Beale'a był pomalowany na jasnożółto z białym wykończeniem. Przy schodkach stała donica ze stokrotkami. Tess nie znała się na remontach, ale farba na fasadzie wydawała się świeżo położona - najwyraźniej Luther Beale nie planował w najbliższym czasie opuszczać domu.

Cóż, plany się zmieniają.

- Ładne kwiatki - stwierdziła Tess. Czasami pod wpływem wściekłości zaczynała gadać banały.

- Już drugie w tym sezonie - odparł Beale, nie podnosząc oczu znad szczotki. - Pierwsze ktoś ukradł. Te pewnie też ukradną. Bóg wie dlaczego, warte są najwyżej dolara.

Zanurzył szczotkę w wiadrze i zaatakował kolejną plamę, zawzięcie i metodycznie. Plama nie miała szans.

- Możemy wejść do środka? Muszę z panem porozmawiać.

- To niech pani mówi. Późno dziś zacząłem, jestem już spóźniony.

- To nie jest rozmowa na ulicę.

Chciałaby, żeby wyglądał na bardziej zaskoczonego, żeby trochę bardziej protestował albo jak zwykle zasypał ją pytaniami. Beale odłożył szczotkę do wiadra z mydlinami i wyprostował się z trzaskiem stawów.

- Mieszkam na trzecim piętrze - mówił, otwierając zewnętrzne drzwi i kolejne, w przedsionku, drewniane, wypolerowane na błysk i pachnące cytrynowym woskiem do mebli. - Kiedyś wynajmowałem dwa dolne piętra, ale teraz wolę mieć spokój i prywatność niż pieniądze.



Mieszkanie sprawiało wrażenie miejsca, którego lokator spędza dużo czasu w ciemności. Było czyste - czego Tess się spodziewała - ale dość puste. Sądziła, że wszyscy starsi ludzie mają nadmiar przedmiotów, jak jej babcia. Ale to mieszkanie, z nagimi białymi ścianami i czystą ciemnoszarą wykładziną, przypominało galerię tuż przed zawieszeniem nowej wystawy. Poszła za Beale'em przez salon, w którym stały tylko krzesło, komputer i telewizor, do kuchni. Tutaj przynajmniej były dwa krzesła, obite winylem, pasującym do złotego stołu ze sklejki.

- Napije się pani czegoś zimnego? - zapytał Beale. Nie minęło pół godziny, od kiedy zadała to samo pytanie Tullowi. Być może to instynkt kazał proponować poczęstunek, żeby odsunąć nieprzyjemny moment.

- Nie, dziękuję. - Zawiesiła głos. Nie wiedziała, jak zgaic. - Pusto tu u pana. Ale miło.

- Kiedy byłem w więzieniu, ktoś się tu włamał, wyniósł, co się dało, i zniszczył resztę. Pomalowałem ściany, położyłem wykładzinę i pomyślałem, że będzie wygodniej, jeśli tak to zostawię. - Popatrzył na nią surowo. - Nie przyszła tu pani rozmawiać o urządzeniu mieszkania. Czego pani chce?

- Dlaczego Destiny się nie liczyła? - Nie tak chciała zacząć, ale nic innego nie wymyśliła. Trudno.

- Destiny?

- Destiny Teeter, bliźniaczka. Powiedział pan, że się nie liczy, że nic się nie stanie, jeśli jej nie znajdę. Naprawdę chodziło o to, że jest dziewczyną? A może nie liczyła się, bo już nie żyła? Wiedział pan o tym, bo sam pan ją zabił.

- Dziewczyna nie żyje? - Wydawał się raczej zbity z tropu niż zaskoczony. Pomasażował skronie, jakby zaczęła go nagle boleć głowa.

- To jej ciało znalezione w parku kilka tygodni temu, zanim pan mnie wynajął. Jej brat, Treasure Teeter, zginął wczoraj w podpalonym domu. Ktoś rozbił mu głowę i podłożył ogień, żeby to wyglądało na wypadek. Policja zidentyfikowała go dzięki karcie dentystycznej i przyszło im do głowy, żeby porównać kartę Destiny z zębami zabitej dziewczyny.

Miała nadzieję, że lawina słów wywoła podobny słowotok u Beale'a, ale się zawiodła. Wydawał się jedynie głęboko zamyślony.

- To bardzo przykre. Ale reszta żyje, prawda? Nie była pani wczoraj w szkole, u tego chudego? Co u niego? Poza tym grubasek też może się pokazać. Ci chłopcy nie uciekają na zawsze, tylko wracają do domu. Mają za mało wyobraźni, żeby zacząć od nowa gdzie indziej.

Jego chłód i tępota rozwścieczyły ją, ale jednocześnie napełniły nową nadzieją. Gdyby zabił bliźnięta, powinien chyba w tej chwili nerwowo się usprawiedliwiać albo udowadniać, że ma alibi?

- Panie Beale, pan chyba nie rozumie powagi tego, co właśnie panu powiedziałam. Destiny i Treasure Teeter zostali zamordowani. Niedługo będzie tutaj policja, żeby pana aresztować.

- Mnie. Zawsze winią mnie. Nikt w tym mieście nie robi nic złego? To trochę bez sensu: miałbym płacić za znalezienie dzieci, żeby je potem zabić?

- Policja uważa, że zabił pan Destiny w ataku wściekłości, nie planował pan tego, ale kiedy się już stało, czuł pan ulgę. Katharsis. Wtedy postanowił pan zabić też pozostałych, ukarać ich za to, że zeznawali przeciw panu. Ale nie wiedział pan, jak ich znaleźć, prawda? Przyszedł pan więc do mnie. Znalazłabym ich, myśląc, że robię dobrze, a pan by ich pozabijał.

Jeśli Tull miał rację, Beale obmyślił przebiegły, skomplikowany plan. Po przypadkowym spotkaniu z Destiny zlecił Tess odnalezienie pozostałych dzieci. Nie chciał spotkać się z nimi osobiście, żeby móc się wyprzeć, kiedy zaczną ginąć. Według teorii Tulla Beale włamał się do jej biura i ukradł informacje o własnej sprawie, żeby wiedzieć, co ustaliła, a jednocześnie udawać, że nie ma o tym pojęcia. W pliku, wydrukowanym w sobotę wcześniej rano, były tylko informacje o bliźniętach Teeter - Tess nie zdążyła jeszcze wpisać odkryć Jackie w sprawie Sala i jego stypendium w Penfield School. Takie zbiegi okoliczności decydują często o życiu. Treasure Teeter zginął, a Sal żył. Zresztą i tak trudno byłoby go dopaść: Beale musiałby zastanowić się dłużej, zanim znalazłby sposób zamordowania chłopaka, który stawiałby go poza podejrzeniami.

- Dzisiaj aresztuje pana policja - oznajmiła Tess. - Lada chwila będą tu z nakazem. Chciałam wcześniej się z panem spotkać i usłyszeć, co pan ma do powiedzenia.

Beale podszedł do ściennego kalendarza, zawieszzonego na drzwiach kuchni. Najwyraźniej dostał go jako dodatek do zakupów w jakimś markecie budowlanym. Zdjęcie na ten miesiąc przedstawiało kryty most, a poniżej znajdowało się przypomnienie, że czas kupić zaopatrzenie do ogrodu. Wszystkie dni czerwca, oprócz wczorajszego, zostały przecięte czarnymi kreskami. Beale wziął długopis i starannie wykreślił wtorek.

- Zapomniałem zrobić znaczek w kalendarzu. Jak mówiłem, dziś zacząłem wszystko później. Od sześćdziesięciu siedmiu dni jestem na wolności. Wie pani, ile dni byłem w więzieniu?

Tess nieźle dawała sobie radę z liczeniem w pamięci: efekt uboczny tego, że przez kilka ostatnich lat musiała znać dzienny stan swojego konta z dokładnością niemal do pensa.

- Pięć razy trzysta sześćdziesiąt cztery, w sumie... tysiąc pięćset, plus trzysta, plus dwadzieścia pięć. Tysiąc osiemset dwadzieścia pięć.

- Zapomniała pani o roku przestępnym. Tysiąc osiemset dwadzieścia sześć. Wyliczyłem, że muszę dożyć siedemdziesięciu dwóch lat, zanim odzyskam te wszystkie dni. A tak naprawdę nigdy ich nie odzyskam, racja? Co się stało, już się nie odstanie. Moja żona Annie i te wszystkie dzieci, które w niej umarły. Staraliśmy się pięć razy, ale po prostu nie mogła donosić ciąży. W środku wszystko miała chore. Dzisiaj lekarze mogliby coś na to poradzić, jeśli ma się pieniądze. Nie tak jest?

- Tak, chyba tak. - Tess nie wiedziała, dokąd ma zaprowadzić ta rozmowa, ale z pewnością nie spodziewała się, że będą dyskutować o współczesnym położnictwie.

Beale westchnął.

- Dzieci, dzieci, dzieci. Prawdę mówiąc, było mi żal tylko ze względu na Annie. Moim zdaniem dzieci to jedna z najbardziej niepewnych inwestycji w życiu. Wydajesz na nic wszystkie pieniądze, poświęcasz cały czas, a i tak nie wiadomo, na kogo wyrosną. Ten cały Treasure był miłym chłopaczkiem. Pyskaty, trzymał się w złym towarzystwie, ale naprawdę dobrze wyglądał. Dziewczynka też ładna, to znaczy byłaby, gdyby się lepiej ubierała. Te wszystkie dzieciaki zawsze chodziły takie obdarte. Przykro mi, że nie żyją, ale to nie ja je zabiłem.

- Ale nie chciał pan wcale im pomóc, prawda? Nie chodziło o pomoc.

- Mam chyba trochę mrożonej herbaty. Na pewno nie chce się pani napić? - Tess pokręciła głową. Beale zdjął z lodówki pojemnik z proszkiem i zaczął go rozrabiać w bursztynowej szklance, którą napełnił wodą z kranu. Mieszał długo i starannie, jakby robienie mrożonej herbaty z proszku wymagało wielkiej precyzji.

- Słuchała pani kiedyś, jak dziecko opowiada film? - Łyzeczka uderzała o szkło, tok, tok, tok. - Wic pani, że dzieci zawsze wszystko pokręcą, zapominają o najważniejszych momentach, kilka razy zaczynają od początku? Do tego dwoje dzieci nigdy nie opowie jednej historii tak samo. Potrafią doprowadzić człowieka do szału.

Tess czekała. Luther Beale sam nie był mistrzem opowiadania.

- Ale dzieci, które widziały, jak umiera Donnie Moore, widziały dokładnie to samo. Opowiedziały łąwie przysięgłych tę samą historię, niemal słowo w słowo. Jak stałem z pistoletem i wyglądałem jak diabeł. Dziewczynka to widziała, chociaż była już za rogiem i uciekała dalej, zanim Donnie dostał. Jej brat biegł tuż za nią, ale on też mnie widział. Gruby mnie widział, chociaż stał do mnie tyłem. Wszyscy opowiedzieli tę samą historię, prawie co do słowa. Dziwne, prawda?

- Ich zeznania chyba zostały do pewnego stopnia przygotowane - stwierdziła Tess. - To w końcu dzieci, prokurator musiał je przyszykować do zeznawania. Nic dziwnego, że zeznania były trochę podobne.

- Owszem. Poza jedną rzeczą. Ja nie zabiłem Donniego Moore'a, panno Monaghan.

Co takiego powiedział jej Tull, kiedy patrzyli na księżyc nad Locust Point? „Chciał sam się bronić. Na szczęście adwokat nie był aż tak szalony”. Jak to możliwe, że Tess przyjęła zlecenie od tego starego szaleńca?

- Chce pan powiedzieć, że na Fairmount Avenue znajdował się ktoś jeszcze, kto też miał broń, i zastrzelił Donniego akurat wtedy, kiedy pan zaczął strzelać, i jakoś tak się stało, że nikt nie usłyszał jego strzałów? To się nie trzyma kupy.

- Słyszałem dwa huki. Wtedy myślałem, że to gaźnik samochodu. Później zrozumiałem, że to strzały, pewnie z tego samochodu, który wyjechał zza rogu.

- Ale kula, którą znaleźli w Donniem, pasowała do pańskiego pistoletu, prawda?

- Kula przeszła na wylot. Nie znaleźli jej. Wcale nie szukali. Nie musieli: mieli mnie, mieli mój pistolet ze świeżymi śladami prochu i czworo dzieci, które twierdziły, że to ja zabiłem.

- Nadal trudno mi w to uwierzyć, ale uznajmy, że wierzę. Ktoś inny zastrzelił Donniego Moore'a. Dlaczego?

- Już tak się zdarzało, że jakiś dzieciak ginął przypadkiem, kiedy jeden diler chciał wykończyć drugiego. Musiało chodzić o narkotyki, bo inaczej dlaczego ci goście w samochodzie nie zwolnili? Dlaczego nie zgłosili się, żeby zeznawać? A jeśli chcieli kogoś zabić, on mi też nie pomoże, bo sam musi uciekać. Dzieci powiedziały, że to ja zabiłem Donniego, bo nie chciały zadzierać z dilerami.

- No tak, ale kiedy Donnie zginął, pozostałe dzieci zostały rozdzielone. Umieszczono je w różnych rodzinach zastępczych. Nawet gdyby chciały, nie mogły się umówić, że opowiedzą tę samą historijkę.

- Powtarzam jeszcze raz, panno Monaghan. Nie zabiłem Donniego Moore'a. Rzeczywiście, z początku trochę pani nakłamałem. Nie sądziłem, że uda się pani znaleźć te dzieci, jeśli nie zwabi ich pani pieniędzmi. Zamierzałem powiedzieć prawdę, kiedy już je pani znajdzie. Chciałem tylko porozmawiać z nimi, dowiedzieć się, dlaczego skłamały, dlaczego nie wspomniały o tych innych wystrzałach ani o samochodzie, który skręcił w Fairmount dokładnie w tej chwili, w której zginął Donnie.

Wychylił resztkę herbaty jednym długim łykiem, wstał, od razu opłukał szklankę i położył na suszarce do naczyń. Przyglądając mu się, Tess walczyła z uczuciami. Chciała mu uwierzyć, choćby po to, żeby nie mieć nic

wspólnego ze śmiercią Treasure'a. Ale przecież nie mogła zwolnić go z podejrzeń tylko dlatego, żeby sama od nich uciec.

- Czy będzie pani dalej dla mnie pracować? - zapytał.

- Dowiedziałam się od policji, że dostał pan DPW za pobicie. Wygląda na to, że nie jest pan tak porządnym człowiekiem, za jakiego pan się podaje. Skatował pan kogoś niemal na śmierć. Może pan to znów zrobić.

Beale wydobyl z kieszeni długi złoty łańcuszek. Przesuwał go w palcach jak różaniec, jakiego używali do modlitwy krewni Tess.

- Mówiłem pani, że moja Annie bardzo chciała mieć dzieci, ale ciało je odrzucało. Zabijało jej dzieci, a potem zabiło ją samą. Jej kobiece narządy ją zabiły. Umierała w szpitalu, a ja codziennie biegłem tam prosto z pracy, żeby być przy niej, kiedy odejdzie. Jednego dnia szef kazał mi zostać dłużej, chodziło o jakąś bzdurę. Kiedy przyszedłem, sanitariusz naciągał jej prześcieradło na twarz.

Tess czekała.

- Zdjąłem je, żeby popatrzeć na nią ostatni raz. Bardzo wychudła, straciła prawie wszystkie włosy, wcale nie wyglądała jak kobieta, którą poślubiłem. Ale to wciąż była moja Annie. Kiedy tak patrzyłem na nią, zobaczyłem, że ma gołą szyję. Sanitariusz trzymał coś w pięści i próbował wymknąć się z sali. Przewróciłem go, usiadłem na nim i waliłem jego głową o podłogę, aż oddał mi medalion Annie. Potem waliłem dalej, tak że w końcu stracił przytomność i musieli go przyjąć na ostry dyżur. Kiedy sędzia usłyszał to wszystko, dał mi DPW.

Otworzył medalion i pokazał Tess zblakłą fotografię w środku. Patrzyła na Luthera Beale'a, młodego Luthera Beale'a, którego znała Annie.

- Zabrał jej też obrączkę, ale to przez medalion wpadłem w szal.

- Udane zdjęcie. Był pan przystojny w młodości. - Naprawdę był, chociaż miał w twarzy rys surowości i chłodu. Luther Beale wyglądał, jakby przyszedł na świat z przekonaniem o własnej prawości.

- Zawsze się zastanawiałem, czy nie włożyć teraz zdjęcia Annie. To znaczy, czy medalion powinien być taki jak wcześniej, czy jest teraz mój, jakby mój sposób pamiętania jej?

Tess nie wiedziała, jak odpowiedzieć. W jaki sposób czci się pamięć zmarłych? Zapala się świeczkę, stawia nagrobek, siada w ciemności i pije tequilę? Sama próbowała tylko ostatniego z trzech rytuałów, ale mocowała się z tą sprawą niemal od roku, to znaczy od mglistego poranka na Felis Point, kiedy na jej oczach Jonathan Ross zginął pod kołami taksówki. Piła tequilę i powtarzała swoją mroczną litanię: a gdyby tego ranka zaspali? A gdyby wyszli frontowymi drzwiami, a nie bocznymi? Gdyby, gdyby...

Podejrzewała, że Luther Beale odmawia własną litanię: a gdyby Annie żyła? A gdyby mieli dzieci? Być może wyprowadziliby się stąd, żeby mogły chodzić do lepszych szkół, więc Luther Beale w ogóle nie mieszkałby przy Fairmount Avenue.

- Nie zabiłem Donniego Moore'a, panno Monaghan. Nie zabiłem tych bliźniaków. A skoro nie ja, to musiał ich zabić ktoś inny. Jestem za stary, żeby znowu siedzieć za cudze zbrodnie. Czy będzie pani dla mnie dalej pracować? Czy teraz pani mi wierzy?

- Wierzę, że nie zabił pan bliźniaków - powiedziała Tess powoli. - I wierzę, że nie chciał pan zabić Donniego Moore'a. Czy to wystarczy?

- To i tak lepiej niż myśli o mnie większość ludzi

Potem po prostu siedzieli w kuchni i czekali na policję.

# Rozdział 16

POLICJA PRZYSZŁA PO LUTHERA BEALE'A PÓZNYM POPOŁUDNIEM. Mieli nakaz przeszukania, ale nie został oficjalnie oskarżony, tylko zabrany na przesłuchanie. Tyner podejrzewał, że czekali tak długo, żeby Beale zmęczył się i zmiękł. Tess pomyślała, że powinni już lepiej znać tego człowieka.

- Dla nas to dobrze - powiedział Tyner, kiedy Tess zadzwoniła do niego z wiadomością, że zabrali Beale'a i zaczęli przeszukiwać jego mieszkanie. - Założę się, że nie mają żadnych materialnych dowodów ani świadków, żeby połączyć go ze śmiercią bliźniaków.

- Chcą dostać moje notatki i porozmawiać ze mną. Detektyw, który prowadzi tę sprawę, próbował mi wmówić, że notatki nie są objęte immunitetem, bo Beale wynajął mnie, zanim stał się podejrzany. Kiedy to nie podziałało, sprowadzili Tulla, który zaczął uderzać w moralność: że chce tylko, żebym miała czyste sumienie.

Tyner się zaśmiał.

- Niezła próba. Na szczęście mamy jeszcze moje papiery, z których wynika, że to ja skierowałam do ciebie Beale'a. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w komisariacie. Luthera Beale'a i mnie czeka długa noc, ale wyciągnę go z tego.

Tess również miała przed sobą długą noc. Czowała, jakby od dzisiejszego poranka minęły ze trzy tygodnie, i niezbyt chętnie myślała o roboczym spotkaniu z Jackie. Cóż, trudno: umowa to umowa, klient to klient, nawet jeśli poszukiwanie córki Jackie wydawało się trywialne wobec powrotu Rzeźnika ze Wzgórza Rzeźnika.

Jackie przybyła do biura z aktualną książką telefoniczną, mapami, plikiem kserówek i brązową torbą, pełną małych kartoników.

- Chińszczyzna? - zapytała Tess. Nicco poprawił się jej humor.
- Fresh Fields.

Tess skrzywiła się: nigdy nawet nie zajrzała do tego sklepu. Nie było jej stać na Fresh Fields. Poza tym słyszała, że specjalizują się w zdrowej, niskotłuszczowej, organicznej żywności. Bojkotowała Fresh Fields z zasady: sklep spożywczy nie powinien się znajdować w malowniczym budynku starego młyna, w sąsiedztwie kawiarni Starbucks. Mimo wszystko stos opakowań wyglądał obiecująco.

- Warzywne pad thai, sushi, sałatka curry z kurczakiem, wędzony kuskus, focaccia, sałatka z makaronu - wyliczyła Jackie. - Na deser ekierki.

- Pad thai? To z rybą, prawda? A w sushi jest surowa ryba. Może będę musiała zjeść obie ekierki. - Tess zajrzała do pustej torby. - Niw ma wina?

- Pracujemy, zapomniałaś? Musimy być trzeźwe.

- No właśnie, a co robimy?

- Niewielkie i proste badanie przez telefon. Podobne organizuję czasem dla klientów. Ty weźmiesz Johnsonów od A do M, ja od N do Z. Później zajmiemy się Johnstonami. Znajdujesz osobę w aktualnej książce telefonicznej, potem porównujesz z książką sprzed trzynastu lat. Zrobiłam z niej ksero. Jeśli tej osoby tam nie ma, robisz znaczek przy nazwisku i idziesz dalej. Jeśli jest, dzwonisz.

- Tu jest prawie dwanaście stron Johnsonów. To zajmie wieki.

- Nie, jeśli weźmiemy pod uwagę okres i miejsce zamieszkania. - Jackie postukała w mapę hrabstwa. - Pamiętaj, że nasi Johnsonowie-Johnstonowie mieszkali w hrabstwie Północne Baltimore. Dzwon tylko do tych osób ze starej książki telefonicznej, które mieszkają na tym terenie. To powinno zdecydowanie zawęzić obszar.

Tess była pod wrażeniem, ale nie chciała tego pokazać.

- No i co, będziemy do nich dzwonić i mówić: „Siemka, jest Caitlin?”

- Nie, bo możemy trafić na Caitlin w nieodpowiednim wieku albo na taką, której rodzice nie pasują do naszego profilu. Kilkanaście lat temu to imię było popularne w rodzinach WASP-ów. Powiemy, że prowadzimy badanie na temat najbardziej popularnych imion dziecięcych w aglomeracji Baltimore, a wśród respondentów zostanie rozlosowany dwudziestosiedmioocalowy telewizor. Pytaj, ile mają dzieci i jak dzieci mają na imię, a potem zapytaj o wiek. Jeśli znajdziemy trzynastoletnią Caitlin, dowiedz się o dokładną datę urodzenia. W ten sposób będziemy miały przynajmniej kilka możliwości.

- Zakładając, że się nie przeprowadzili. I że Willa Mott się nie pomyliła. W świecie Jackie nie było miejsca na wątpliwości.



- Nie poddawajmy się przed startem, dobrze? Zjedz kolację. Zaczniemy dzwonić około siódmej trzydzieści, żeby nie odrywać ludzi od stołu.

- Chcesz powiedzieć, że wreszcie mam szansę spełnić się jako telemarketerka? I że nie będziemy przerywać ludziom kolacji? Nie, na pewno się domyśla, że to jakieś oszustwo.

Jackie przygotowywała stanowiska pracy, układając stosy kserówek obok dwóch map, na których miały sprawdzać adresy. Zamierzała dzwonić ze swojej komórki, a Tess z biurowego telefonu. Ale dlaczego przyniosła dwie mapy? Nie mogłyby mieć chociaż wspólnej mapy?

- Jednym z powodów, dla których jestem taka dobra, jest to, że nigdy nie dzwonię do ludzi w porze kolacji. I przestaję punktualnie o dwudziestej drugiej. Ludzie nie lubią telefonów po dziesiątej. Spodziewają się złych wiadomości i po tej chwili strachu nie da się już naprawić atmosfery.

Tess, która zaczęła kolację od ekierek, a później planowała wrócić do kuskusu, nie odpowiedziała. Miała pełne usta.

Jackie napisała scenariusz rozmowy, którego trzymała się za każdym razem z zaciętą determinacją, wyrzucając swoje kwestie do mikrofonu. „Niczego nie sprzedaję... Przeprowadzam dla lokalnego wydawcy badanie na temat najbardziej popularnych dziecięcych imion w Baltimore... Jeśli odpowie pani na pytania, pani nazwisko znajdzie się na liście osób, wśród których zostanie rozlosowany dwudziestosiedmioocalowy telewizor... Czy mogę zapytać, gdzie pracuje pani mąż? Czy macie państwo dzieci? Jak mają na imię? Ile mają lat? Dziękuję za poświęcony czas, dobranoc”.

Tess starała się zmieniać pytania, z jednej strony dlatego, żeby się nie znudzić, a z drugiej nie chciała przyznać sama przed sobą, jak doskonały plan obmyśliła Jackie. Szybko jednak zrozumiała, że odbieganie od scenariusza obniża skuteczność i zaczęła korzystać ze swojej kopii pytań. Niestety, o ile Jackie potrafiła przy każdej rozmowie wlewać w swoje słowa tyle samo świeżości, spontaniczności i energii, głos Tess brzmiał coraz bardziej i bardziej grobowo. Jak można w taki sposób zarabiać?!

Do dziesiątej - magicznej godziny Jackie - przerobiły około połowy nazwisk. Mimo gorszego początku Tess ostatecznie dodzwoniła się do kilku rodzin więcej. Znalazły pięcioletnią Caitlin, jedenastoletnią Caitlin, a nawet trzydziestodwuletnią Caitlin, której rodzice najwyraźniej wyprzedzili modę - ale w hrabstwie Północne Baltimore nie trafiły na żadną trzynastoletnią Caitlin.

- Nieźle ci poszło - stwierdziła Jackie, studiując listę Tess. - Gdyby agencja detektywistyczna nie wypaliła, możesz zawsze pracować u mnie. Co

prawda wtedy musiałybyś prosić ludzi o pieniądze, a to wymaga zupełnie innych umiejętności.

- Teraz już mogę się napić, szefowo?
  - Oczywiście, ale nie mam nic do picia.
  - Możemy iść do Koreańca. Ma piwo. „Koreańca”. Słyszysz mnie? Zaczynam mówić jak wszyscy na Wzgórzu Rzeźnika.
  - Nie przepadam za piwem - powiedziała Jackie, marszcząc nos. - Wolę wino.
  - To mamy problem. U pana Kima można kupić więcej rodzajów dori-tos niż wina. Już wiem, pójdziemy do Rosie. To tuż za rogiem.
  - Czy tutejsze puby nie są nieco... nieprzyjemne?
- Tess się zaśmiała.
- Nie Rosie. Sama zobaczysz.

Z ulicy pub Rosie wyglądał jak każda narożna knajpa we wschodnim Baltimore. Neon z reklamą beczkowego Budweisera, para porcelanowych rybaków w jednym oknie, figurki Harpa i Chica Marksów w drugim. W środku były tylko długi bar, telewizor nastawiony na jakiś sitcom i rząd bladozielonych przepierzeń wzdłuż przeciwległej ściany.

- Gapią się na nas - szepnęła Jackie, kiedy usiadły w boksie. - To dlatego, że jestem czarna?
  - Jesteś ubrana lepiej niż inni. Tutaj rzadko się widuje garnitury od Chanel. Ale raczej chodzi o to, że u Rosie bywa mało mieszanych par.
  - To znaczy, że...
  - Od razu zauważyłaś, że wszyscy goście są biali, ale jakoś pominęłaś, że to same kobiety - wyjaśniła Tess. - Możesz sobie wyobrazić bardziej tolerancyjną grupę niż lesbijki z klasy robotniczej? No, chyba jednak nie wezmę piwa, tylko drinka. Wiesz, na co mam ochotę? Na koktajl miętowy.
  - Myślisz, że mają białe wino? - Jackie nadal szeptała.
- Tess również zniżyła głos.
- Oczywiście. I to całkiem przyzwoite. Ale weź koktajl, proszę. Barmanka robi syrop z mięty z własnego ogródka. Bajeczny.

Koktajle podano im w dziesięcioletnich szklankach z logo wyścigu Pre-akness. Na torze zazwyczaj wlewano w nie paskudną mieszaninę wódki, soku grejpfrutowego i brzoskwiniowego sznapsa, znaną jako Czarnooka Susan. Barmanka u Rosie miała dość rozumu, żeby zatrzymać szklanki i wystrzegać się drinka.

- Spectacular Bid, Sunday Silence. - Jackie przeczytała imiona koni na szklance. - Nigdy nie byłam na wyścigach konnych, wiesz?

- To fajna zabawa, póki umiesz utrzymać dystans. - Koktajle były słodkie, gęste i podane z taką ilością kruszonego lodu, że przypominały śnieżki z dolewką alkoholu. - Nie można się spodziewać wygranej. Na początku mi się poszczęściło, trafiłam porządek i triplę za dolara. Fart nowicjusza. Zaraz mi odbiło i uznałam, że mogę robić prawdziwe zakłady, wyliczać szybkości i porównywać dotychczasowe wyniki. I zawsze przegrywałam. Teraz traktuję wyścigi jak interaktywną rozrywkę.

- Coś jak przedstawienie?

- Dokładnie. Stawiam jak debil, ale wykształcony. Jeśli nie ma za dużego tłoku przy kasach, lubię patrzeć na oprowadzanie koni. Wybieram takiego, który wygląda mi na zwycięzcę.

- Można to stwierdzić po wyglądzie? Jak?

- No cóż, nie ma stuprocentowej pewności, ale zwracam uwagę na te, które mają sterczące uszy i idą jak na paradzie. Najbardziej lubię ostatni wyścig w Dniu Preakness.

- A to nie jest wyścig o nagrodę Preakness?

- Nie, ten jest przedostatni. Ostatni to taki sobie mały wyścig z przeskodami, nic wielkiego. Połowy gości z płatnych miejsc już nie ma. Ja zawsze mam wtedy szczęście, w tym roku trafiłam porządek.

- Mówiłaś chyba, że porządek to zakład dla debili.

- To prawda.

Jackie starała się zasłonić usta brzegiem szklanki, ale Tess i tak zauważyła, że się śmieje.

- A więc jednak masz poczucie humoru.

- Kto mówi, że nie mam?

- Nie śmiejesz się z większości moich żartów.

- A nie przyszło ci do głowy, że większość twoich żartów po prostu nie jest zabawna?

Tess udała, że chwyta się za serce.

- O perfidio.

- Mówiąc szczerze, dobrze słyszeć, że błaznujesz jak zwykle. Byłaś dziś nieco nieswoja. Wszystko w porządku? O co chodziło rano z tym facetem, który chciał z tobą rozmawiać?

- Pojawiły się... nieoczekiwane odkrycia w innej sprawie.

Jackie się zawahała.

- Chcesz o tym porozmawiać? - Zabrzmiało to, jakby czytała z książki do nauki jakiegoś obcego języka.

- To byłoby nieetyczne. Chyba nie chciałabyś, żebym gadała o twojej sprawie z innym klientem? Poza tym, jeśli policja się do mnie przyczepi, nie

będę mogła się upierać, że moje stosunki z klientem są zastrzeżone, skoro paplam o nich na lewo i prawo.

- Naprawdę może do tego dojść?
- Możliwe, że tak.
- W najbliższym czasie?

Tess nie mogła się nie roześmiać na widok jej zaniepokojonej twarzy.

- Proszę się nie martwić, panno Weir. Stawię się jutro wieczorem, gotowa kontynuować poszukiwania wśród Johnsonów-Johnstonów z hrabstwa Północne Baltimore.

Gestem pokazała barmance, że zamawiają następną kolejkę, ale Jackie położyła dłoń na szklance.

- Muszę jeszcze dojechać do domu.  
- A ja nie - powiedziała Tess. - Wiesz, że James M. Cain używał do robienia miętowych koktajli armatki śniegowej? Założę się, że nie były nawet w połowie takie dobre jak u Rosie.

Parę znanych jej osób mogłoby ciągnąć rozmowę na ten temat przez dobrych kilka godzin. Jackie nie interesowali dawno zmarli pisarze, nawet ci, którzy znali sekrety kelnerek i agentów ubezpieczeniowych.

- Zawsze chcesz więcej, prawda?  
- Hm?  
- Myślałam o tym zdjęciu, które masz w biurze. Więcej miętowych koktajli, więcej przejażdżek na latającym króliku, więcej napojów czekoladowo-słodowych.

- Uwielbiałam mleczne koktajle ze słodem. Zawsze prosiłam o dodatkową łyżkę słoju. Dziadek dokładał, babcia nigdy, kolejny koktajl nie smakował już tak wspaniale. Dokładki nigdy już tak nie cieszą. Jezu, czy to nie wstrząsające, że wyhodowałam sobie zaburzenia odżywiania, skoro dziadek stale wmuszał mi smakołyki, a babcia próbowała mi je zabrać?

- Typowe szaleństwo białych dziewczyn. Anoreksja?  
- Nie, bulimia. Okazjonalne obżarstwo, a potem okazjonalna czystka za pomocą środków na wymioty. Trenowałam, żeby to opanować. W szkole średniej biegałam piętnaście kilometrów dziennie i robiłam setki przysiadów. Zanim rodzice się zorientowali, że nie należę do drużyny sportowej, miałam kolana sfatygowane jak olimpijczyk.

- A potem ci przeszło?

Tess pomyślała o jedzeniu, które zostawiły w biurze. Trochę zjadła, ale całkiem sporo schowały jeszcze do lodówki, oprócz pad thai, które Jackie wzięła do domu. Był taki czas w jej życiu, że nawet ta odrobina byłaby niebezpieczna.

Tess wyrzuciłaby wszystko albo zmusiła Jackie, żeby zabrała całość. Nie ufałaby sobie, mając w zasięgu ręki tyle jedzenia.

- Przejadanie się jest jak alkoholizm, z tą różnicą, że nie możesz całkiem odstawić. W końcu trzeba coś jeść. A do tego muszę trenować, bo jestem uzależniona od endorfiny. Niedawno udało mi się niemal opanować oba nałogi. Zaczęłam wiosłować, co nie szkodzi tak bardzo na kolana, i robię ćwiczenia siłowe zamiast tylko biegać. I pogodziłam się z tym, że jestem średniej budowy. Kobiety uważają, że powinnam zrzucić pięć kilo, mężczyźni twierdzą, że wyglądam świetnie. - Wyszczrzyła zęby. - Chyba lepiej tak niż na odwrót? O ile się nie jest stałą klientką Rosie.

- Wyglądasz świetnie. Mówiłam, to jakieś szaleństwo białych dziewczyn.

- Naprawdę? To dlaczego tak się wściekłaś, kiedy Willa Mott powtarzała, że byłaś gruba?

Jackie skrzywiła się ze wstrętem. Nie wiadomo, czy mina ta przeznaczona jest dla Willi Mott, czy dla dziewczyny, którą Jackie kiedyś była.

- Kiedy zaszłam w ciążę, przez pierwsze cztery miesiące obżerałam się jak szalona. Myślałam, że nikt nie zauważy, że będę miała dziecko, uznają, że po prostu przytyłam. Niezbyt natchniony plan, przyznaję. Kiedy pogodziłam się z tym, co się stało, nie mogłam już nic zrobić poza donoszeniem ciąży.

- Wyglądasz teraz zupełnie inaczej. - Tess przypomniała sobie zdjęcie bezkształtnej, krótkowzrocznej dziewczyny w okularach, w których odbił się flesz.

- Nie aż tak bardzo.

- Ależ tak. Nie chodzi tylko o wagę. Te okulary...

- Teraz noszę soczewki, słyszałaś o takim wynalazku?

- I włosy... Miałaś dwa sterczące mysie ogonki z rozczapierzonymi końcówkami.

- Halo, nie wszyscy noszą tę samą fryzurę przez całe życie. Ty za to się mało zmieniałaś, mówiłam już. Masz twarz, która nigdy się nie zmienia. Będiesz miała pięćdziesiąt lat i ludzie dalej będą w stanie powiedzieć, że to ty jesteś na zdjęciu z królikiem. Chyba kwestia genów, prawda?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale prawdopodobnie tak. Przy najmniej od strony mamy. Monaghanowie rodzą się z okrągłymi, pyzatyimi buźkami, a potem z roku na rok chudną i dostają coraz więcej piegów. Niedawno w centrum spotkałam kolegę z czwartej klasy. Od razu mnie poznał i powiedział, że w ogóle się nie zmieniłam. Niezbyt się ucieszyłam.

- A powinnaś! To cudowne, mieć w życiu coś stałego, coś, po czym ludzie cię poznają.

- Ciekawa obserwacja ze strony kobiety, która zmieniła nazwisko, uciekła od rodziny i oprócz operacji plastycznej zrobiła wszystko, żeby zmienić wygląd.

Jackie milczała, obracając w palcach pustą szklanę.

- Możemy iść?

- Pewnie.

Chyba nadciągała burza, bo powietrze zrobiło się duszne i gęste. Tess i Jackie szły powoli Collington Street, gdy zbliżyła się do nich chuda jak szkielet kobieta z wózkiem niemowlęcym. Wyglądała, jakby nie jadła od kilku tygodni, ale śpiące dziecko było rumiane i wyglądało zdrowo.

- Panie, panie, nie macie kilku groszy? Muszę kupić lekarstwo dla dziecka, kartki na żywność jeszcze nie przyszły, a lekarz mówi, że muszę wziąć nowe leki, mąż pisze z Georgii, że nie może znaleźć pracy...

Jackie sięgnęła po portmonetkę. Tess zatrzymała jej dłoń.

- Jesteśmy na debecie do wypłaty - powiedziała uprzejmie, ale zdecydowanie. - Przykro mi.

Kobieta spojrzała na nie z urazą, zamamrotała coś pod nosem i pchnęła wózek w kierunku grupki osób, które stały na schodach domu kilkanaście metrów dalej.

- Ma dziecko - odezwała się Jackie. - Nie jest ćpunką ani alkoholizką.

- Właśnie że jest, a to wcale nie jej dziecko.

- Skąd wiesz?

- Wszyscy ją tu znają, stale się kręci w okolicy. Ktoś próbował jej pomóc, znaleźć dla niej jakiś dom. Okazało się, że kiedy jest na głodzie, proponuje, że zaopiekuje się czymś dzieckiem i jeździ z nim po ulicach. To taki rekwizyt, żeby więcej uzbierać. Pisali nawet o niej w „Blight”. Wszystkie szczegóły ją zdradzają. Kłamstwo wymaga dużo, dużo szczegółów. Ludzie jej płacą głównie po to, żeby się zamknęła. Jedna z wielu wędrowniczek.

- Wędrowniczek?

- Wędrujące kobiety, zabłąkane dusze Baltimore. Mówią do siebie i wążają się po mieście. Widzę je w autobusach, na przystani, nawet w centrum handlowym Rotunda. Niektóre żebrzą, inne nie. Całkiem niedawno bałam się, że i ja tak skończę.

- Gówno prawda - rzuciła cicho Jackie.

- Co takiego?

- Powiedziałam „gówna prawda”. Coś takiego nigdy by ci się nie przytrafiło. Masz rodzinę, przyjaciół. Gdybyś poleciała, miałby kto cię złapać.

Tess chciała się jeszcze wykłócać, ale Jackie miała rację. Złapała ją na kłamstwie, tak jak przed chwilą ona przejrzała kobietę z wózkiem. Oczywiście, że czasem miała wrażenie, że spada na dno, ale zawsze mogła liczyć na

pomoc rodziny. Kiedy straciła pracę, ciotka Kitty i wujek Donald szukali dla niej zajęcia, gdzie się dało. A gdyby tylko nie była taka dumna, ojciec na pewno załatwiłby jej pracę w którymś urzędzie miejskim.

- Masz rację, nie pomyślałam, co gadam. Zawsze miałam wsparcie. Ty chyba nie mogłaś na to liczyć.

- Miałam jedną osobę. Teraz jestem sama. Mam tylko siebie.

Tess chciała zaprzeczyć, powiedzieć coś kojącego, ale co mogła wymyślić na pociechę, żeby nie skłamać? Matka Jackie nie żyła, jej córka nie była jej córką. Jackie Weir była tak samotna, jak tylko można być samotnym na tym świecie.

# Rozdział 17

NASTĘPNEGO RANKA TESS NAJCHĘTNIEJ POSZŁABY OD RAZU DO TYNERA, ale właśnie tego dnia na nią przypadła kolej, żeby zawieźć babcię Weinstein do fryzjera. Był to jeden z rytuałów, w który babcia wciągała całą rodzinę. W przeciwieństwie do licznych starszych ludzi, którzy za nic nie chcą wypuścić z rąk kierownicy, babcia Weinstein ogłosiła w swoje sześćdziesiąte urodziny, że przestaje sama prowadzić. Uznała za oczywiste, że jej mąż, a po jego śmierci dzieci i wnuki z chęcią wezmą na siebie obowiązki szofera.

Obowiązki te miały przechodzić z osoby na osobę, ale babcia niekoniecznie trzymała się tego systemu. Podjeżdżając pod jej blok, Tess zobaczyła na parkingu niebieskiego saturna swojej matki.

- Nareszcie wolna - mruknęła do siebie. Teraz mogła spotkać się z Tynerem i dowiedzieć się, co się dzieje w sprawie Beale'a. Jednak coś w twarzy matki powstrzymało ją od wrzucenia wstecznego. Napięte linie wokół ust, niepokój w oczach. Dokładnie tak wyglądała Tess, kiedy miała się z nią zobaczyć.

- Cześć, mamó. Zdaje się, że babcia znów umówiła dwie osoby. Myślałam, że to moja kolej.

- Świetnie. Musiałam wziąć wolny dzień. Nie mogę pracować kiedy chcę, jak ty. Władze federalne nie są aż tak elastyczne.

- Władze stanowe też nie, a właśnie idzie do nas wujek Donald. Trzy osoby do jednego zamówienia, to coś nowego nawet dla babci. Myślisz, że to demencja? Czy po prostu nie obchodzi jej, że mamy coś jeszcze w życiu do roboty?

- Nie mów o babci w ten sposób. Należy jej się szacunek - powiedziała Judith automatycznie. - Niedługo od nas odejdzie.



- Chciałabyś - rzuciła Tess.

Matka wyglądała na wstrząśniętą. „To przez ten żart czy dlatego, że to prawda?” Nie wiadomo.

Wujek Donald zbliżył się, pogwizdując. Jestem młodszy od wiosny. Był ulubieńcem babci, zapewne dlatego, że się nie ożenił i jego lojalność nie pozostawiała wątpliwości. Nawet udział w politycznym skandalu, na skutek którego jego szef-senator trafił do więzienia, nie zmienił uczuć babci do Donalda.

- Dzień dobry, siostrzo, Tesser. Jak to rozwiążemy? Rzucimy monetą? A może wezmę z samochodu karty? Najwyższa wygrywa, przegrany jedzie z nią do Pałacu Urody.

- Ja ją zabiorę - odezwała się Judith. - Już i tak wzięłam dzień wolny.

Ułaskawienie, pomyślała Tess. Ale widok nieszczęśliwej, spiętej twarzy matki nie pozwolił jej po prostu odejść.

- Chodźmy wszyscy. Zróbmy rodzinną wyprawę: moja mama i mój ulubiony wujek. I babcia - dodała pod wpływem spojrzenia Judith. - Możemy potem iść do SH, jak wtedy, kiedy żył dziadek.

- Czemu nie? - powiedział Donald.

- Czemu nie? - powtórzyła słabo Judith. Wyraz jej twarzy wskazywał, że mogłaby podać przynajmniej kilka powodów.

Pałac Urody Pikesville mieścił się w starym centrum handlowym przy Reisterstown Road, w pobliżu synagog, które wzniesiono, kiedy żydowskie rodziny z Baltimore zaczęły przenosić się dalej na północ i na zachód. Choć z biegiem lat okolica stawała się coraz bardziej niebezpieczna, Pałac Urody mógł się pochwalić rzeszą stałych klientek, które, jak babcia, nie potrafiły sobie wyobrazić cotygodniowego czesania i farbowania odrostów w innym zakładzie.

- Pani Weinstein! - zaszczebiotała recepcjonistka nieszczerym tonem, którego używał każdy, kto miał do czynienia z babcią. - Jesteśmy wszyscy gotowi. Zaraz zabierzemy panią do mycia.

- Mam nadzieję, że nie przydzieliłaś mi żadnej Rosjanki. Nie znoszę, jak pleplają mi nad głową.

- Dzisiaj zajmie się panią Lisa.

- Nigdy mnie nie obsługiwała. To nie ta, która żuje gumę?

- Nie będzie żuła - obiecała recepcjonistka z wysiłonym uśmiechem. -

Porozmawiam z nią.

- Czemu nie obsłuży mnie Wanda?

- Ma inną klientkę.

- W takim razie Francie. Zawsze ją lubiłam.

- Odeszła od nas, pracuje w salonie na Mount Washington.

- Uciekła, żeby ocalić życie - mruknęła Tess pod nosem.

- Nie mamroc. Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz normalnie.
- Bądźmy wszyscy mili, dobrze? - powiedziała błagalnie Judith.

Wujek Donald, wciąż pogwizdując, oddalił się, jakby nic go nie łączyło z trzem nieznośnych, marudnych kobiet, i z nagłą uwagą zaczął się przyglądać akcesoriom do pielęgnacji włosów, wystawionym w witrynce przy wejściu.

- Dobrze, zapomnijmy o tym - odezwała się babcia niespodziewanie. - Nie mam ochoty, żeby ktoś obcy dotykał mojej głowy.

- Ale Lisa już panią obsługiwała - przypomniała recepcjonistka z odcieniem rozpaczy w głosie.

- Zapisz mnie na przyszłą środę. I zaznacz: żadnych Rosjanek, żadnych obcych i żadnych żujców. Chcę Wandę, rozumiesz? Wanda do mycia, Michael do czesania. Donald, przyprowadź samochód. Pojedziemy wcześniej na lancz w SH.

Wujek Donald wyskoczył na ulicę jak dwunastolatek posłany po gazetę. Judith uśmiechnęła się słabo do wściekłej recepcjonistki. Tess wbiła wzrok w sufit. Jedna wielka szczęśliwa rodzinka, pomyślała.

Przyjemnie było znów znaleźć się w Suburban House - SH, jak mówili starzy klienci - nawet w towarzystwie babci. W tym pozbawionym okien sanktuarium, w którym czas się zatrzymał, podawano niezapomniane desery, a na stołach leżały podkładowki pod talerze z niby-zabawnymi tłumaczeniami z jidysz. „Ajwaj” miało według nich znaczyć „piętnasty kwietnia”, „bris” - „otrzymać poufne ostrzeżenie”, a definicja goja brzmiała „ktoś, kto kupuje w detalu”.

Tess, która dawno już zapomniała, że jadła śniadanie, zamówiła kurzy rosół z krepłach (menu nazywało je „koszernymi ravioli”). Babcia zdecydowała się na omlęt z ziemniakami, a wujek Donald na blince i śledzia. Judith poprosiła tylko o mrożoną herbatę.

- Bardzo dobrze, Judith - pochwaliła babcia. - Nie będziesz miała problemów z figurą, jak co poniektórzy.

Był to sygnał dla wujka Donalda, który interweniował jako rozjemca w tych rzadkich wypadkach, kiedy docierało do niego, że czas na rozejm.

- Czy twój prawnik skończył już podział nieruchomości, mamó? Gdybyś miała jakieś kłopoty z urzędami, po prostu daj mi znać.

- Nie, już prawie wszystko gotowe. W przyszłą środę wieczorem urządzam krabową kolację, żeby to uczcić, i wtedy wszyscy podpiszemy papiery. - W Baltimore nawet ortodoksyjni żydzi jedli kraby, zupełnie jakby istniało niepisane prawo, które zwalnia ich z bożego zakazu. - Dlatego chcę wcześniej iść do fryzjera. Możesz mnie zawieźć, Donaldzie? Wiem, jak ci trudno wyrwać się z biura.

Oczywiście. Donaldowi, który objął się po całych dniach, trudno wy-  
rwać się z biura. Ale dla Judith, która w odróżnieniu od niego naprawdę  
pracowała, to żaden problem.

- Krabowa ucztą u ciebie w mieszkaniu? - zapytała Judith. - Z krabami  
jest tyle zachodu. Najlepiej podać je na dworze, na gazetach.

- Wiem. Pomyślałam, że zrobimy to u ciebie. Masz taki miły ogródek. I  
nie będziesz musiała sprzątać w domu. Tyle pracujesz, że naprawdę trudno  
ci utrzymać porządek, prawda?

Tess poczuła, że przyszła jej kolej, żeby wystawić się na strzał. Rozmowa  
z babcią przypominała ucieczkę przed snajperem.

- Podzieliłaś ziemię tak, żeby każdy miał swoją działkę, czy parcela bę-  
dzie wspólną własnością?

- Przepisałam ją w całości. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.  
Moje dzieci i wnuki będą się wreszcie musiały dogadać.

O, na to się jeszcze nie skarżyła. Tylko babcia - w wieku, w którym lu-  
dzie przestają szukać odmiany - potrafiła znajdować nowe powody do  
niezadowolenia.

- Ale my się dogadujemy - powiedziała Tess niezobowiązująco. Babcia  
wyraźnie szukała dziś zwady. Zamieszanie u fryzjera tylko zaostrzyło znac-  
nie jej apetyt.

- Nie lubisz Debory, Thereso Esther. Myśli, że jej nie szanujesz, bo zaj-  
muje się tylko domem, a ty jesteś Wielką Panią Detektyw, o której piszą w  
gazetach.

- Deborah tak powiedziała? - zdziwiła się Tess. Sądziła, że wyrosły już  
z dziecięcej rywalizacji. Być może żadna nie pochwałała wyborów kuzynki,  
ale nie wywlekały tego publicznie.

- Nie, ale ja to wyczuwam. W takich sprawach mam szósty zmysł.

- Aha. I założę się, iż powiedziałaś Deborze, że... no, nie wiem... jestem  
zazdrosna, bo ona ma męża i dziecko, a ja jestem „tylko” starą panną i moja  
firma ledwo ciągnie. Czy twój szósty zmysł to wyłapał?

- Mamo, widziałaś na wyprzedazy u Hechta te pończochy, które tak ci  
się podobały? - Judith spróbowała skupić uwagę babci na sobie, żeby ocalić  
Tess. - Mam ci kupić kilka par? Skoro już wzięłam wolne, mogę zrobić w  
tym czasie coś pożytecznego.

Babcia powstrzymała ją ruchem wyprostowanej dłoni, jak zniecierpliwio-  
ny policjant, nie spuszczać oczu z Tess. Jak Treasure Teeter nazwał ten  
gest? „Robić Heismana”.

- Mogę jeszcze wykreślić cię z aktu własności ziemi, panienko. Co  
masz mi do powiedzenia?

Tess doskonale wiedziała, co chciałyby jej powiedzieć. „Bardzo proszę, wykreśl mnie, stara, zgorzkniała kobieto. Oddaj mój udział twoim ukochanym porcelanowym spanielom. Nie zrobisz ze mnie zakładniczki swoich pieniędzy. Jesteś podła i małostkowa. A dziadek pewnie umarł dlatego, że nie mógł z tobą już dłużej wytrzymać”.

Wujek Donald zaczął gwizdać Magiczny wieczór. Judith wyglądała żałośnie, jeszcze gorzej niż na parkingu przed domem babci. Ale co ją dobiło? Zachowanie matki czy słowa córki?

- Powiem... - Tess rzuciła ostatnie spojrzenie na twarz Judith. - Powiem, że bardzo przepraszam, jeśli to zabrzmiało bezczelnie. Oczywiście, że jestem wdzięczna za twoją hojność, babciu. Mam przynieść coś do jedzenia w środę?

Kiedy Tess wróciła do biura, pod drzwiami zastała pulchną kobietę, która wydała jej się znajoma.

- Pani Monaghan? - Kobieta miała na sobie czerwoną jedwabną bluzkę i ciemnozielony żakiet ze spódnicą. Wesołych Świąt, pomyślała Tess, z drugiej strony mile ujęta. Kimkolwiek była kobieta, uznała wizytę w Keyes Investigation za dość ważną, żeby wystroić się specjalnie na tę okazję.

- Tak, to ja. - Tess otworzyła zamek. Wkładając klucz, usłyszała, jak Esskay zeskakuje z sofy i pędzi do drzwi, stukając głośno pazurami. Odgłos robił wrażenie - zupełnie, jakby w środku ostrzył kły rottweiler albo pitbull. Kobieta schowała się za plecami Tess.

- Mój pies najwyżej zaliże panią na śmierć - uspokoiła ją Tess.

Kobieta wsunęła się w drzwi, starając się ustawić tak, żeby Tess stała między nią a Esskay.

- Pani mnie nie pamięta?

Rzeczywiście, z początku jej nie skojarzyła. A to dlatego, że patrzyła na ubranie, a nie na twarz.

- Keisha Moore. Matka Donniego. Gdzie jest Layla?

- Szwagierka z nią została.

Niewygodna cisza. Tess czekała, żeby Keisha wyjaśniła, po co przyszła, Keisha najwyraźniej chciała usłyszeć jakieś pytanie.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Słyszałam w wiadomościach, że ten człowiek, który zabił mojego Donniego, może zabił jeszcze inne dzieci. Te, których szukasz.

Cholera. Tess miała nadzieję, że telewizja nie dowie się o podejrzeniach, póki Beale nie zostanie oficjalnie oskarżony. Albo policja zdobyła więcej dowodów, niż myślał Tyner, albo ktoś sprzedał sprawę mediom, żeby wokół Beale'a zrobiło się gorąco.

- To tylko przypuszczenia, Keisho.

Zielony żakiet był o wiele za ciasny. Kiedy kobieta usiadła, fałdy czerwonej bluzki wylazły z dekoltu. Tess zaczęła wąpić, czy to spotkanie z nią jest przyczyną tego szału elegancji.

- Skoro tamte dzieciaki nie żyją, kto dostanie ich pieniądze?

Keisha Moore nie dała się zbić z tropu. Od pięciu lat zabiegała o to, żeby skorzystać finansowo na śmierci syna, i nadal nie straciła nadziei, że uda jej się wycisnąć kilka dolarów z tragedii.

- Przykro mi, ale nikt nic nie dostanie. Sądziłam, że będą pieniądze, ale to wszystko wygląda inaczej.

- Słyszałam, że dziewczyna dostała pieniądze. Ludzie tak mówią.

- Nic o niej nie wiedziałas, kiedy do ciebie przyszedłam - wytknęła Tess.

- Nie, no dobra, po prostu nie skojarzyłam, że o nią chodzi. Myślałam, że to ma być mała dziewczynka. A ile ona dostała, tak w ogóle?

- Jedyne, co jej się dostało, to bardzo przykra śmierć.

Keisha nawet nie zdawała sobie sprawy, że przygryza język jak dziecko. Schowała go, a w jej oczach błysnęła chytra myśl.

- Pomogłaś mu ją zabić i tego jej brata, co się spalił?

- Jezu. Nie. Co za straszne pytanie.

- Ty też mi zadawałaś chamskie pytania. Dlaczego Donnie był w rodzinie zastępczej, jakby to miało jakieś znaczenie. Co zrobiłam, że mi go zabrali? Byłaś gorsza niż glina albo pracownik socjalny. To najgorsza rzecz, kiedy jest się biednym. Trzeba stale odpowiadać na cholerne pytania. „Masz samochód? Masz jakieś oszczędności? Żyjesz z kimś? Z kim masz to dziecko?” Rzygałam tym, no nie?

- Mogę to zrozumieć.

- Tia. Jakbyś musiała odpowiadać na pytania jakiejś wścibskiej suczy.

- Byłam przez jakiś czas bezrobotna. Nasłuchiwałam się wtedy pytań.

Keishy bynajmniej to nie zmiękczyło. Usiadła głębiej w krześle, przyciskając podbródek do fałd czerwonej bluzki i patrzyła spode łba na Tess.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- A kto nie potrzebuje? - odparowała.

- Jest początek miesiąca.

- Miałam... nieprzewidziane wydatki. Wzięłam na kredyt zestaw do dużego pokoju. Jeśli dziś nie zapłacę raty, to mi go zabiorą.

A więc bożonarodzeniowe przebranie miało zrobić wrażenie na facecie z meblowego. Tess nie chciała sobie wyobrażać, do czego Keisha byłaby zdolna, żeby nie stracić swojego zestawu. Jackie miała rację: Tess nigdy nie była na dnie. Nawet się do niego nie zbliżyła.

- Być może mogłabym ci pomóc. Ale najpierw chciałabym zadać ci te same pytania, co poprzednio. Tym razem czekam na odpowiedzi.

Zauważyła, że oczy Keishy są bursztynowe. Zimne i twarde jak bursztyń, z zielonym cieniem wokół źrenicy.

- Dostanę mój zestaw?

- Dostaniesz swoje meble - zapewniła ją Tess. - A teraz powiedz, dlaczego Donnie był w rodzinie zastępczej.

- Pojechałam dla kogoś do Atlantic City. Myślałam, że wrócę na wieczór, ale zdarzył się, no, wypadek. Kiedy nauczycielka się zorientowała, że Donnie był sam całą noc, nasłała opiekę społeczną i go zabrali.

- Wypadek samochodowy?

Keisha poruszyła się niespokojnie, ale milczała.

- Jeśli zadzwonię do przyjaciela w New Jersey i poproszę go, żeby sprawdził, okaże się, że masz wyrok? - Tess nie miała przyjaciół w New Jersey, ale Keisha o tym nie wiedziała. Brzmiało to prawdopodobnie: ktoś musi mieć przyjaciela w New Jersey.

- Byłam mrówką, dobra? Byłam mrówką i mnie zgarnęli.

- Mrówką?

- Przewoziłam narkotyki dla jednego gościa. Jechałam z nimi do Atlantic City pociągiem. Zatrzymali mnie, kiedy tylko wysiadłam. Obrońca z urzędu mnie wyciągnął. Poprosił o test i okazało się, że ten zasrany skurwiol wsadził mnie do pociągu z torbą cukru pudru z chininą. No, ale nim się wszystko wyjaśniło i wróciłam do domu, minął tydzień i Donniego już zabrali. Musiał wygadać w szkole, że siedzi sam, bez mamy, i ma do jedzenia tylko płatki. W opiece społecznej powiedzieli mi, że wróci do domu, kiedy pójdę na takie zajęcia, żeby się nauczyć, jak być matką. Zostały mi jeszcze dwa, kiedy go zabili.

- Ten człowiek, dla którego przewoziłaś narkotyki, to był ojciec Donniego?

- Nie. - Keisha zmierzyła Tess wzrokiem, jakby pytanie było niewiarygodnie głupie. - Po prostu facet, z którym wtedy byłam.

- Jak się nazywał?

- Słuchaj, on już nie żyje. Po co ci jego nazwisko? To był zwykły głupi ćpun i skończył jak ćpun. Próbowałam mu pomóc w sprzedawaniu, ale sama nigdy nie brałam.

- A ten facet, z którym teraz jesteś, ojciec Layli, nie jest taki jak tamten?

- Bez obaw. Nie będę więcej taka głupia.

Kiedy Keisha wstała, jej sylwetka znów zmieniła kształt. Przypominała wielki odlew kobiety, wykonany z galaretki. Otworzyła jaskrawożółtą torebkę, większą niż niektóre walizki.

- Masz jeszcze jakieś pytania czy mogę już iść po moje meble? Muszę zapłacić sto dziewiętnaście dolarów. Możesz zaokrąglić do stu dwudziestu, jeśli będziesz brała z bankomatu.

- Powiedziałam, że dostaniesz meble. Nie mówiłam, że to będą te meble, za które zapłaciłaś.

Usta Keishy skurczyły się w małe, wściekłe kółeczko. Nic nie powiedziała, ale gdyby nie miała na sobie najlepszego niedzielnego ubrania, pewnie skoczyłaby na Tess nad biurkiem. Zamiast tego głośno zatrzasnęła torbę i kilka razy tupnęła nogami. Tess, ignorując to przedstawienie, napisała na kartce kilkanaście cyfr.

- Jest taki człowiek, Spike Orrick - zaczęła, podając kartkę Keishy. - Za dzwón do niego i powiedz, że przysyła cię Tesser. Musisz powiedzieć „Tesser”, wtedy będzie wiedział, od kogo masz numer. Do wieczora załatwi ci meble i trochę jedzenia. Może dorzuci nowy telewizor albo stereo, jeśli akurat będą pod ręką.

Keisha obrzuciła kartkę sceptycznym spojrzeniem.

- Nowe meble czy jakieś używane graty?

- Takie same jak te, które sobie wybrałaś, a może lepsze - obiecała Tess.

- I, Keisha...?

- No?

- Może poprosisz Spike'a o stolik do przewijania? Na mój koszt.

# Rozdział 18

RZEŹNIK ZE WZGÓRZA RZEŹNIKA POWRÓCIŁ I PRAGNIE KRWI. Wszyscy prezenterzy stacji telewizyjnych z Baltimore czuli się w obowiązku tak właśnie wyrazić, zupełnie jakby korzystali z tego samego zbiorku dziennikarskich klisz.

Tess i Kitty siedziały w kuchni ciotki i oglądały wiadomości o szóstej, przełączając stacje, żeby oglądać w kółko te same ujęcia sprzed pięciu lat. Policja miała za mało dowodów, żeby oskarżyć Luthera Beale'a, ale nie powstrzymało to medialnego szaleństwa. W wieczornych wiadomościach na każdym z czterech lokalnych kanałów inna gadająca głowa zwieńczona bujną czupryną podawała te same skąpe informacje: Beale przesłuchiwany w sprawie zamordowania dwojga nastoletnich bliźniaków, którzy zeznawali przeciwko niemu. Nie postawiono żadnych zarzutów. Przynajmniej jeden pomysłowy sprawozdawca posłużył się odwiecznym dziennikarskim chwytem: kilka słów od zwykłego człowieka, prosto z ulicy i bez cenzury.

- Moim zdaniem potrzeba nam więcej takich ludzi jak Luther Beale - mówił łysiejący biały mężczyzna, podpisany jako Joe z Remington (marnej dzielnicy, zamieszkaanej przez niższą klasę średnią). - No bo kogo on zabił? Troje wyrzutków. Przestępcę, dziwkę i ćpuna. W tym mieście przydałoby się kilku Beale'ów.

Tull by się ucieszył, pomyślała Tess. Na szczęście nie był głównym śledczym w tej sprawie, ale z pewnością nie przestanie jej namawiać, żeby współpracowała z policją. W przypadku Luthera Beale'a Tull przejawiał fanatyczną gorliwość, a sprawa z każdym dniem stawała się dla niego coraz bardziej osobista.

Na ekranie Joe wciąż mówił, z wściekłością krzywiąc twarz. Jego słowa zagłuszał komentarz prowadzącego, ale nawet nie posiadając umiejętności



czytania z warg można było się domyślić, że klnie i pomstuje na czarnych. Kolejna słabość wywiadów ze zwykłym człowiekiem z ulicy: czasem człowiek powie, co naprawdę myśli.

- Po co pokazują kogoś takiego? - Ciotka Kitty była naprawdę zdziwiona.

- Nie wiesz, że to ich metoda „dawania głosu obu stronom?” - wyjaśniła Tess. - Z jednej strony zabijanie jest złe. Z drugiej strony: a jeśli zabijasz właściwych ludzi? Jezu Chryste. Zauważyłaś, że nikomu nie przyszło do głowy, że Beale tego nie zrobił? Dobrze, że Tyner miał dość rozumu, żeby trzymać go z dala od reporterów. Jeśli się dowiedzą, że Beale myśli, że nie zabił Donniego Moore'a, wyjdzie na wariata.

- Jak możesz dla niego pracować, skoro mu nie wierzysz?

- Wierzę, że nie zabił bliźniaków Teeter. Wierzę, że tej nocy, kiedy zginął Donnie, widział na ulicy jakiś samochód i coś usłyszał. Czy ktoś inny zastrzelił Donniego Moore'a? Nie wiem. To nieważne. Wierzę, że on wierzy w swoją niewinność, ale Luther Beale to taki człowiek, który lubi mieć rację. Możliwe, że przez ostatnie pięć lat odtwarzał sobie tę noc w głowie tak długo, aż znalazł sposób, żeby się oczyścić. I co z tego. Nie będą go drugi raz sądzić za śmierć Donniego Moore'a.

- Zdaje się, że nikt nie bierze pod uwagę jednej możliwości - powiedziała Kitty, przełączając telewizor na program o gotowaniu na kablówce. Nie lubiła gotować tak samo jak Tess, ale lubiła sobie popatrzeć. - To może być zbieg okoliczności. Dwa okropne zdarzenia, które przypadkiem nastąpiły w tym samym czasie.

- To znaczy?

- Destiny lubiła wsiadać do samochodów obcych mężczyzn, tak? A Treasure lubił przyćpać. Oboje żyli ryzykownie. Jeśli twoja siostra uprawia wspinaczkę bez zabezpieczenia, a brat skydiving, i oboje zginą w odstępie kilku tygodni, to będzie coś niezwykłego? Dziwna i zaskakująca sprawa, warta artykułu w gazecie, ale nic takiego, co nie mogłoby się zdarzyć. Są takie miejsca, gdzie nowotwory występują częściej niż gdzie indziej. Jedno jest w Massachusetts. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje. Myślę, że są też miejsca, które przyciągają tragedie.

Tess się zastanowiła. Wywód Kitty był dziwaczny, ale interesujący. Może przekonałby radę przysięgłych. Do niej nie przemówił.

- Moim zdaniem te dwie śmierci są powiązane. Treasure mówił, że Destiny wyjechała, a kiedy wróci, będą bogaci. „Pojechała do Birmy”. Może to jakieś nowe slangowe określenie na handel prochami.

- Birma to teraz Myanmar.

- Sądzisz, że miejscowi dilerzy trzymają się oficjalnego nazewnictwa? Keisha Moore powiedziała mi dzisiaj, że była mrówką. Przewoziła narkotyki

na zlecenie diler. Może Destiny wpłatała się w taką sprawę, a Treasure zginął, bo ktoś uznał, że w jego podziurawionym krakiem mózgu mogło się zapisać za wiele szczegółów.

- A mnie się podoba moja teoria - powtórzyła Kitty z uporem. - Miejsca, które przyciągają tragedie.

- Niech ci będzie. Cholera, patrz, która godzina. Jeśli się spóźnię na drugą sesję telemarketingu, szefowa urwie mi głowę. Wydawało mi się, że jak się ma własną firmę, nie trzeba się nikomu wysługiwać. A tymczasem klienci chcą ode mnie znacznie więcej niż szefowie!

- Na pewno pomogło, że pracowałam dla mnie i Donalda - podsumowała Kitty.

Tym razem Tess zadbała o kolację. Kupiła kilka zestawów na wynos w małym barze, którego właściciele mieli ambicje większe niż osiągnięcia. W Hot Food Hot można było dostać pizzę, włoskie przystawki, kanapki z bagietek i burgery - „amerykańskie sandwicze”, jak głosiło menu - a także całkiem znośne dania indyjskie. Tess zdecydowała się na te ostatnie, wybierając rozmaite samosy, nany i dwie porcje rogan dżosz. Poprosiła też o cztery piwa.

- Muszę się dzisiaj napić, dobra? - powiedziała, widząc dezaprobatę w oczach Jackie.

- Nic nie mówię. - Jackie przyglądała się uważnie plastikowym pudełkom. - Od Fresh Fields do Burger Kinga w dwadzieścia cztery godziny. W tym niby- jagnięcym czymś jest prawdopodobnie psie mięso.

Esskay zaskowyczała - nie dlatego, że zrozumiała narzekania Jackie, ale dlatego, że uwielbiała rogan dżosz, a rzadko dostawała więcej niż odrobinę sosu i kilka ziaren ryżu.

- Na pewno jest lepsze niż ta obrzydliwość z tofu i ryby, którą wczoraj przyniosłaś. Naprawdę lubisz takie jedzenie czy tylko uważasz, że powinnaś lubić?

- Chyba rzeczywiście napiję się piwa. Tylko pamiętaj: nie wolno pić ani jeść, kiedy dzwonicz. To straszne chamstwo.

Zaczynając tę rundę telefonów, były pełne zapału i podniecone, jednak tym razem godziny wlokły się powoli, a każda minuta oddalała je od zwycięstwa. Dwadzieścia cztery godziny temu sukces wydawał się w zasięgu ręki. Nawet sceptyczna Tess uwierzyła, że systematyczne podejście Jackie pozwoli im znaleźć jej córkę. Niestety, tego wieczoru nie dowiedziały się więcej niż poprzedniego. Ani jednej Caitlin. Nie trafiły nawet na trzynastoletnią Kate czy Katie. W miarę, jak ubywało nazwisk na liście i zbliżała się dziesiąta, praca stawała się coraz bardziej nużąca i frustrująca. Tess wyrzucała z siebie pytania jak karabin maszynowy, tak że ludzie jej nie rozumieli i

musiała wszystko powtarzać. Zniecierpliwiona Jackie zaczęła wyzywać się na swoich Johnsonach i Johnstonach, jakby podejrzewała, że podają jej nieprawdziwe imiona dzieci.

O dziewiątej pięćdziesiąt pięć Tess wystukała numer Wylera Johnstona, usłyszała trzęsący się, starczy głos i po prostu się rozłączyła.

- To koniec! Nie ma jej.

- Nawet nie zadałaś pytań - zaprotestowała Jackie, sięgając po listę Tess.

Tess wyrwała jej papiery z ręki, nie zwracając uwagi, że je drze.

- Na ucho miał dziewięćdziesiąt pięć lat. Mieszka pod tym adresem od czterdziestu pięciu. Naprawdę uważasz, że to on adoptował twoją córkę?

- Nie. Może jego syn lub córka. - Jackie zaczęła przerzucać kartki. - Powinniśmy poszerzyć obszar poszukiwań i uwzględnić całą aglomerację. I wszystkie nazwiska zbliżone do Johnson albo Johnston. Albo Jones. Willa Mott mogła źle zapamiętać, sama mówiłaś. Pamięć nie jest nieomylna.

- Jackie...

Jackie zasłoniła oczy dłońmi - chociaż Tess podejrzewała, że chciałyby raczej zatkać uszy, jak dziecko, które nie chce dopuścić przykrych słów.

- Może ktoś inny mógłby ci pomóc. - Starła się, żeby zamiast zmęczenia i frustracji w jej głosie były delikatność i troska. - Nie wiem. Czuję, że w tej chwili wyłudzam od ciebie pieniądze. Do niczego nie doszliśmy, a ja nie mam pomysłu, co jeszcze zrobić. Oczywiście, istniała szansa, że Willa Mott dobrze zapamiętała nazwisko, że ta rodzina dalej mieszka pod tym samym adresem i naprawdę dali twojej córce na imię Caitlin. Niewielka szansa. Teraz ludzie coraz częściej się przeprowadzają. Może ludzie z Grupy na Rzecz Praw Adopcyjnych coś wymyślą. Ja się poddam.

- Nie wymyślą. Sama wiesz, że agencja to był jedyny trop.

- W takim razie potrzebny ci prywatny detektyw, który lepiej się zna na takich sprawach. Prawdę mówiąc, drugie zlecenie zabiera mi coraz więcej czasu. Możliwe, że będzie oficjalne oskarżenie o morderstwo, a ja siedzę w tym po uszy. Powinnaś wynająć kogoś, dla kogo twoja sprawa będzie priorytetem.

- Nie. Chcę, żebyś to ty mi pomogła.

Zanim zaczęły dzwonić, odłożyły dwie butelki piwa, zamierzając uczcić zwycięstwo toastem. Tess otworzyła obie i zaczęła przelewać napój do szklanki. Jackie wyjęła jej piwo z ręki i zaczęła pić z butelki, jak zawsze robiła Tess.

- To naprawdę wspaniale, że chciałaś wesprzeć świeżo upieczoną bizneswoman. Na pewno znajdzie się w Baltimore jakaś inna kobieta, która właśnie otworzyła agencję detektywistyczną. Idź do niej.

Jackie, która opróżniła już ponad jedną trzecią piwa, wpatrywała się w butelkę, jakby na dnie mogła się ukrywać jej córka. Tess pamiętała, jak

twarda i pewna siebie była pierwszego dnia. „Skąd dowiedziała się pani o Keyes Investigations? Było o pani w gazetach, prawda? Pani kogoś zastrzeliła albo ktoś strzelał do pani?” Owszem, gazety pisały o tamtym incydencie, ale nie o tym, że postanowiła zostać prywatnym detektywem. Informacja o otwarciu agencji w „Baltimore Business Journal” była bardzo krótka i podawała bardziej formalną wersję jej imienia, Theresa Esther Monaghan. Powiązanie tych dwóch artykułów i skojarzenie Tess - ofiary postrzału z panią detektyw Monaghan wymagało szczególnej uwagi.

A już z pewnością nikt, kto nie obserwował jej z wyjątkową uwagą, nie mógł wiedzieć, że jako dziecko uwielbiała koktajle czekoladowo-słodowe. Jackie wiedziała o tym, zanim Tess to powiedziała. Jak można poznać, czym umazało się dziecko - na czarno-białym zdjęciu? Można założyć, że ma na buzi plamę z czekolady, ale skąd pewność, że piło napój ze słodem? A Jackie wiedziała od początku.

- Nie chodziło ci tylko o bizneswoman. Chodziło o mnie. To musiałam być ja. Dlaczego, Jackie?

Jackie Weir podniosła oczy znad butelki i popatrzyła na nią rozpaczliwie i bezsilnie, jakby zabrakło jej słów. Potem wbiła wzrok w ścianę. W zdjęcie płaczącej dziewczynki na latającym króliku.

- Znałam cię - powiedziała wreszcie. - Kiedy byliśmy młodsze.

- Byliśmy razem w Western? - Jackie mogła kończyć szkołę, kiedy Tess chodziła do pierwszej klasy.

- Nie, w drogerii. - Wskazała butelką na fotografię. - Nie w tej. W tej dużej, na Bond Street.

- W największej drogerii Weinsteina? Teraz to księgarnia mojej ciotki Kitty.

- Nie wtedy. Nie było jeszcze księgarni, kiedy miałam osiemnaście lat, a ty miałaś piętnaście. Przychodziłaś do drogerii po szkole, piłaś koktajle słodowe z czekoladą i opowiadałaś dziadkowi, jak ci minął dzień. Nosiłaś długi, lśniący warkocz i byłaś bardzo szczupła, prawie koścista. To chyba wtedy, kiedy tyle biegałaś.

- Dokładnie. Ale ja... - Przerwała, zażenowana.

- Nie pamiętasz mnie? Nic dziwnego. Pracowałam na zapleczu, przewracałam burgery na grillu. Miałam fartuszek, siatkę na włosach i te wielkie okulary. Ale wszystko stamtąd słyszałam. Opowiadałaś dziadkowi, jakie masz dobre stopnie, na jaką idziesz imprezę i co ci powiedział jaki chłopak. Słuchałam tego jak powtórki tych starych programów z Party Duke.

- Zabawne. Mnie ten czas przypominał raczej sitcom według Kafki.

Jackie puściła to mimo uszu.

- W marcu zeszłego roku przeczytałam o tobie w gazecie. Byłaś na zdjęciu z tym psem. Mówiłam, że się wcale nie zmieniasz. Potem, kiedy

zobaczyłam, że otwierasz agencję detektywistyczną, wiedziałam, że muszę cię wynająć. Wiedziałam, że kiedy zaczną się schody, nie będziesz mogła mnie spławić, jak tamten pierwszy detektyw, ani wydawać moich pieniędzy i nic nie robić, jak drugi. Musiałas mi pomóc. Musiałas.

- Dlatego, że pracowałas kiedyś u mojego dziadka? Dlatego że ja piłam koktajle w głównej sali, a ty robiłas hamburgery na zapleczu?

Jackie wyglądała na przerażoną, jakby słowa, które miała wypowiedzieć, były tak bardzo zakazane i tak długo stłumione, że nie wiadomo, co się może zdarzyć, kiedy wydostaną się na wolność.

- Musisz mi pomóc, bo Samuel Weinstein to ojciec mojego dziecka.

# Rozdział 19

TESS NIERAZ BYŁA U TYNERA, ale nie umiałaby wskazać jego domu, gdyby nie wyróżniał się podjazdem dla wózków. Tej nocy w Tuxedo Park panowały jednak takie ciemności - mrok stanowił cechę rozpoznawczą zarówno szczególnie bezpiecznych, jak i wyjątkowo niebezpiecznych okolic - że wszystkie pokryte gontami budynki wyglądały tak samo. Miała problem nawet ze znalezieniem St John's Street. Kiedy już udało jej się odszukać dom Tynera, siadła na ganku i wyciągnęła butelkę z międzynarodowego sześciopak z Alonso Tavern, gdzie pozwalali mieszać piwa. Red Stripe, Bohemia, Royal Oak, Tsing-Tao, Molson i Anchor Steam. W osiemdziesiąt piw dookoła świata.

Minęła jedenasta. Z okien płynęły jedwabiste głosy prezenterów wiadomości, autorytarne, pełne zrozumienia i pewne. Nie trzeba słyszeć słów, żeby wiedzieć, o czym mówią. „Zdarzyło się coś złego. Zdarzyło się coś ważnego. Zdarzyło się coś zabawnego. Zdarzyło się coś na froncie atmosferycznym”.

Zdarzyło się coś gównianego. „Gdzie ten Tyner?” Tess wykończyła red stripe. Butelkę meksykańskiego piwa opróżniła do połowy, kiedy wreszcie van Tynera zatrzymał się na podjeździe. Krzyknęła do niego, żeby nie był zaskoczony, że czeka na niego w cieniu ganku. Ale Tyner nigdy nie był zaskoczony. Szczęściarz.

- To w ramach treningu? - zauważył, patrząc na leżące u jej stóp butelki.
- Zależy, do czego trenujesz. Gdzie byłeś? Siedziałeś po nocy nad sprawą Beale'a? - Nie mogła opanować pretensji w głosie, jakby Tyner powinien się domyśleć, że czeka na niego przed domem.
- Luther Beale jest bezpieczny we własnym domu i mam nadzieję, że tam zostanie, póki policja nie przedstawi o wiele mocniejszych dowodów niż to gówno, którym nas karmili cały dzień. Miałem randkę.

- Randkę? - Wiedziała, że kobiety uważają Tynera za atrakcyjnego, ale nie miała pojęcia, że faktycznie z tego korzysta. - Z kim?
- Prawniczka. Nie znasz.
- Ile ma lat? A może powinnam spytać: jak mała ma lat? Mogłaby być twoją córką? A może wnuczką?
- Dziwne pytanie.
- Nie takie dziwne.

Opowiedziała mu wszystko. Zaczęła od rozmowy z Jackie, zapuściła się w odległe dygresje na temat Willi Mott, Grupy na Rzecz Praw Adopcyjnych i skórzanych siedzeń w lexusie Jackie. Gdzieś w środku tej lawiny słów Tyner sięgnął po butelkę Anchor Steam i zaczął pić w milczeniu. Kiedy Tess ochrypła, na ulicy było już całkiem cicho, telewizory zostały wyłączone, a okna wypełniała ciemność.

- Okazuje się, że szukam własnej ciotki - zakończyła. Jak to jest w tej durnej piosence z Zachodniej Wirginii? „Jestem swoim dziadkiem”? Szukam swojej trzynastoletniej ciotki.

- Wielu ludzi ma ciotki i wujków młodszych niż oni sami. To nie jest aż takie niezwykłe.

- Jezus, Tyner. Dzieliło ich pół wieku.
- I co z tego?
- To chore.
- Ale legalne. Dziewczyna miała osiemnaście lat.
- A on był jej szefem, czyli mamy molestowanie seksualne. I cudzołóstwo. W Maryland nielegalne, niezależnie od wieku.
- Jackie uważa to za molestowanie? Czy to twoja opinia?

Tyner umiał poznać, co ją naprawdę dręczy. To ona czuła wściekłość, nie Jackie. Jackie pamiętała tylko, że Samuel - ciepło w jej głosie, kiedy wypowiadała to imię, sprawiało, że Tess przechodziły ciarki - był dla niej dobry. Jeśli nie łączyła ich miłość, to z pewnością czuli do siebie prawdziwą sympatię: dwoje samotnych, nieszczęśliwych ludzi, którzy znajdowali pocieszenie w swoim towarzystwie. Dawał jej prezenty, zachęcał, żeby pomyślała o innym życiu niż smażenie burgerów w drogerii Weinsteina. Kiedy mu powiedziała, że jest w ciąży, dał jej pieniądze na aborcję, które schowała - było już za późno. Proponował nawet, że pomoże jej opłacić chesne w college'u, ale uniemożliwiły to kłopoty w interesach. Mimo to Jackie nie mówiła o nim złego słowa. Nigdy nie obiecywał, że odejdzie od żony. Nigdy nic nie obiecywał - prócz odrobiny ciepła i uwagi w świecie, który skąpił ich obojgu.

- To wariatka - mruknęła Tess.
- Możliwe. Albo kłamie. Pamiętaj, że skłamała, kiedy się poznałyście.

Ta kusząca możliwość nie przyszła Tess do głowy. Czy Jackie zmyśliłaby taką niewiarygodną historię, żeby Tess nie wycofała się ze zlecenia? Wiedziała sporo o drogerii Weinsteina, ale mogła tam tylko pracować, niekoniecznie sypiając z właścicielem. Może nienawidziła go i czekała tyle lat, żeby zemścić się na jego rodzinie? Tess pozwoliła sobie na chwilę uwierzyć w tę wersję, żeby zaraz ją odrzucić. Nawet babcia Weinstein nie zdołałaby sprowokować człowieka, żeby wszedł na tak krętą ścieżkę zemsty. Poza tym Jackie na pewno urodziła córkę - co do tego Tess nie mogła mieć wątpliwości. Nagle dotarło do niej, że dziwnym szczegółem na temat ojca dziecka, który zapamiętała Willa Mott, nie była jego rasa, tylko wiek.

- Dałabym wszystko, żeby udowodnić, że to jakieś chore kłamstwo, ale nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo gdzieś tam w środku wiem, że to prawda. - Tess otworzyła butelkę Royal Oak.

- I co masz zamiar zrobić?

- Nie wiem. Nawet gdyby ta sprawa nie przyprawiała mnie o mdłości, uważam, że Jackie powinna szukać bardziej doświadzonego detektywa. To, że jestem spokrewniona z jej córką, nie zwiększa moich kompetencji. A poza tym wcale nie wciskałam jej kitu. Luther Beale to mój priorytet, prawda?

Spojrzała na Tynera z nadzieją. Niestety, nie zamierzał jej odpuścić.

- Beale jest bezpieczny, póki nie pojawi się świadek albo policja nie znajdzie materialnych dowodów, które powiążą go z tymi morderstwami. Jeśli chodzi o Destiny, to naprawdę przykra rzecz. Nie zidentyfikowali jej między innymi dlatego, że jej ciało było bardzo zmasakrowane. Występowała jako NN, lat dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu. A miała siedemnaście.

- Ale wyglądała na dwadzieścia pięć, co?

- Jezu, Tess, potrafisz się uwziąć.

- Ja w wieku czternastu lat wyglądałam jak dorosła kobieta. Wiesz, jak to jest? Nie mogłam przejść sześciu przecznic od przystanku do domu, żeby przynajmniej trzech facetów nie zapytało, czy chcę się z nimi przejechać. Niektórzy znikali, kiedy powiedziałam, ile mam lat. A inni okazywali wtedy jeszcze większe zainteresowanie. Zwłaszcza stare przyki. Kurczę, ciekawe, dlaczego mnie dziadek nie zaprosił na zaplecze?

- To, że mężczyzna chce żyć z młodą kobietą, nie znaczy zaraz, że kręci go własna wnuczka. Twój dziadek zasłużył chyba na kredyt zaufania.

- Przykro mi, jego konto już jest zamknięte. Za to babcia okazuje się mieć sporą nadpłatę. Może dlatego tak zgorzkniała, że mąż ją oszukiwał? Założę się, że Jackie nie była jedyna. Kto wie, ile nieznanych ciotek mam w całym Baltimore?



Tyner sięgnął po Molsona.

- Mam chyba tyle lat, ile twój dziadek, kiedy byłeś nastolatką, zgadza się?

- Mniej więcej.

- A co byś powiedziała, gdyby dziewczyna, z którą się dziś umówiłem, miała dwadzieścia pięć lat?

- Mówiłeś, że to prawniczka.

- Zdarzają się dwudziestopięcioletnie prawniczki.

- No... to co innego.

- Dlaczego?

- Bo jest starsza i... no, randka to co innego niż seks.

- Tylko dlatego, że to pierwsza randka. Jestem zbyt dobrze wychowany. A może sądzisz, że nie poszliśmy do łóżka, bo jeżdżę na wózku?

- Oczywiście, że nie. - Tess się zawahała. Właśnie tak sądziła. Starsi mężczyźni uprawiają seks i mężczyźni na wózkach też, ale połączenie obu tych cech dyskwalifikowało Tynera. Bardziej zgorszyć mogłaby ją tylko szczegółowa relacja z życia seksualnego rodziców.

- Mów prawdę, Tess.

- Dobra, dokładnie tak myślałam. Na szczęście jestem pijana. Uznaj to za GSN: gadanie w stanie nietrzeźwym. - Nadstawiła nadgarstki do kajdanów i zauważyła, że trzęsą się jej ręce.

- A Kitty? - zapytał Tyner, ignorując jej wyciągnięte dłonie. - Ile lat ma jej obecny chłopak? Albo raczej: jak mało ma lat? Spotykała się już z mężczyznami, których mogłaby być matką.

- To nie to samo. On miał ponad sześćdziesiąt lat, a ona dla niego pracowała. Mało mnie obchodzi, czy jest na niego zła. Ja jestem! Kochałam go, a teraz okazuje się inny, niż myślałam i już nie mogę go kochać. Żałuję, że w ogóle wpuściłam Jackie Weir-Susan King-Mary Browne do biura!

Jej słowa eksplodowały w mroku nocy jak huk gaźnika. Ktoś krzyknął z okna sąsiedniego domu.

- Cisza! Tu nie Hampden!

- I nie Roland Park, chociaż wmawiacie to ludziom! - Poczwała nagle, że ma dość wewnętrznych hierarchii w miejskiej topografii Baltimore. Mieszkańcy Roland Park krzywili się na tych z Tuxedo Park, którzy czuli się lepsi od sąsiadów z Evergreen, którzy irtowali się, kiedy ktoś brał ich za hampdeńczyków, których obrażało przypuszczenie, że są z Remington, a całe Remington patrzyło z góry na Pigtown. Coraz niżej, coraz niżej na drabinie społecznej. Jeśli powiedziałaś, że mieszkasz koło wieży ciśniń na Roland Avenue, starsi ludzie pytali: „Ale po której stronie Roland?” Bezsens i głupota.

- Masz rację przynajmniej w jednym - odezwał się Tyner, kiedy znów zapadła cisza.
- Tak? Nie zauważyłam.
- Za dużo wypijaś. Prześpij się w gościnnym pokoju, inaczej dołożysz jazdę w stanie nietrzeźwym do GSN. Dobrze, że to ostatnie nie jest karalne.
- Ciekawe czemu? Jest równie niebezpieczne.

Następnego ranka nurt Patapasco - poznaczony zaledwie kilkoma oleistymi plamami - wyglądał podejrzanie kusząco. Tyner radził, żeby nie oddalała się od ludnych miejsc, ale Tess puściła to mimo uszu i skierowała kajak w wąski dopływ rzeki. Wiedziała, że będzie tam sama. Niewielu innych kajakarzy miało ochotę kulić się pod niskimi mostkami, składając wiosła i przeciągając za uchwyty na drugą stronę.

Kiepsko spała. Nadmiar piwa, cały ten dziwny wieczór, obce łóżko (które uświadomiło jej, jak rzadko spędza noc gdzie indziej niż na swoim wyboistym materacu). Miała w swoim życiu okresy, kiedy sypiała z byle kim, ale nigdy nie sypiała byle gdzie. Była domatorką.

A jednak Jonathan Ross jakoś ją znalazł.

Senne koszmary zawsze znajdują drogę, niezależnie od tego, gdzie się położysz. Od niemal roku Tess prześladował jeden sen. Najpierw widziała w nim Jonathana w chwili, kiedy wylatuje w powietrze, uderzony przez tak-sówkę. Ostatnio zaczął wstawać z asfaltu. Otrzepywał się i odzywał do niej. Po śmierci wydawał jej się miłszy - i to nie dlatego, że idealizowała wspomnienia. Pamiętała aż za dobrze, jaki był za życia: arogancki, egoistyczny, nienaganny w pracy, dwulicowy po godzinach. Zmienny i nieprzewidywalny. Oczywiście nie próbowała oczyszczać się z odpowiedzialności za łączącą ich niezdrową relację. Gdyby nie zginął, pewnie wciąż ciągnęliby ten chory trójkąt: ona, narzeczona Jonathana i on, krążący między nimi, żeby jeszcze o kilka lat odsunąć dorosłość. Tess, która sama obawiała się dojrzałości jak diabła, dobrowolnie tkwiła w tym układzie.

Za to po śmierci Jonathan stał się pobożny i prawy. Wygłaszał kazania, pouczał i straszył. Nie pamiętała wiele z tego, co mówił do niej we śnie. Pojawiał się jak kac, mętny ból, i zostawiał ją z przekonaniem, że następnym razem musi się lepiej zachowywać, chociaż nie pamiętała, co zrobiła źle.

„Nie możesz bać się prawdy”.

Wpłynęła pod kolejny most, zatrzymała się, ściskając uchwyty, i z pochyloną głową słuchała łoskotu przejeżdżających nad nią samochodów. Prawda. Gdyby interesowała ją prawda, nie zostałaby dziennikarką, a tym bardziej prywatnym detektywem. Woląca gromadzić fakty niż mówić prawdę.

Prawda była taka, że kochała nieszkodliwe kłamstwa, którymi karmiła ludzi jako prywatny detektyw, i uwielbiała swoją licencję, która ją do tego upoważniała. O ile istnieje coś takiego, jak nieszkodliwe kłamstwo. Małe, niewinne kłamstewko.

Małe niewinne kłamstewka. Duże niewinne kłamstwa. Dziadek Weinstein - ten dobry człowiek, jak powtarzała Jackie - wetknął jej w rękę pieniądze na aborcję i zostawił ją z tym samą, oczyszczając sumienie. Teraz Tess chciała zrobić podobnie: zostawić ją samą, oddawszy jej zaliczkę. Dla jej dobra, oczywiście. Muszą być lepsi detektywi, bardziej doświadczeni w takich sprawach.

Ale Jackie chciała jej pomocy. Były - czy Tess śmie to powiedzieć? Wymówić na głos? Wyszeptać w mroku pod mostem? - rodziną. Będzie mieć dość czasu, żeby zastanowić się, jak się z tym czuje. Teraz najważniejsza rzecz to znalezienie córki Jackie. Córki dziadka. Trzynastoletnia bomba zegarowa czeka gdzieś w ukryciu, żeby wybuchnąć i - być może - zniszczyć jej rodzinę. Tess musiała ją odszukać, choćby po to, żeby ochronić pozostałych.

Może właśnie to próbował jej powiedzieć Jonathan Ross. Może po prostu chciał, żeby wreszcie dorosła; on sam stracił już swoją szansę.

Przed biurem Tess kłębił się średniej wielkości tłumek dziennikarzy i reporterów. Cholerna Jackie. Sprzedała ją mediom, wyznała publicznie, kto jest ojcem jej córki, postanowiła zniszczyć całą rodzinę.

- Czy rozmawiała pani dzisiaj z klientem, pani Monaghan? - spytała zdyszana młoda brunetka.

- Moje kontakty z klientami są poufne - warknęła Tess, otwierając drzwi, i chwyciła obrożę Esskay. Charcica, która miała już swoje piętnaście minut w mediach, nie przepuściłaby okazji, żeby znów zabłysnąć. Z rozkoszą wystawiła się na żer kamerzystów i otworzyła pysk, jakby zamierzała wygłosić oświadczenie.

- Ale Luther Beale jest pani klientem, prawda? - zawołał męski głos za plecami Tess. Ekipa zatrzymała się na chodniku: mieli dość rozumu, żeby nie przekraczać granicy prywatnego terenu.

- Luther Beale?

- Rzeźnik ze Wzgórza Rzeźnika, obecnie podejrzany o zamordowanie dwojga bliźniąt.

- Dwojga bliźniąt? W odróżnieniu od trójki trojaczków czy czworga czworaczków? - Tess uśmiechnęła się, mniej z odzywki reportera, a bardziej z ulgi. Luther Beale. Bogu dzięki. Zapomniała, że większość tych telewizyjnych półgłówków dopiero zaczyna w Baltimore. Mało który wiedział, że w

mieście istniała kiedyś sieć drogerii Weinsteina. Żeby media się nim zainteresowały, dziadek musiałby zrobić dziecko Madonnie.

- Powtarzam, że ta informacja jest poufna! - odrzyknęła. - Z pewnością potrafi pan to docenić. Chyba nie chciałby pan, żebym powiedziała, czy żona jednego z pańskich dyrektorów wynajęła prywatnego detektywa, żeby sprawdził, dlaczego ugania się za prostytutkami. Podobno co noc kręci się po Parku Pattersona. A przecież jeszcze nie czas rankingów popularności stacji.

- Zaraz, mówi pani, że...

Tess podeszła do drzwi. Czuła, że nadarza się szansa załatwienia sobie darmowej reklamy.

- Mówię, że Keyes Investigations szczeni się dyskrecją, a wszyscy nasi klienci mogą być pewni, że gwarantujemy im poufność. Jestem tylko współpracowniczką, nie powinnam się wypowiadać w imieniu firmy w żadnej sprawie. Wiem, że pana Beale'a reprezentuje Tyner Gray. Jeśli macie państwo pytania dotyczące firmy, radzę zadzwonić do właściciela, Edwarda Keyesa.

- Jak się możemy z nimi skontaktować?

- Jako doświadczeni dziennikarze śledczy na pewno macie swoje metody. Ja zajrzałamby do książki telefonicznej. - Tess się uśmiechnęła i pomačała do kamer, a Esskay wytknęła nos przez drzwi, kręcąc ogonem. Zapewne nie staną się wiadomością dnia - jeśli o to chodzi, Tess zrobiłaby lepiej, gdyby pochyliła się, zasłoniła twarz i przebiegła między reporterami - ale jeśli dziennikarze użyją fragmentu nagrania jako ilustracji do materiału, Baltimore dowie się, że firma Keyes Investigations to ludzie, którzy umieją trzymać język za zębami, patologicznie przebiegli i posiadający wyjątkowo przyjaznego psiego strażnika.

Tess próbowała dodzwonić się na numer pagera Jackie, ale udało jej się tylko zostawić wiadomość:

- Wchodzę w to. Nie wiem, czy mi się uda, ale spróbuję ci pomóc. To będzie nowa sprawa i nowa umowa, na moich warunkach.

U wujka Donalda też odezwała się sekretarka. Mając znacznie mniej do roboty niż powinien, wujek nigdy nie odbierał telefonu na biurku i na spacerach po korytarzach urzędu - od ekspresu z kawą do męskiej toalety i z powrotem - zawsze zabierał notatnik. Kiedyś wyjaśnił Tess, że o wiele ważniejsze jest wyglądać na zapracowanego niż naprawdę pracować.

- Mam prośbę - wyjawiała maszynie. - I to dużą.

Wujek Donald zrozumie, że chce go prosić o coś w zasadzie nielegalnego. Nie będzie tylko wiedział, że sprawa dotyczy jego ojca. To był nowy warunek Tess: zamiast honorarium za swoje usługi chciała zażądać od Jackie milczenia. Kiedy dziewczynka się odnajdzie, Jackie musi na zawsze zniknąć z życia Weinsteinów.

Esskay, obdarzona wrażliwszym niż jej pani słuchem, nadstawiła nagle uszu. Tess też to usłyszała: trzask, dochodzący z łazienki. Zwyczajna rzecz. W starym budynku wciąż coś jęczało albo skrzypiało. Ale ten dźwięk był inny. Tess cicho wyjęła pistolet z plecaka. Możliwe, że znów odwiedził ją włamywacz. Po chwili zastanowienia równie cicho jak przedtem wsunęła broń na miejsce. A jeśli włamywacz jest większy od niej albo lepiej uzbrojony? Widok pistoletu może go sprowokować do strzału, nawet jeśli nie miał takiego zamiaru. Włamanie to sposób na uniknięcie konfrontacji. Ci, którzy się jej nie obawiają, wolą rozbój.

Tess wydobyła ze słoja na biurku psi przysmak i rzuciła go w głąb korytarza. Upadł koło drzwi łazienki. Esskay ruszyła jak szarżujący nosorożec: przynajmniej tak to brzmiało. W łazience ktoś krzyknął stłumionym głosem, coś spadło do wody i skrzypnęło otwierane za szybko okno.

W sedesie pływał brązowy mokasyn, a w oknie zniknęła właśnie para nóg w spodniach khaki. Tess złapała intruza za kostki i zaczęła wciągać do środka. Wił się i wrywał, ale jedyne, co mu się udało, to huknąć głową w ramę okna i w brzeg staroświeckiej wanny. Tess wykorzystała ten moment, żeby chwycić go za plecak, przewrócić na podłogę i obezwładnić.

- Leci mi krew? - zapytał Sal Hawkings.

## Rozdział 20

OWSZEM, KRWAWIŁ, I TO BARDZO. Tess przyjrzała mu się nerwowo. Chyba nie wybiła zębów najlepszemu ze współczesnych mówców stanu Maryland? Na szczęście cała krew pochodziła z rozcięcia na czole, a rana, choć mocno krwawiła, była powierzchowna. Dała mu garść papierowych ręczników, żeby to powstrzymać, ale nie udało się ocalić białej koszuli i granatowego swetra.

- Nie powinna pani tego przemyć? - zapytał Sal z niepokojem. - Ta podłoga jest dość brudna. Mogę dostać zakażenia.

- Czyja wyglądam na szkolną pielęgniarkę?

- Nie. Ona jest gruba, maluje usta na czerwono i stale siedzi z papierosem na zapleczu za jadalnią.

Urocze. A raczej byłoby urocze, gdyby Tess była w odpowiednim nastroju. Złożyła na pół jeszcze kilka ręczników i wręczyła je Salowi.

- Mogę cię zabrać na pogotowie. Oczywiście najpierw musiałabym zadzwonić na policję i do Penfield. Rozumiem, że opuściłeś szkołę bez zezwolenia?

- Dlaczego chce pani na mnie nakablować? - Chłopakowi zapuszkowanie-mu w Penfield trudno być na bieżąco z baltimorskim slangiem. Ciekawe, czy Sal próbuje zaimponować kolegom z dobrych domów, grając rolę ulicznego cwaniaka. Jeśli tak, powinien trochę odświeżyć zasób powiedzonek. „Nakablować”. Skoro nawet ona wie, co to znaczy, na pewno nikt już tak nie mówi.

- Włamałeś się do mojego biura. A wcześniej ktoś był tu w weekend. Może ty.

- Do wtorku nawet nie wiedziałem, że pani istnieje.

- Ale Chase Pearson wiedział. Zastanawiam się, czy nie zaczął zbierać informacji na mój temat, zanim do niego zadzwoniłam? Zgromadził całkiem spore dossier.

- Musi pani zapytać jego.
- Może i zapytam. Ale na razie na miejscu jesteś ty, a nie on.

Plecak Sala leżał na biurku - ładniejsza i nowsza wersja tego, który sama nosiła, bez plam i zadrapań na skórze. Postawiła go sobie na kolanach i rozpięła błyszczącą mosiężną sprzączkę.

- To jest nielegalne przeszukiwanie i przetrzymywanie.
- Owszem, gdybym była z policji. - Tess wydobyła zeszyt, dwa długopisy, małe skórzane etui z zestawem śrubokrętów i stary gruby tom, oprawiony w spłowiałe, zielone płótno. Wytarte litery na grzbiecie stały się prawie nieczytelne. Dzieła zebrane Kiplinga. Książka, którą Sal czytał w bibliotece.

- Do czego służą śrubokręty? Tylko do włamów czy do obrabiania samochodów?

Sal skrzywił się ze złością.

- Chodzę na zajęcia z obróbki drewna. Te śrubokręty to prezent od pana Pearsona. Poza tym mówiłem już, że nie byłem tu w weekend. Może pani sprawdzić w Penfield, jeśli mi pani nie wierzy.

- Za to na pewno byłeś dzisiaj rano. - Tess machnęła ręką w stronę mokrego brązowego mokasy, który suszył się na parapecie. - I chciałeś zniknąć jak Kopciuszek.

- Ściśle rzecz biorąc, nie włamałem się.

- Nie, raczej wyłamywałeś się na zewnątrz. I tu pojawia się pytanie, jak dostałeś się do środka. Nie chodziłam do Penfield, ale umiem myśleć logicznie. Co wychodzi, musiało wejść.

Najlepszy współczesny mówca stanu Maryland tym razem milczał. Tess sięgnęła po słuchawkę i wykręciła 311. Numer był oczywiście zajęty, więc udała, że połączyła się z operatorem.

- Chciałabym zgłosić włamanie...

Sal przechylił się przez biurko i przerwał rozmowę.

- Pan Pearson przedwczoraj przyszedł do szkoły i powiedział mi, że mają zamiar zatrzymać Luthera Beale'a.

„Mają zamiar”. Chase Pearson pozyskał dobrych informatorów. Wiedział o aresztowaniu Beale'a, zanim do niego doszło. Tess odłożyła słuchawkę i czekała w milczeniu, z nadzieją, że jeśli się nie odezwie, Sal będzie mówić dalej.

- Wiem, że Beale wynajął panią, żeby nas pani odnalazła. Znalazła pani mnie. Znalazła pani Treasure'a. Destiny nie mogła pani znaleźć, bo już ją wcześniej zabił.

- To nie jest potwierdzone, Sal, i nic na to nie wskazuje.

- Naturalnie. - Spojrzał na nią jak na niewiarygodną naiwniaczkę.

Dziwnie się czuła pod pełnym wyższości spojrzeniem siedemnastolatka.

- Czego chcesz, Sal?

Teraz znów spróbował ją oczarować: jasne, świetliste oczy, przymiłny uśmiech.

- Zastanawiam się, czy wie pani, gdzie jest Eldon. On i ja byliśmy najbliżej. To znaczy wszyscy byliśmy blisko, w końcu Nelsonowie mieli tylko trzy sypialnie, ale Eldon to mój najlepszy kumpel. Kiedy nas rozłączyli, pisałem do niego listy, ale nigdy nie odpowiedział. Wie pani, pisanie nie było jego najmocniejszą stroną.

Sal Hawkings wyglądał tak smutno, że Tess niemal zrobiło się go żal. Znała ten ból: jej najlepsza przyjaciółka Whitney potrafiła przysyłać cudowne prezenty i dzwonić z Tokio bez zapowiedzi, żeby gadać z nią godzinami, ale nawet z pistoletem przystawionym do blond główki nie napisałaby najkrótszego listu.

- Eldon zniknął. Nie stawiał się na przesłuchanie i sąd wydał nakaz doprowadzenia go na rozprawę. To było jakieś siedem miesięcy temu. Moim zdaniem opuścił stan. Pewnie bardzo mu zależy, żeby nikt go nie znalazł.

- Eldon ma siedemnaście lat, jest dwa miesiące młodszy ode mnie. Jak to się stało, że chcą go sądzić jak dorosłego?

- Pewnie okazał się wyjątkowo uzdolniony i przenieśli go klasę wyżej.

Sal Hawkings się nie uśmiechnął.

- Hej, Eldon jest w porządku. Skoro uciekł, to pewnie wcale tego nie zrobił, tylko nikt mu nie wierzył. On nie wie, że można inaczej żyć. Po prostu próbuje sobie jakoś radzić.

- A ty się dowiedziałeś, że można inaczej. Zastanów się nad tym, Sal. Pięcioro dzieciaków w rodzinie zastępczej Nelsonów na Fayette Street. Jeden zastrzelony. Jeden zaczął ćpać, jedna poszła na ulicę, a jeden jest zbiegłym przestępcą. Tobie udało się stamtąd wyrwać, bo pomógł ci Chase Pearson, ale Pearson by ci nie pomógł, gdybyś nie zaczął zdobywać tych nagród za wystąpienia publiczne. Dlaczego ty jesteś inny, Sal? Co odróżniło cię od tamtych?

Sal znów się skrzywił, krzyżując ramiona na piersiach, jakby nie chciał jej dopuścić do swojego serca i duszy.

- Mówi pani jak psycholog w Penfield. Wszyscy zawsze mnie wytykają i chcą wiedzieć, dlaczego. Dlaczego, dlaczego. Jakiś koleś z University of Maryland chciał nawet pisać o mnie pracę. Sal H. Historia sukcesu wbrew przeciwnościom.

- Napisał?

- Gdzie tam. Pan Pearson powiedział, że nie pozwoli zrobić ze mnie jakiegoś cholernego syndromu. Jestem zwykłym chłopakiem. Jestem sobą. Nie można mnie analizować, jakbym był odpowiedzią na wszystkie problemy świata. Od takiego gadania czułem się jak jakiś dziwoląg. - Sal zaczął mówić z akcentem z Massachusetts i gładzić się po brodzie. Najwyraźniej kogoś



naśladował: pracownika społecznego? Psychologa? Zwykłego natręta? - Mój Boże: czarny, który myśli. Który chce lepiej żyć! Co by to mogło znaczyć?

- Chcieli dobrze - powiedziała Tess nieco obronnym tonem. W końcu sama, w trochę inny sposób, zadawała mu podobne pytania.

- Naturalnie. - Znów to wyniosłe spojrzenie. - A może udało mi się, bo jestem wyjątkowy. To też jakaś możliwość, prawda?

- Oczywiście, że jesteście wyjątkowy. Nagradzany mówca, wybitny uczeń i początkujący włamywacz.

- Mówiłem już, że chciałem się dowiedzieć, gdzie jest Eldon.

- I przyszedłeś o to zapytać czy poszukać sobie informacji w moim biurze? Jeśli naprawdę chciałeś się ze mną spotkać, mogłeś się umówić.

- Nie sądzę, żeby pan Pearson mi pozwolił.

- Pewnie nie. A właściwie jak wydostałeś się z Penfield?

- Mieliśmy dzisiaj wycieczkę do Akwarium Państwowego i Centrum Kolumba. Złapałem taksówkę i przyjechałem tutaj. Kiedy zobaczyłem tych wszystkich reporterów przed wejściem, postanowiłem dostać się od tyłu.

Dobra, gładko opowiedziana historia. Ale w końcu Sal Hawkings miał do tego szczególny talent. Umiał szybko tworzyć fabuły i fakty, przedstawiając je tak, żeby brzmiały wiarygodnie.

- Opowiedz mi o samochodzie, Sal.

- Zwykła taksówka. Kierowca ledwo mówił po angielsku, jakiś Polak. Słuchał beznadziejnej muzyki w radio.

Niemożliwe, żeby był tak głupi. Wyglądało na to, że spodziewał się tego pytania i przygotował sobie unik.

- Nie o taksówce, którą tu przyjechałeś. O samochodzie, który skręcił w Fairmount Avenue tamtej nocy, kiedy zginął Donnie.

- Nie wiem, o czym pani mówi - odpowiedział natychmiast. Zbyt szybko. Zupełnie jakby nauczył się swojej roli na pamięć. Tess też umiała wyrecytować całe dialogi z podręcznika francuskiego dla pierwszej klasy liceum: Bonjour Jean, comment-vas tu? Dis donc, ou est la bibliothèque?

- Luther Beale powiedział mi, że widział samochód i oprócz swoich słyszał jeszcze dwa strzały. Żadne z was nie wspomniało nawet o samochodzie ani o innych wystrzałach. Opowiedzieliście wszyscy tę samą historię, z tymi samymi szczegółami. Ale Luther Beale mówi, że kiedy zaczął strzelać, Destiny i Treasure byli już za rogiem, a Eldon stał odwrócony tyłem. Nie mogliście wszyscy zobaczyć tego samego.

- Cholerny łgarz. Nigdy byśmy tego nie zrobili. Byliśmy jedną drużyną, trzymaliśmy się razem, nie zostawilibyśmy jednego z naszych. Uciekliśmy

potem, kiedy Donnie już nie żył, bo się baliśmy. Kto by się nie bał? Nas też chciał pozabijać.

- I nie było żadnego samochodu?

- Żadnego samochodu, żadnych innych wystrzałów, żadnego OJ. Simpsona, jasne? Dlatego staruch chce wykończyć resztę. Kiedy nas nie będzie, nikt nie zaprzeczy jego żalosnym kłamstwom, więc on będzie górą. Ale to on zabił. I musi się nauczyć z tym żyć, tak jak my musieliśmy żyć ze śmiercią Donniego i z tym, że nas rozłączyli.

Złapał plecak i zaczął wciskać do niego swoje rzeczy, które Tess rozrzuciła na biurku. Pozwoliła mu spakować wszystko poza tomem Kiplinga, który trzymała przy piersi. Nie wyjdzie z biura bez tej książki. Zaniepokoił się, widząc ją w rękach Tess.

- Dzisiaj dzieci rzadko czytują Kiplinga. My uczyliśmy się całych fragmentów na pamięć. Ale Penfield jest nieco staroświeckie, prawda?

- Oddawaj. To moje.

Zaczęła przrzucać kartki. Stare, kolorowe ryciny, piękne, chociaż już podniszczone. Była tam samica, „stokroć gorsza niż samiec”, droga do Mandalay i, oczywiście, stary, dobry Gunga Din. Na stronie tytułowej widniała dedykacja „Wesołych Świąt, z miłością, babcia”. Na pewno nie była przeznaczona dla Sala: książka i pismo musiały być od niego starsze o co najmniej czterdzieści lat.

- To moje - powtórzył jękliwie, jak dziecko. - To moja pierwsza własna książka, dostałem ją od pana Pearsona. W Penfield przerabiają tylko współczesnych poetów, Kunitza, Cummingsa, Merwina i inne gówna. Wolę czytać to.

- Nie wiem, czy zgodziłabym się z twoją opinią na temat współczesnej poezji, za to jestem pod wrażeniem, że czytasz Kiplinga dla przyjemności. Jesteś lepszym człowiekiem niż ja, Gunga Din.

Sal popatrzył na nią ponuro i wyciągnął rękę. Pewnie uznał porównanie z wiernym nosiwodą za rasistowską obelgę, a w każdym razie za niepoprawne politycznie. Kiedy podała mu książkę, przetarł jej grzbiet, jakby dotyk Tess mógł ją skazić, i wsunął tom do plecaka.

- Jak wyjaśnisz ranę na głowie, kiedy dołączysz do swojej klasy w Akwarium?

- Coś wymyślę. - Założył plecak, sprawdzając mosiężną sprzączkę, żeby się upewnić, że Kipling jest bezpieczny, i ściągnął z parapetu swój but.

Co do tego Tess nie miała wątpliwości: myślenie stanowi mocną stronę Sala Hawkinsa. Patrzyła, jak odchodzi; z prawego mokasyna wciąż jeszcze ciekła woda.

# Rozdział 21

KIEDY WUJEK DONALD NAPRAWDĘ MIAŁ COŚ DO ROBOTY, DZIAŁAŁ SZYBKO. Tess i Jackie były umówione w jego biurze w wydziale zasobów ludzkich na poniedziałek rano. Miejsce budziło nostalgiczne wspomnienia: siedziba wydziału znajdowała się w dawnym domu towarowym Hutzlera, kiedyś jednym z największych w mieście. W dziesięciopiętrowym budynku kryło się tyle artykułów, które można było kupić lub wyobrazić sobie, że się kupiło, że właściciele, żeby pomieścić tłumy klientów, musieli dobudować drugie skrzydło. Kiedyś Tess zwagarowała ze szkoły i pojechała autobusem linii 10 do centrum, żeby kupić u Hutzlera swój pierwszy zestaw do makijażu. W dzisiejszych czasach, gdy galerie handlowe wabią marmurowymi posadzkami, koncertami gwiazd i kawiarniami, dom towarowy Hutzlera nie wydawałby się już tak wspaniały. Mimo to Tess poczuła ściskanie w gardle, widząc, jak skończył: jako zwykły urząd stanowy z łuszczącymi się murami, podzielony na setki biurowych pokojów.

- Przejdźmy się - powiedział wujek Donald, który czekał na nie w holu z nieodłącznym notatnikiem w ręce.

Zerkając na zegarek, poprowadził je na stację kolejki dojazdowej tuż za rogiem. Usiedli na ławkach, zaprojektowanych tak, żeby bezdomni nie mogli się na nich wygodnie ułożyć.

- Kiedy zacząłem się rozglądać, okazało się, że można to załatwić przez jednego sędziego - zaczął wujek. - Zwykle bierze opłatę.

- Ile? - zapytała Jackie.

- Dziesięć tysięcy dolarów.

- Zapłacę. - Jackie wydobyła z torebki książeczkę czekową i pióro Mont Blanc; oczywiście, długopisy BIC to nie dla Jacqueline Weir. Wujek Donald

położył jej rękę na dłoni, zanim zaczęła wypełniać rubryki. Tess próbowała sobie wyobrazić, co mogłaby napisać na czeku: „Proszę wypłacić sędziemu X. Dziesięć tysięcy dolarów. Tytułem: ot, taka sobie mała łapówka”.

- Wyłącznie gotówka, kochanie. Poza tym powiedziałem, że zwykle tak robi. Kiedy wyjaśniłem, o co chodzi, stwierdził, że nie może pomóc. Jest w stanie dotrzeć do oryginalnego aktu urodzenia, ale przecież nie tego potrzebujesz. W dodatku nie ma żadnego powiązania między oryginalnym dokumentem a tym drugim, nowym.

- Znowu ślepa uliczka. - Jackie była rozgoryczona. - Zdaje się, że moja córka mogłaby znaleźć mnie całkiem łatwo, ale ja jej nigdy nie odnajdę.

Na stację wjechał pociąg, jak zwykle w połowie pusty. Wysoki, barczysty mężczyzna z kędzierzawymi blond lokami, które wystawały spod czapki z daszkiem z logo Yankees, wyszedł na peron i usiadł na ławce obok nich, nie odrywając oczu od dodatku sportowego „New York Post”. Pokazując się na ulicach Baltimore w czapce Jankesów, człowiek prosił się o kłopoty - ale raczej nie ten człowiek. Już sama jego postura zniechęciłaby każdego, kto chciałby wejść mu w drogę. Poza tym sposób, w jaki się poruszał, świadczył o niewzruszonej pewności siebie, czym natychmiast doprowadził Tess do irytacji. Nie znosiła wrodzonej pewności siebie u ludzi - za wiele czasu i wysiłku musiała wkładać w jej udawanie.

- Jeśli pan idzie na Camden Yards, to musi pan się cofnąć o sześć przecznic na południe - odezwała się, oburzona tym naruszeniem ich prywatnej przestrzeni. Tylko podejrzany typ siada tuż przy kimś, jeśli w pobliżu nie brakuje pustych ławek. - Jeśli wybiera się pan na stadion Jankesów, to z kolei trzysta kilometrów dalej na północ.

- Proszę mi wierzyć, wiem gdzie iść, jeśli chcę popatrzeć na dobry bejsbol - powiedział mężczyzna cicho, wciąż śledząc tablice wyników. - Jankesi są tylko trzy miejsca do tyłu na liście strat najlepszych drużyn. Tylko trzy miejsca do tyłu i o pięć miejsc od pierwszego. Zna się pani na bejsbolu? Wie pani, co to oznacza?

- Przerwał pan prywatną rozmowę. Na zupełnie inny temat niż bejsbolowe bzdury.

- Donald, może zechcesz powiedzieć tej kobiecie, kim jestem. Poprawka: dlaczego tu jestem.

- Tess, panno Weir, proszę nazywać tego pana „Kretem”.

- Co, bawimy się w O czym szumią wierzyby? - zapytała Tess. - To ja chcę być Ropuchem.

Pan Kret przyjrzał jej się uważnie. Z oczu bynajmniej nie przypominał swojego zwierzęcego imiennika: miał jasnoniebieskie, błyszczące, zimne jak lód tęczy. Pojedynek na spojrzenia wygrał z łatwością.

- Pan Kret pracuje w Wydziale Zdrowia - wyjaśnił wujek Donald. - Ma dostęp do aktów urodzenia, które według prawa Maryland są własnością prywatną. Jak mówiłem, wiemy, jak brzmi oryginalny akt urodzenia, bo Jackie sama go wypełniała. Pan Kret proponuje, że przejrzy wszystkie akty z osiemnastu miesięcy, licząc od daty urodzenia córki Jackie.

Tess nie rozumiała, dlaczego ta metoda miałaby okazać się lepsza od dotychczas wypróbowanych.

- Umie pan powiązać nowy akt ze starym? W tej chwili nie jesteśmy pewni żadnej ze wskazówek, z którymi zaczynaliśmy, imienia dziecka, nazwiska rodziców ani ich miejsca zamieszkania. Z tego, co wiemy, wszystko okazało się kłamstwem albo po prostu niezgodne z prawdą.

- Nie potrzebuję nazwiska - stwierdził Kret. - Od razu mogę zawęzić poszukiwania do aktów, które mają inną datę wystawienia niż data urodzin dziecka. To wskazuje na adopcję. Inaczej obie daty są takie same.

- O jakiej liczbie możliwości mowa? - chciała wiedzieć Tess, wciąż sceptyczna.

- Niezbyt dużej. Akt musiał zostać wystawiony wmieście, ponieważ tu odbyła się adopcja. Dziecko musi być płci żeńskiej. Na wszelki wypadek przejrzę rejestry hrabstwa, ale jestem pewien, że znajdę akt w rejestrze miejskim. Dziecko było mieszanej rasy, prawda?

- Tak - odpowiedziała Jackie, zerkając na Tess, żeby się upewnić, czy wolno jej podać tę informację. Natychmiast zrozumiała i przyjęła warunek, iż rodzina Weinsteinów nie może poznać szczegółów sprawy.

- Kiedy zna się imię dziecka i nazwiska rodziców, można je znaleźć bardzo łatwo. To zadziwiające, ile komputery...

- Wiem wszystko o komputerach - przerwała Tess jak nieznośny, prze-mądrzały dzieciak; sama od razu wyczuła ten ton.

Jackie znów wyciągnęła książeczkę czekową i pióro.

- Ile jestem panu winna?

- Nic. - Kret pokręcił głową.

Teraz Jackie przyjrzała mu się sceptycznie.

- W takim razie po co pan to robi? Co pan z tego ma?

- Byłem adoptowany. Kiedy zacząłem pracować w Wydziale Zdrowia, pokazali mi, jak znajduje się w rejestrach akty urodzenia. Odnalazłem oryginał swojego aktu, z nazwiskiem matki. Powinien być tajny, ale w biurokracji pracują ludzie, a ludzie nawalają. Znalazłem moją mamę. Przez cały czas, kiedy dorastałem, mieszkała trzy kilometry ode mnie. Nie zmieniło to moich relacji z „prawdziwymi” rodzicami, ale miałem wrażenie, że udało mi się odpowiedzieć na jakies pytanie. Dlaczego mam nie pomóc innym przeżyć to samo?

Rozległ się narastający łoskot kolejnego pociągu, który nadjeżdżał z południa. Pan Kret wstał i wyrzucił gazetę do kosza.

- Muszę na wszelki wypadek wiedzieć, jakie informacje są podane na oryginalnym akcie urodzenia. Donald mówił, że dziewczynka urodziła się jedenastego sierpnia, trzynaście lat temu, tak? A nazwiska rodziców?

Tess spojrzała niespokojnie na Jackie. Tego pytania nie przewidziała.

- Matka Susan King - odpowiedziała Jackie. - Ojciec nieznan.

Pisk hamulców pociągu zagłuszył westchnienie ulgi, które wymknęło się Tess. Nie wiedziała, czy Jackie mówi teraz prawdę, ale z pewnością dotrzymała warunków umowy. Kret i tak nie szukał oryginalnego aktu urodzenia. Jeśli go zobaczy, zachowa dyskrecję, co do tego Tess nie miała wątpliwości. Nie mogłaby go polubić, ale czuła, że komuś takiemu potrafiłaby zaufać. Wsiadł do kolejki, nie oglądając się za siebie.

Wujek Donald wstał, ściskając notatnik.

- Wracam do roboty. Nim mnie wypuszczą do domu, muszę jeszcze trochę połaźić po korytarzach i wypić sporo kawy.

- Kiedy pan Kret się do nas odezwie? - zapytała Jackie.

- Nie mam pojęcia. Przyśle mi zaszyfowaną notkę służbową. Mówiąc szczerze, chyba robi wokół całej tej sprawy trochę za dużą tajemnicę. Wiecie, praca w Wydziale Zdrowia nie jest specjalnie porywająca.

- Jak na niego trafiłeś? - Tess miała wrażenie, że skądś zna pana Kreta; mógłby być reporterem „Star”, który po zamknięciu gazety zaczął pracować jako rzecznik w którymś z urzędów stanowych, a potem zniknął z widoku.

- Na faceta, który nie każe sobie płacić? Kotku, w moim małym światku wszyscy go znają. I boją się jak cholera. Jeszcze kilku takich i cały system się posypie.

Gwiżdżąc skoczny przebój z musicalu, wujek Donald ruszył w kierunku Wydziału Zasobów Ludzkich i wyzwiał kolejnego dnia urzędnika, któremu przydzielono zdecydowanie za mało obowiązków.

Między Tess a Jackie panowała milcząca zgoda co do tego, że zbyt ni optyzm pachnie przegraną. Przedtem sądziły, że są już blisko, a okazało się, że nie wiedzą nic. Podczas lanczu, na który wybrały się do restauracji w Kobięcym Centrum Wymiany Ekonomicznej, unikały więc rozmowy o Krecie czy w ogóle o sprawie. W ten sposób zostało im niewiele bezpiecznych tematów.

- Nie mogę uwierzyć, że ten lokal ledwo ciągnie - stwierdziła Jackie już po raz drugi od chwili, kiedy usiadły.

- Jest w porządku, jeśli lubisz auszpik z pomidorami.

- Muszę przyznać, że zawsze się czuję oszukana, jeśli nie obsługuje mnie panna Margueritte - szczebiotała Jackie, tak samo jak kiedyś Tess,

próbując wyciągnąć od rozmówczyni jakąś odpowiedź. - Myślisz, że od kiedy wystąpiła w Bezsensowności w Seattle, zajmuje się tylko ważnymi klientami?

- Nie wiem - powiedziała Tess apatycznie. - A co jest fajnego w tym, że obsługuje cię dziewięćdziesięciosiedmioletnia kelnerka? Poza tym ona przeszła już na emeryturę.

- Zawsze to jakieś doświadczenie.

- To mi przypomina, że powinnam wstąpić do funduszu emerytalnego, żebym w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat nie musiała kelnerować.

- A jeszcze nie wstąpiłaś? Dziewczyno, najwyższy czas. Przykro mi, że akurat ja ci to mówię, ale to twoje życie. Może czekasz, że coś się wydarzy, ale to już się zdarzyło. Twoje życie jest tu i teraz.

Umilkły obie. Jackie grzebała w porcji pomidorowego auszpiku, Tess jadła szarlotkę a la Russe; miała ochotę na szarlotkę i nie widziała potrzeby udawania, że zjada sałatkę z tuńczyka, żeby zasłużyć na deser. Była dużą dziewczyną i mogła jeść co zechce i kiedy zechce.

- Na pewno nie masz już problemów zjedzeniem?

- Oto najlepszy dowód, że się wyleczyłam.

Znów chwila krępującej ciszy. Wcześniej zdołały się już zbliżyć do miejsca, z którego mogły ze sobą niemal normalnie rozmawiać, zamiast niezgrabnie ukrywać się za kolejnymi barierami. Jednak od chwili, kiedy Jackie wyjawiała swoją tajemnicę - naprawdę minęły tylko cztery dni? - Tess po prostu nie mogła patrzeć jej w oczy. Chociaż dawniej gardziła współczesną manią przeproszania, teraz zaczynała widzieć w niej jakiś sens. Chciała przeprosić Jackie za wszystko: za swojego dziadka, za to, że była czarna i biedna, za to, że musiała zacząć pracę w drogerii Weinsteina, i za sposób, w jaki potraktował ją Samuel Weinstein. To, że Jackie nie czuła się ofiarą, w oczach Tess potwierdzało tylko, że nią jest.

To był syndrom sztokholmski: pokochała swojego prześladowcę. Może nie pokochała, ale poczuła jakąś więź, którą myliła z miłością.

- Zawsze zapominam... - Jackie odłożyła sztućce.- Kobiectwo Centrum Wymiany Ekonomicznej słynie z auszpiku z pomidorami, więc go zamawiam. Ale właściwie wcale nie lubię auszpiku z pomidorami.

Tess dziobnęła swoją szarlotkę a la Russe. Albo ciasto nie było tak pyszne, jak zapamiętała, albo już wszystko zaczynało smakować jak wióry.

Reporterzy, czyhający przed biurem Tess, zwinęli wreszcie obozowisko. Ponieważ w najbliższym czasie nie zapowiadało się, że Luther Beale zostanie oficjalnie oskarżony, dziennikarze przerzucili się na inne scenariusze, oczywiście nie żałując sobie znaków zapytania, które graniczyły z oszczerstwem. Czy we wschodnim Baltimore grasuje seryjny morderca? Takie

pytanie usłyszała, wybierając się rano do pracy. Odpowiedź niewątpliwie brzmiała „nie”, chyba że ktoś zmieniłby definicję seryjnego mordercy, ale w wypadku Luthera Beale'a odpowiedzi były najmniej istotne i najwyraźniej nikogo nie interesowały.

O zmroku usiadła przy biurku, nareszcie wolna od najazdu gości, którzy przez ostatnie dwa tygodnie nieustannie przewijali się przez agencję. Beale, Jackie, detektyw Tull, Keisha Moore, Sal Hawkings. Tyle osób pragnęło jej pomocy, a tak niewiele chciało płacić. Przynajmniej Beale i Jackie dali jej pieniądze.

Co nie znaczy, że uważała ich za bardziej uczciwych od reszty. Oboje powiedzieli, z czym naprawdę przychodzą, dopiero kiedy zmusiła ich sytuacja. Sal chciał znaleźć Eldona: dlaczego w tym celu musiał wchodzić przez okno łazienki, wciąż pozostawało niejasne. Tak czy inaczej, użył tej drogi ostatni raz. Po założeniu nowej zasuwki Tess zabiła okno na stałe. Przesadna zapobiegliwość była jej odpowiedzią na wszelkie problemy.

Keisha Moore jako jedyna postawiła na szczerość. Potrzebowała pieniędzy. Na nowy zestaw mebli do jadalni. Podała nawet dokładną sumę: sto dziewiętnaście dolarów. No tak, ale kłamstwa muszą obfitować w szczegóły: tę metodę stosują „wędrownie kobiety”, zarzucając ludzi szczegółami, aż do zawrotu głowy albo zanutzenia na śmierć - wtedy każdy płaci, żeby wreszcie znikły. Chcą pieniędzy, ale na coś innego niż mówią. Może Keisha tak bardzo wściekła się na meblowy manewr Tess, bo naprawdę nie chodziło o żaden zestaw do jadalni ani o zaległą płatność? Możliwe, że próbowała szybko zdobyć gotówkę na inny cel. Jaki? Była starannie ubrana, a jej ogromna torebka mogłaby z powodzeniem służyć za torbę podrózną.

Keisha przyszła do Tess, ponieważ doszła do niej jakaś plotka o Beale'u, Destiny i pieniądzech. U Keishy takie wiadomości uruchamiały zawsze ten sam ciąg myślowy: „Mój syn nie żyje. Co ja mogę z tego mieć?” Ale co dokładnie usłyszała? Ile wiedziała?

Tess zdjęła smycz z kołka i wcisnęła pistolet do zewnętrznej kieszeni plecaka. Od szeregowca Keishy Moore dzieliło ją dziesięć niezbyt bezpiecznych przecznic, ale niebo wciąż było dość jasne, a Esskay - z pewnej odległości - mogła przestraszyć ewentualnych napastników. Tess ruszyła półbiegiem; charcica ociągała się, zafascynowana zapachami i zakamarkami nieznanego trasy.

Tess usłyszała krzyk Layli z odległości kilkudziesięciu metrów. Darła się jak opętana i wyraźnie była zmęczona, jakby wrzeszczała już od kilku godzin. Wspaniale. Mimo zapewnień i obietnic Keisha wróciła do dawnych zwyczajów. Tess wbiegła po stopniach do drzwi.



- Wcale nie krzyczy tak długo - odezwała się staruszka, siedząca na schodach sąsiedniego budynku. - Dobrze jej to robi. Keisha strasznie ją rozpuściła.

Layla ledwo chwytała oddech; krzyk przechodził w urywane, coraz słabsze szlochanie. Tess załomotała do drzwi, a kiedy nikt nie odpowiedział, kopnęła w nie z całej siły. Zadrżały, ale nie puściły: najwyraźniej były to najsolidniejsze drzwi we wschodnim Baltimore.

- Masz nakaz? - zapytała superniania z sąsiedniego szeregowca. Tess, ignorując ją, pobiegła wzdłuż budynków, żeby dostać się do tylnej uliczki. W domu Keishy podwórko zastępował kwadrat betonu, otoczony siatką. Na furtce wisiała kłódka, ale siatka miała najwyżej sto dwadzieścia centymetrów wysokości. Tess przywiązała smycz Esskay do słupka i przeszła górą przez furtkę. Zewnętrzne drzwi kuchenne były otwarte, wewnętrzne zamknięte na klucz. Wydawało się, że zdoła wyłamać je samą siłą woli, ale trzymały mocno i w końcu musiała wybić kolbą pistoletu szybką, żeby sięgnąć do zasuw.

Znalazła Laylę w małym pokoiku u szczytu schodów. Dziecko siedziało w drewnianym łóżeczku z lat pięćdziesiątych, wykonanym w czasach, kiedy przepisy nie zakazywały używania drewnianych prętów ani toksycznych kalkomanii, przedstawiających pastelowe zwierzątka z obłąkanymi uśmiechami i jedwabistymi rzęsami. Tess schyliła się nad nią z wahaniem, obawiając się, że na widok obcej osoby dziewczynka wpadnie w jeszcze większą histerię. Ale Layla chwyciła ją mocno za barki, jakby Tess była tratwą ratunkową podczas powodzi.

Nie przestała jednak płakać, i nic dziwnego. Strasznie od niej śmierdziało. Tess odsunęła małą na odległość ramienia i przyjrzała się jej niepewnie. Nie zmieniała pieluszek od czasu, kiedy opiekowała się dziećmi jako nastolatka, czyli niemal od piętnastu lat. No dobrze, ale to chyba żadna filozofia? Znalazła czystą pieluchę i paczkę wilgotnych chusteczek w łazience, a kiedy zaczęła się rozglądać za miejscem, gdzie mogłaby przewinąć Laylę, zobaczyła specjalny stolik. Keisha musiała zadzwonić do wujka Spike'a. Zmianianie pieluszki okazało się łatwiejsze, niż Tess pamiętała. Bogu dzięki za jednorazowe pieluchy z rzepami.

Layla ciągle płakała, chociaż w nieco inny sposób: w jej głosie nie było już paniki, tylko żądanie. Tess знаła ten ton: tak właśnie skamlała Esskay, kiedy spóźniała się kolacja. Zniosła dziewczynkę na parter – w jadalni stał nowy komplet mebli, którego wcześniej, pędząc na górę, nie zauważyła - i przeszukała kuchnię. Natrafiła na puszkę mieszanki mlecznej, ale nie miała pojęcia jak ją przyrządzić, i butelkę z czymś, co wyglądało jak sok jabłkowy, w lodówce. Layla ssała chciwie, na razie zaspokojona.

I co teraz? Jeśli Tess zadzwoni do opieki społecznej, mała w ciągu dwóch godzin znajdzie się w rodzinie zastępczej. Oczywiście dla niej będzie to

lepsze rozwiązanie niż „opieka” matki. Może jednak Keisha zdoła wyjaśnić swoją nieobecność. Nie skłamała w sprawie mebli. Możliwe, że zostawiła dziecko ze swoją nieodpowiedzialną szwagierką albo jakimś dzieciakiem z sąsiedztwa, z kimś, kto po prostu sobie poszedł. Chodziła w kółko po pustej jadalni, huśtając Laylę na rękach. Niewiele więcej mogła dla niej zrobić. Jeśli Keisha nie pojawi się naprawdę szybko, Tess będzie musiała zadzwonić do opieki społecznej albo na policję.

Layla miała skórę chłodną i wilgotną w dotyku. Zapadał wieczór; może jest za zimno dla takiego malucha? Trzymając ją na biodrze, Tess poszła na piętro, żeby poszukać jakiejś koszulki. W pokoju Layli nie było nic oprócz kosza ze stosem brudnych ubrań. W łazience znalazła tylko kubeł na pieluszki. Poruszając się coraz bardziej gorączkowo, pchnęła drzwi do ostatniego pokoju. Domyślała się, że to sypialnia Keishy.

Nie domyśliła się, że kobieta jest w środku.

Otwarte bursztynowe oczy Keishy wyrażały zaskoczenie, jakby zdążyła jeszcze zorientować się, co się dzieje. W poprzek jej ciała leżało ciało mężczyzny: może chciał ją osłonić albo właśnie zrywał się z łóżka, kiedy padł strzał. Jego pistolet wypadł na podłogę ze sztywniejących palców. Kule, które rozerwały mu plecy, przeszły także Keishę, sądząc z ilości krwi. Naprawdę było tu sporo krwi. Ale pewnie za mało, bo zabójca strzelił jeszcze dwa razy: w tył głowy mężczyzny i w czoło Keishy. Dla pewności. Tess nagle poczuła ciężar Layli na biodrze, która gruchając, wyciągała pulchne rączki w stronę martwego ciała matki.

## Rozdział 22

ZNAJOMA SCENA - POWIEDZIAŁ MARTIN TULL. - Ty, ja, morderstwo.

Tess siedziała w kuchni Keishy Moore, wciąż trzymając w ramionach Laylę, która wreszcie zasnęła mimo zamieszania i hałasu - policjanci i technicy kręcili się po całym domu, patolog ładował do furgonetki ciała jej rodziców. Zerknąwszy na dziewczynkę, Tess przypomniała sobie, że w końcu nie znalazła jej koszulki. Przygarnęła ją mocniej.

- Twoim zdaniem to Beale - odezwała się.

- A twoim zdaniem nie. - Od Tulla wiało chłodem; byłby dla niej o wiele miłszy, gdyby się nie znali. Pamiętała, z jakim współczuciem i zrozumieniem wysłuchiwał jej paplania, kiedy się spotkali po raz pierwszy, chociaż nie wierzył w ani jedno słowo.

- Zatrzymacie go znowu?

- Ktoś już po niego jedzie. - Twarz Tulla nieco stajała. - Ale wiesz co? Uważam, że Beale nie ma z tym nic wspólnego. To mi wygląda na egzekucję. Na pewno okaże się, że chłopak Keishy był zamieszany w brudne interesy.

Nie będę więcej taka głupia.

- Keisha Moore mówiła, że nie był.

- Przejdiesz wreszcie na moją stronę? Porozmawiasz ze mną o swoim kliencie?

Tess powąchała główkę Layli. Pachniała słodko, jakby wypity sok jabłkowy parował teraz przez skórę.

- Śmierć matki Donniego Moore'a to równie dobra okazja jak każda inna, żeby aresztować Beale'a i zobaczyć, czy chce coś powiedzieć. Albo się przyznać.

- Beale jest twardszy niż ty.

- Zgadza się - powiedział Tull. Podniosła na niego oczy znad głowy Layli, zaskoczona, że ma jednak dla Beale'a jakieś dobre słowo. - Wiesz, jaki człowiek musi być twardy, żeby zabić z zimną krwią troje dzieciaków? O wiele twardszy niż ja.

- Nie zabił trojga.

- A ile zabił? Ile musi zabić, żebyś przyznała, że mam rację? Jeden dzieciak to za mało? Więc może dwoje? Albo pięcioro? Powiedz mi coś, Tess. Naprawdę wierzysz, że nie zastrzelił Donniego Moore'a, czy tylko, że nie zabił go z premedytacją? Wierzysz, że zabił Treasure'a, ale nie Destiny, czy na odwrót?

Z oddali dobiegło grobowe wycie Esskay. Suka została zamknięta na tylnym siedzeniu wozu Tulla, żeby nie przeszkadzała w oględzinach sceny zbrodni. „Raczej tego, co zostało ze sceny zbrodni”, warknął jeden z techników - zupełnie jakby Tess, biegnąc w poszukiwaniu pieluszek i soku, wiedziała, że w domu są dwa trupy.

- Ktoś słyszał strzały? - zapytała Tulla.

- Sąsiedzi mówią, że coś było słychać, ale nie zawiadomili policji, bo myśleli, że to gdzieś dalej. Tutaj ludzie nie zawsze zgłaszają strzelaninę.

- A czyja to wina?

- Ich, bo stale do siebie strzelają. Widzisz? Umiem grać złego policjanta. Tego chcesz? Tak o mnie myślisz?

- Tak się zachowujesz od pewnego czasu.

- Tak się zachowuję, od kiedy wmieszałaś się w sprawę Beale'a. Miałem wtedy rację, prawda, Tess? Popatrz na to w ten sposób. Gdybyś nie wzięła sprawy Beale'a, nie spotkałabyś Keishy Moore i nie siedziałabyś tutaj. Nie chciałabyś przynajmniej tego uniknąć? W końcu masz już na sumieniu śmierć Treasure'a Teetera...

- Skończyliśmy już?

- Jeszcze chwilę.

Policjantka podeszła do nich, wyciągając ramiona. Przez chwilę Tess nie wiedziała, o co chodzi. Kiedy zorientowała się, że chce wziąć Laylę, przycisnęła ją mocniej do siebie.

- Proszę się nic martwić - odezwała się policjantka. Była zaskakująco młoda, nawet dla Tess: nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. - Dziecko będzie w dobrych rękach.

Trzymała dużą torbę z pieluszkami i innymi rzeczami małej; najwyraźniej udało jej się znaleźć ubranka Layli. Mimo to Tess nie umiała pogodzić się z myślą, że jest od niej mniej kompetentna.

- Co z nią zrobicie?

- Dzisiaj spędzi noc w pogotowiu opiekuńczym, a jutro sprawdzimy, czy może się nią zająć ktoś z rodziny.

Tess pomyślała o członkach rodziny Layli, o których wiedziała: siostrze narkomance i nigdy niewidzianej szwagierce, ciągle podrzucającej swoje dzieci Keishy.

- A jeśli nikt nie będzie mógł?

- Zostanie w rodzinie zastępczej. Niech się pani nie martwi, wiemy, jak to się robi.

- Chryste, to brzmi, jakby istniała jakaś procedura.

- Bo istnieje, Tess. - Głos Tulla zabrzmiał jak dawniej, kiedy byli przyjaciółmi. - Sądzisz, że ta mała dziewczynka jest pierwszym osieroconym dzieckiem w Baltimore?

- Nie, raczej nie. - Tess, ociągając się, podała Laylę policjantce. Mała nie otworzyła oczu; spała twardo w chwili, która mogła być najważniejszym momentem jej krótkiego życia. Wszystko, co się jej przydarzy, będzie miało związek z tą nocą i decyzjami, które teraz zapadną. Co sobie pomyśli, kiedy obudzi się w obcym miejscu, wśród obcych ludzi? Co wiedzą takie małe dzieci? Co pamiętają? Czy będzie czekać na dzień, w którym matka wreszcie ją odnajdzie? Czy córka Jackie czeka na nią, czy ma w pamięci jakiś wryty na trwałe pierwotny obraz matki? Tess próbowała wyobrazić sobie swoje życie bez Judith, Judith, która tak skutecznie potrafiła doprowadzić ją do szału, wiecznie krytykującej, cudownej męczenniczki Judith. A Judith nie byłoby na świecie bez babci Weinstein.

- Podwożę cię i psa do domu, dobrze? - zaproponował Tull niepewnie. - Jest już ciemno, nie chciałbym, żebyś wracała pieszo na Wzgórze Rzeźnika.

- Esskay wygląda groźnie. Nic nam nie będzie. - Tess czuła się równie bezradnie jak Tull, nie pozwalając, żeby okazał jej troskę. Gdyby nie poczęstował jej niestrawnym morałem o Treasure Teeterze, mogłaby się zgodzić na podwiezienie i wyciągnąć rękę do pojednania. Ale to on zapytał, czy jest gotowa przejść na jego stronę: uważał, że to on ma rację, a Tess się myli.

- W takim razie daj mi znać na pager, jak będziesz w domu.

- W porządku - powiedziała, czując, że nieco mięknie. - Czy mogę się jakoś dowiadywać, co się dzieje z Laylą?

- Laylą?

- Z dzieckiem.

- Będę w kontakcie z opieką społeczną i wszystko ci przekażę, dobrze?

- Chyba tak. A jeśli dadzą ją do rodziny zastępczej? Co z nią wtedy będzie?

- Nie wiem, Tess. Po prostu nie wiem.

- Aha.

- Normalnie zabiliby też dziecko, ot tak, przy okazji. Dobrze chociaż, że to byli profesjonalści. Ta mała ma szczęście.

- Jasne. Jest z biednej rodziny, jest sierotą i właśnie wciągnął ją ten sam system, w którym zginął jej brat. Czy można mieć więcej szczęścia?

W odległości dwóch przecznic od domu Keishy Moore Tess zaczęła żałować, że odmówiła Tullowi. Minęła już dziewiąta i Fayette Street była całkiem pusta. Tess przyspieszyła, zadowolona ze spaceru Esskay truchtała u jej boku. Szybki, lekki stukot pazurów, przypominający dźwięk kastanietów, mieszał się z cięższym odgłosem kroków Tess. Czy naprawdę usłyszała jeszcze jedne kroki, głośny tupot, jakby szedł ktoś wysoki i potężny?

Stanęła. Nic. To pewnie tylko echo.

Ruszyła i znów się zatrzymała. Odgłos kroków również ucichł. Jeśli ktoś ją śledził, musiał się ukrywać w cieniu: może przycupnął za schodami jakiegoś domu albo usunął się w uliczkę, którą właśnie minęła.

- Mam broń - oznajmiła Tess pustej ulicy.

„I dobrze”, mogłaby powiedzieć na to ulica. Ale nikt się nie odezwał.

Czy tydzień temu ktoś śledził Keishę Moore na tej samej drodze? Nie byłoby to zbyt trudne zadanie: rzucała się w oczy w tym zielonym żakiecie, czerwonej bluzce i szpilkach w nieco innym odcieniu czerwieni. I z tą jaskrawo-żółtą, okropną torebką. Co w niej trzymała? Raczej nie pieniądze ani nic wartościowego, skoro próbowała naciągnąć Tess na sto dziewiętnaście dolarów. Co wiedziała Keisha Moore? Co miała wspólnego z Treasure'em Teeterem, poza faktem, że oboje rozmawiali z Tess?

„Oboje rozmawiali z Tess”. Tak, to było to: w związku ze sprawą Luthera Beale'a Tess spotkała się z trojgiem ludzi. Dwoje nie żyło. Co najmniej dwoje.

Tess ruszyła biegiem, zapominając o krokach za plecami. Biegła, jakby od tego zależało życie, jeśli nie jej, to być może czyjeś życie. Esskay nadała tempo. Zatrzymały się dopiero pod biurem.

Tess obejrzała się jeszcze raz, z gotową do strzału bronią w ręce, i poczuła się głupio. Na ulicy nie było nikogo. Weszła do środka, żałując, że nie może po prostu wsadzić głowy do miski z wodą, jak Esskay. Zamiast tego usiadła przy biurku i łapała oddech. Kiedy przestała sapać, wykręciła numer Penfield School.

- Czy jest Sal Hawkings?

- Kto mówi?

- Tess Monaghan.

- Proszę pani, nie pozwalamy uczniom odbierać telefonów o tej porze, chyba że to coś pilnego. A poza tym dostaliśmy polecenie, żeby pani nie łączyć.

- Wiem, od Chase'a Pearsona. Nie chcę rozmawiać z Salem. Chcę się tylko dowiedzieć, czy wszystko z nim w porządku. Czy jest w internacie.

- Oczywiście, że tak. - W głosie zabrzmiała uraza. - Nie mamy zwyczaju...

- Zechce pan to, do cholery, sprawdzić? Inaczej dzwonię na policję i zgłaszam, że zaginął.

Długa cisza. Tess uznałaby, że połączenie zostało przerwane, gdyby nie seria kliknięć gdzieś w tle — staromodny system interkomów? Wreszcie ktoś pojawił się na linii. Inny głos. Znajomy.

- Salowi nic nie jest - zapewnił ją Chase Pearson. - A dlaczego pani tak przypuszcza?

- Dziś w nocy została zabita matka Donniego Moore'a.

Chwila ciszy, jakby Chase Pearson nie pamiętał, kim był Donnie Moore.

- Bardzo mi przykro, ale matka Donniego chyba zawsze obracała się w złym towarzystwie? O ile sobie przypominam, to dlatego Donnie trafił do rodziny zastępczej. Co to może mieć wspólnego z Salem?

- Nie wiem, ale... - Postanowiła jednak nie wspominać Pearsonowi o wizycie Sala w jej biurze. - Nie wiem, chyba po prostu spanikowałam.

- Niewątpliwie.

- Czy zwykle jest pan w szkole, panie Pearson?

- Nie rozumiem. Jestem absolwentem, mam tu swojego podopiecznego, należę do rady nadzorczej...

- Chodzi mi o to, czy zawsze jest pan w szkole w poniedziałek po dziewiętej wieczorem?

- Miałem obowiązki towarzyskie w klubie sportowym w Phoenix i wpadłem po drodze.

„Obowiązki towarzyskie”. Tess miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała uczestniczyć w wydarzeniu tak przerażającym, żeby udział w nim zasługiwał na miano „obowiązku”.

- Pan również boi się o Sala, prawda? Boi się pan, że zabójca Destiny i Treasure'a Teeterów może przyjść po niego, i dlatego stara się pan być w pobliżu.

- Panno Monaghan, każdy w Baltimore wie, kto zabił Teeterów. Policja znajdzie sposób, żeby postawić mu zarzuty. To tylko kwestia czasu. Do tej chwili, owszem, będę się bał o Sala. Beale'owi byłoby trudniej go dopaść niż tamtych, ale udowodnił już, że jest przebiegły, czyż nie?

- Jeśli to nie Luther Beale zabił Teeterów, to znaczy, że Sala chce dopaść ktoś inny, panie Pearson. Ktoś o wiele groźniejszy, ponieważ pan się go nie spodziewa.

- A dlaczego ktoś inny miałby zabijać te biedne dzieciaki?

- Ponieważ coś wiedzą. Widziały coś tej nocy, kiedy został zabity Donnie Moore. Może diler, który zagroził im śmiercią, jeśli będą zeznawać przeciwko niemu. Jeśli obiecali, że będą milczeć, w tej chwili to już za mało. Luther Beale wyszedł z więzienia i chce udowodnić swoją niewinność, więc prawdziwy zabójca musi dotrzeć do świadków przed nim.

- Panno Monaghan, słucha pani czasem talk showów w radiu?

Zaskoczył ją.

- Tak, czasami. Ale co to ma wspólnego...

- Tak myślałem - stwierdził Pearson pogardliwie. - Mówi pani zupełnie jak jeden z tych paranoików.

I rozłączył się.



## Rozdział 23

W NASTĘPNYM TYGODNIU NIC SIĘ NIE ZDARZYŁO. Och, oczywiście: słońce wschodziło i zachodziło, Tess trenowała co rano, a ciotka Kitty rozstała się z Willem Ille'em, przy okazji wywołując małe, ale bardzo dramatyczne przedstawienie. Will płakał, powiedział, że nigdy jej nie zapomni, próbował ukraść Kitty pierwsze wydanie powieści Ann Tyler, a Esskay ugryzła go w kostkę. Luther Beale był na wolności i nikt nie zginął - w każdym razie nikt związany w jakikolwiek sposób z Tess. Nie mogłaby nazwać tego stanu beczynnością. Po prostu czekała, tylko czekała. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, spodziewała się wiadomości o śmierci Sala Hawkingsa albo o odnalezieniu ciała Eldona Kane. Ostatecznie doczekała się jednak telefonu od wujka Donalda - zaprosił ją i Jackie do swojego biura. Od spotkania z Kretem nie minął jeszcze tydzień.

- To muszą być dobre wiadomości, nie sądzisz? - zapytała Jackie, kiedy czekały w holu Wydziału Zasobów Ludzkich, mniej więcej trzy metry od miejsca, w którym u Hutzlera znajdowało się stoisko z kosmetykami.

Tess, która zaczęła już wierzyć, że brak wiadomości to dobre wiadomości, zmusiła się do optymistycznego uśmiechu.

- Jeszcze za wcześnie na fanfary.

- Też tak uważam. - Jackie niemal trzęsła się z podniecenia. - To tak jak w sklepie z butami: prosisz o konkretny rozmiar, sprzedawca idzie na zaplecze. Im dłużej nie wraca, tym większa szansa, że nie mają tego rozmiaru. Ale jeśli zaraz do ciebie wychodzi, zawsze ma w ręce pudełko. Oczywiście nie porównuję córki do buta. Wiesz, o co mi chodzi.

Tess potarła czoło. Miała straszliwy ból głowy, rozchodzący się znad nosa. Pewnie zatoki. Nie chciała psuć radości Jackie, ale okoliczności tego pośpiesznie zwołanego spotkania mocno ją niepokoiły. Umowa z Kretem

była tajna i nieoficjalna. Dlaczego w takim razie zostały wezwane do urzędu, a spotkanie miało się odbyć w biurze radcy generalnego? Wujek Donald mówił z nią oschle i krótko, ostrożnie dobierając słowa, zupełnie jakby ktoś kontrolował rozmowę. Złamali prawo. Może urzędnicy będą ich teraz przesłuchiwać, żeby zmusić do wydania Kreta?

Z jednej z trzech wind wyszła krępa kobieta w średnim wieku.

- Czekają na was.

- Czekają? Z kim mamy się spotkać? - zapytała Tess, gdy winda wspiła się na dziesiąte piętro.

- Z radcą generalnym, dyrektorem Administracji Opieki Społecznej, pani wujem i jakimś adwokatem, Davidem Edelmanem.

- A po co adwokat?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała kobieta łagodnie. Miała szeroką pierś i przypominała Tess gołębia. Nawet w jej twarzy było widać gołębie, mętne samozadowolenie. - Nie utrzymałabym się w tej pracy przez dwadzieścia pięć lat, gdybym wtykała nos w sprawy, które mnie nie dotyczą. Ale jedno mogę pani powiedzieć: chyba coś się wydarzyło; cały ranek biegali po pokoju.

Ta informacja tylko powiększyła niepokój Tess, ale Jackie nadal promieniała. Niecierpliwość i nadzieja oszołomiły ją do zawrotu głowy. Kiedy weszły do biura radcy, nawet Tess poczuła się nieco lepiej. Być może obecne w nim osoby spędziły cały ranek na gorączkowej bieżance, lecz teraz powitały Jackie niepewnie i z obawą, jakby to ona miała nad nimi przewagę. Ale w takim razie dlaczego wujek Donald patrzy z takim smutkiem w brązowych oczach spaniela?

Radcą generalnym była kobieta o azjatyckich rysach twarzy, a dyrektorem Administracji Opieki Społecznej okazał się wysoki, szczupły czarnoskóry mężczyzna. Oboje spojrzeli na adwokata, jakby chcieli zapytać, kto znacznie. Edelman pokręcił głową. „Nie ja”. „My na pewno nie”.

- Nikt nic nie mówi? - odezwał się wujek Donald. - Rany boskie, w takim razie ja powiem. Jackie, wiesz, że czasem coś, czego szukasz, leży tuż pod twoim nosem?

Przytaknęła, wciąż radośnie uśmiechnięta.

- Szukałaś córki, zakładając, że ma nowe imię i nazwisko i nowy akt urodzenia, jak zwykle przy adopcji. A jeśli nie została adoptowana?

- O czym pan mówi? - Uśmiech zamarł na twarzy Jackie.

- W rejestrach nie ma żadnego aktu urodzenia, który można by porównać z twoją córką. Mój... przyjaciel wpadł na pomysł, żeby sprawdzić nasze dokumenty. Najśmieszniejsze, że trafił, i to prawie natychmiast. Była tu cały czas. Samantha King.

- Była tu cały czas?

- Jest w rodzinie zastępczej — powiedziała radca generalna. - Niemal przez całe życie pod opieką państwa.

- Jak to się mogło stać? - Tess widziała, że Jackie przepełniają sprzeczne emocje: euforia na wieść o tym, że jej córka się odnalazła, zaskoczenie, że przebywa w rodzinie zastępczej, niespokojne oczekiwanie na kolejną rewelację. Tess podzielała to ostatnie uczucie.

- Nigdy nie doszło do adopcji - wyjaśniła radca. - Z naszych danych wynika, że agencja przekazała pani córkę pod opiekę państwa, kiedy miała czternaście miesięcy. Cokolwiek dla niej przygotowywali, nie udało się, a nie mogli znaleźć innych chętnych. Dlatego trafiła do opieki społecznej.

- Czy wszystko z nią w porządku? Mogę ją zobaczyć? Jest w jakimś zbiorowym ośrodku czy w rodzinie? - A skąd pan wie?

- Jestem jej opiekunem.

Cisza, która zapadła w pokoju po tym stwierdzeniu, była bardziej niż niezręczna. Wszyscy zamarli. Jackie i Edelman patrzyli sobie w oczy. Adwokat wydawał się ostrożny, jakby szykował się do obrony. Na twarzy Jackie pojawił się cień nienawiści.

- Ma pan piękny garnitur i buty od Bally'ego. Widzę, że dobrze się panu powodzi - odezwała się wreszcie Jackie. - Jakoś nie wygląda pan na kogoś, kto bierze do domu dzieci, żeby dostać zasiłek.

- Nie wzięliśmy Sam ze względu na zasiłek, tylko dlatego, że potrzebowała domu. Żona i ja chcieliśmy ją adoptować, ale nie możemy. Władze miasta nie zezwalają białym parom na adopcję dziecka mieszanej rasy.

- To nie jest zakaz władz - włączył się dyrektor AOS. Robert Draper, jak wynikało z tabliczki na biurku. A więc to jego pokój, chociaż dyrektor ustąpił swój fotel radcy. - Każde lokalne władze mogą ustalić własne standardy adopcji. W Baltimore pracownicy społeczni postanowili uwzględnić sugestie wpływowych grup, które uważają takie adopcje za szkodliwe dla dzieci.

Edelman zerknął na niego.

- Dzięki, Robercie. Chcesz wyjaśnić, w jaki sposób Samantha King utknęła w moim domu, czy pozwolisz mi to zrobić?

Draper skinął szeptem głową.

- Czy słyszała pani o sprawie „LJ przeciw Massingie”? - zapytał adwokat.

Jackie zaprzeczyła ruchem głowy. Tess miała wrażenie, że gdzieś to już słyszała. W każdym razie nazwisko Massinga nie brzmiało obco.

- Massinga to chyba jakaś wasza urzędniczka?

- Tak, pracowała tu ponad dziesięć lat temu, kiedy program opieki nad dziećmi zupełnie się załamał. Pracownicy nie dawali sobie rady z nawałem spraw, w zasadzie nie sprawowali żadnej kontroli. Prawdziwa katastrofa. Prawnicy z organizacji pozarządowych i adwokaci, jak ja, pozwali władze stanowe w imieniu siedmiorga dzieci, które zostały odebrane rodzicom i umieszczone w jeszcze gorszych warunkach. LJ był głównym powodem w procesie.

- Moja córka była jedną z tej siódemki?

Edelman uśmiechnął się do Jackie.

- Pani córka była jedną z tych, które miały szczęście. Niedługo po złożeniu pozwu dowiedziałem się, że pewne starsze małżeństwo nadal przyjmuje do domu dzieci, mimo że nie jest już w stanie się nimi zająć. Przebywało u nich pięcioro, troje poniżej pięciu lat. Sam nie miała nawet osobnego pokoju, spała w dużym pokoju w barłogu z brudnych koców. Przyjechałem tam w piątek wieczorem, nie mogłem znaleźć żadnego miejsca, które przyjąłoby ją na weekend. Zabrałem ją do domu. Została z nami.

- Uważa was za rodziców?

Edelman umiał ważyć słowa. Widać było, że rozkłada pytanie Jackie na części pierwsze i głęboko zastanawia się nad odpowiedzią.

- My uważamy ją za córkę. Nazywa nas mamą i tatą. Ale wie, że nie jesteśmy spokrewnieni.

- Pytała kiedyś o mnie? To znaczy o swoją matkę?

Pokręcił głową.

- Wszyscy zakładali, że jej matka nie żyje. Dlatego ta sytuacja jest taka delikatna.

- Jaka sytuacja?

Edelman i pozostała dwójka znów wymienili nerwowe spojrzenia. „Ty mów”. „Nie, ty”. Wypadło na Edelmana.

- Jak powiedziała pani Chu, Sam znajduje się pod opieką państwa, ale pani prawa rodzicielskie nie wygasły. Uważano, że pani zmarła, a według aktu urodzenia ojciec jest nieznany. Tymczasem pani żyje.

- To wiem - ucięła Jackie. - Nie wiem, o co tu właściwie chodzi.

Radca westchnęła.

- Samantha King jest pani córką. Ma pani pełne prawo zgłosić Radzie Opieki Społecznej, że chce ją pani odzyskać. W tych okolicznościach nie możemy pani powstrzymać przed zabranie jej od Edelmanów.

Tess zobaczyła na twarzy Jackie zachwyty, a zaraz po nim przerażenie. „Mogłaby odzyskać córkę”.

- A czego... - Jackie najwyraźniej nie potrafiła wymówić imienia córki.

- Czego ona chce? Woli zostać z wami czy być ze mną?

- Nie chciałybym mówić za Sam. Biologiczna matka od zawsze była dla niej abstrakcyjnym pojęciem, jedynie nazwiskiem, Susan King. Próbowaliśmy kiedyś odszukać jej akt zgonu, ale kiedy się nie udało, uznaliśmy, że musiała umrzeć poza granicami Maryland.

- W takim razie i pan, i władze jesteście niekompetentni - włączyła się Tess. - Ja znalazłam Susan King w ciągu trzech dni. Wystarczyło zajrzeć do bazy Chicago Title, stamtąd dowiedzielibyście się o zmianie nazwiska. Jest pan prawnikiem, powinien pan to wiedzieć.

Jackie podniosła rękę, jak kierowca, który musi gwałtownie zahamować.

- Dziesięć lat temu byłam w Penn. Nawet gdyby odkryli, że zmieniłam nazwisko, pewnie by mnie tam nie znaleźli.

- Wystawiliśmy wezwanie do pokrycia kosztów opieki nad dzieckiem - podsunęła radczyni, nieco zmieszana. Tess przypomniała sobie, że Dorie wyśledziła ten dokument, a ona go zlekceważyła, jak kolejny mandat za parkowanie bez opłaty. - Mamy prawo wstecznie domagać się zwrotu. Jednak w tej sytuacji odstąpimy od tego.

- Cóż za wielkoduszość - mruknęła Tess pod nosem.

Była zła i spodziewała się tego samego po Jackie, ale Jackie zachowywała się jak lunatyczka. Otworzyła torebkę i wpatrywała się w jej wnętrze oszołomiona, jakby obok szminki, książeczki czekowej i pióra Mont Blanc spodziewała się znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania świata. Potem zdecydowanie zatrzęsnęła zamek.

- Ma pan jej zdjęcie? - zapytała Edelmana.

- Co?

- Czy nosi pan w portfelu jej zdjęcie?

- Stare. Nie pozwoliła mi kupić tegorocznego zdjęcia ze szkoły. Mówi, że wyszła strasznie grubo. - Wyjął portfel i odwrócił okładki z portretami dwóch piegowatych, rudych chłopców. Następna fotografia przedstawiała dziewczynkę o złotobrązowych włosach, ciemnej cerze i brązowych oczach. Jackie patrzyła na nią długo, nim oddała Edelmanowi portfel.

- Chciałabym ją zobaczyć.

- Właśnie pani zobaczyła.

- Chciałabym ją zobaczyć na własne oczy. Nie musi jej pan mówić od razu, kim jestem. Ale muszę ją zobaczyć, zanim zdecyduje, co zrobić.

- Jesteśmy jedynymi rodzicami, jakich zna - mówił nabrzmiałym łzami głosem. - Jest z nami taka szczęśliwa. Nasi synowie ją uwielbiają. Bez Sam nie byłibyśmy rodziną.

- Wierzę - powiedziała Jackie. - Kiedy mogę ją zobaczyć?

## Rozdział 24

UMÓWILI SIĘ OSTATECZNIE NA ŚRODĘ PO SZKOLE. Tess i Jackie miały wpaść do Molly Edelman na herbatkę i pogaduszki, żeby Jackie mogła obejrzeć swoją córkę. Środa była również dniem krabowej uczy u Judith i Tess musiała przygotować sałatkę owocową: nie byle sałatkę, tylko według ulubionego przepisu babci, ze specjalnym sosem makowym i z uwzględnieniem rozlicznych obostrzeń dotyczących składników: bez kiwi, z dodatkową porcją truskawek, winogrona zielone, nie różowe, melon koniecznie w kulkach. Wrzucała wszystko do miski, kiedy zapukał Tull.

- Cześć.

- Cześć. - Tess podniosła dłonie znad sałatki. - Podałabym ci ręce, ale mam mokre.

Tull sięgnął do puszki z psimi przysmakami i rzucił Esskay herbatnika. Połknęła go z wdzięcznością i zaraz wróciła na swoje stanowisko pod kuchennym blatem; uwielbiała melona, w kulkach i w każdej innej postaci.

- To dziecko... - zaczął Tull.

- Layla.

- Tak, Layla. Została umieszczona w domu grupowym. Szwagierka Keishy wzięła ją na kilka dni, ale stwierdziła, że nie da sobie rady.

- Nie wiem, czy to dla małej dobrze czy źle.

- Sprawdziłem dom, do którego ją skierowali. Wygląda całkiem nieźle. Na wsi, ze sporym kawałkiem ziemi. Kobieta zwykle bierze dzieci z HIV i wyjątkowe przypadki, ale akurat miała wolne miejsce.

- Świetnie. To znaczy nie świetnie, tylko w porządku. - Tess nie mogła jednak odpędzić niepokojącej myśli, czy aby w tych warunkach Laylah będzie miała wystarczającą opiekę. Była jedynie ośmiomiesięczną sierotą,

żadnym „wyjątkowym przypadkiem”, jeśli porównać ją z dziećmi niepełnosprawnymi lub zarażonymi AIDS.

Tull nie ruszył się z miejsca.

- Co do Luthera Beale'a...

- Tak? - Tess wróciła do swojej sałatki.

- Uważaj na siebie, dobrze? Okazuje się, że nie ma alibi na czas, kiedy zginęli Keisha i Lavon. Siedział sam w domu, słuchał radia.

- Mówiłeś przecież, że to pewnie narkotyki? Miałeś go przesłuchać tylko po to, żeby trochę go przyduś.

- Nie, jednak Lavon i Keisha nie robili w narkotykach, w każdym razie nic takiego jeszcze nie wykryliśmy. Keisha oczywiście oszukiwała opiekę społeczną, twierdząc, że ojciec dziecka ją opuścił. Za to Lavon pracował jako malarz, na zlecenia za gotówkę. Jego szef mówi, że mógł na nim polegać. Nic nie wskazuje, żeby brali narkotyki, a co dopiero handlowali.

- Co chcesz mi powiedzieć?

Tull popatrzył jej w oczy. W jego wzroku nie było wyższości, triumfu ani „a nie mówiłem”, tylko zwyczajna troska.

- Chcę powiedzieć, że ktoś zabił Destiny Teeter i upozorował typowe morderstwo prostytutki. Ktoś rozbił głowę Treasure'owi Teeterowi, ale postarał się, żeby wyglądało to tak, jakby chłopak sam się podpalił. Ktoś zabił Lavona i Keishę w taki sposób, żeby uznano to za porachunki narkotykowe. Chcę powiedzieć, żebyś nadal nosiła broń i bardzo na siebie uważała.

- Jeśli nawet Beale zrobił którąś z tych rzeczy, w co nie wierzę, to dlaczego mnie miałyby coś grozić?

- Ponieważ ten zabójca jest szalony i to coraz bardziej. Zaczyna zabijać ludzi, którzy tylko przez przypadek mają coś wspólnego z Donniem Moore'em. Pilnujemy prokuratora, sędziego, Nelsonów, ale ty jesteś z tym sama. Nie mogę cię chronić przed twoim klientem.

- A Sal? Pilnujecie go?

- Z nim jest najprostsza sprawa. Przerabia dodatkowe kursy, więc mieszka przez lato w Penfield. Zafatwili mu nawet ochroniarza, nie wychodzi sam poza teren szkoły.

Tess założyłyby się, że wie, jak czuje się Sal. Ochroniarz. Kolejny sposób, aby mu przypomnieć, że nie jest nawet w małej części tak twardy, jak sobie wyobrażał.

Tull odwrócił się w stronę drzwi.

- Martin. - Dziwnie się czuła, wymawiając jego imię. Brzmiało tak obco.

- Tak?

- Powiedz mi coś o sobie. Coś osobistego. Cokolwiek. Coś o twoim małżeństwie. Albo powiedz, dlaczego się rozwiedliście.

Zastanawiał się chwilę.

- Mieliśmy kota.

- Rozwiedliście się przez kota?

- Daj mi dokończyć. Proszę, żebym ci coś opowiedział, a potem mi przerywasz. Mieliśmy kota. Nazwaliśmy go Stanley, bo dziwnie miauczał, jakby mówił „Stella”. Nie żartuję. Kochałem go. Tamtej nocy, kiedy żona ode mnie odeszła, wzięła Stana. Wzięła wszystko: nasze łóżko, klimatyzatory, najważniejsze urządzenia i sprzęty. Wzięła nawet cholerną kuchenkę, rozumiesz? Ale zostawiła kuwetę. Chyba chciała mi coś powiedzieć.

- Ale co?

- Wciąż się zastanawiam. Masz jakiś pomysł?

- Moim zdaniem była skąpa, miała źle w głowie i nie zasługiwała na ciebie.

Tull uśmiechnął się, podszedł do biurka, wziął jeszcze jednego herbatnika dla Esskay i po przyjacielsku stuknął Tess w łokieć.

- Uważaj na siebie - powiedział. - Uważaj, proszę.

Niecałe cztery godziny później Tess i Jackie siedziały na tarasie przypominającego chatkę z piernika wiktoriańskiego domu, który stał wśród podobnych starych budynków w Mount Washington. Molly Edelman podała domowe paluszki serowe z kruchego ciasta oraz kanapki z szynką i trzęsącymi się rękami nalewała mrożoną herbatę. Jedzenie stało nietknięte.

- Pomyśl tylko - mruknęła Jackie bardzo cicho, jakby mówiła do siebie.

- Robiłam tu zakupy we Fresh Fields. Byłam praktycznie na tyłach jej domu. Mogłam ją zobaczyć. Mogła siedzieć u Starbucksa albo oglądać ubrania i biżuterię w Something Else.

Chłopcy zjawili się w domu pierwsi: ich szkoła znajdowała się u stóp wzgórza. Obaj byli rudowłosi i niemal tego samego wzrostu, jak bliźniaki.

- Kanapki. Wspaniale. - Starszy chwycił parę z półmiska.

- Zachowuj się, Henry - upomniała go Molly. - Henry, Eli, przywitajcie się z moimi gośćmi. To pani Weir, a to pani Monaghan.

- .. .eść - powiedział Henry między kęsami kanapki. Eli patrzył nieśmiało świetlistymi, zielonymi oczami. Ze wstydu nie mógł wykrztusić słowa.

- Możemy poćwiczyć, chociaż są goście? - zapytał Henry.

- Oczywiście - odparła Molly. - Tylko uważajcie. Nie chcemy dostać piłką.

Malcy znikli w domu, skąd zaraz wybiegli z kijami do lacrosse. Podawali sobie piłkę, gdy w uliczce przed domem zatrzymało się volvo, z którego wy-



siadła długonoga dziewczyna. Chłopcy natychmiast rzucili kije, podbiegli do niej i przewracając się na trawę, chwytali ją za kostki.

- Dziękuję, pani Reston. Do zobaczenia w szkole, Hanno. - Dziewczyna spojrzała w dół, jak rozbawiona olbrzymka. - Złażcie ze mnie, łobuzy.

Była ubrana w krótką niebieską spódniczkę jednej z miejscowych prywatnych szkół: Bryn Mawr albo Roland Park County. Miała muskularne, szczupłe ciało i mnóstwo zadrapań na brązowych nogach. Miodowe włosy, zaplecione w warkocz, wymykały się nad czołem i na karku małymi, mocno skręconymi loczkami. Jej twarz była jaśniejszą wersją twarzy Jackie: szerokie czoło, wyraziste usta, głęboko osadzone oczy.

- Sammy, Sammy! - darli się chłopcy. - Poćwiczysz z nami?

- Mam dość ćwiczeń na dziś - odparła, ale uśmiechnęła się do nich. - Dajcie mi tylko coś zjeść i zaraz do was idę.

- Na tarasie są paluszki serowe i kanapki z szynką. Mama pozwoliła nam zjeść.

- Bomba. - Samantha King wbiegła po schodach na taras, wpakowała sobie w usta paluszka i pocałowała Molly Edelman w policzek, zostawiając na nim kilka okruchów. Molly wydawała się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

- Skończyłam dziś podręcznik fizyki i oddałam pracę roczną z angielskiego. Teraz będę się tylko objać.

Molly znów przedstawiła swoich gości, głosem o wiele bardziej napiętym i nerwowym niż poprzednio. Sam ścisnęła im ręce tak serdecznie, że Tess, która dobrze знаła tę wylewność, niemal czuła, że dotykając jej dłoni, rozpoznaje znajome geny. Ostatecznie ona też była spokrewniona z tą niesamowitą dziewczyną, w której żyłach krążyło tyle samo krwi Weinsteinów, ile Kingów.

- Co mama ratuje tym razem? Jakiś dom, wieloryba czy małego Gwatemalczyka? Jeśli nie będzie uważać, rozda wszystkie nasze pieniądze i będziemy musieli się postarać o stypendia sportowe do college'u, a to znaczy, że moi bracia będą mieli poważny problem.

- Jestem konsultantką, zajmuję się gromadzeniem funduszy- wyjaśniła Jackie, nie odrywając od dziewczynki głodnych oczu. - Rozmawiamy o strategii.

Sam w skupieniu napełniała serwetkę kanapkami i paluszkami serowymi. Widziałam już gdzieś taki apetyt, pomyślała Tess. Ciekawe, po kim go ma.

- Pójdę pograć z tymi małymi szkodnikami, a potem zajrzę do Darli, dobrze? Chce mi się pokazać w nowym kostiumie kąpielowym. Boi się, że grubo w nim wygląda.

- Dobrze. - Głos Molly załamał się lekko. Sam ruszyła biegiem, kilkoma szybkimi krokami długich nóg pokonując szerokość trawnika.

- Jest piękna - powiedziała Jackie.  
- Wygląda zupełnie jak ty - stwierdziła Tess. - Dziwne, że tego nie zauważyła.

- Dziewczynki w tym wieku są bardzo egoistyczne - wyjaśniła Molly przepraszająco. - Widzą tylko siebie.

- Dobrze, to wystarczy. - Jackie wstała.

- Wystarczy? - spytała z lękiem Molly.

- Zobaczyłam, co chciałam zobaczyć. Nie zabiorę jej od was. To dobra dziewczyna. I jest szczęśliwa. Daliście jej życie, jakiego ja nie miałam. Dziękuję.

Po policzkach Molly spłynęły łzy; starała się opanować, żeby dzieci nie domyśliły się, że dzieje się coś niezwykłego.

- Moglibyśmy coś razem wymyślić. Sam na pewno bardzo chciałaby panią poznać, chciałaby, żeby pani była częścią jej życia. Musielibyśmy porozmawiać z psychologiem, ale to mogłoby się udać. Czuję, że by mogło.

- Chyba nie umiem zatrzymać się w połowie. Wiem, że to trochę egoistyczne, ale nie chcę tylko kawałka Sam. Oddałam ją trzynaście lat temu. Muszę jakoś z tym żyć.

- Moglibyśmy jej chociaż powiedzieć, że pani żyje.

Jackie pokręciła głową.

- Może później, kiedy będzie starsza. Ale chciałabym pomóc. Mogłabym pomóc w opłacaniu chesnego w college'u albo w prywatnej szkole.

Molly wytarła oczy.

- Sam tylko żartowała... David dużo zarabia. Nie cierpimy na brak pieniędzy.

Ale ktoś cierpi, pomyślała Tess, spojrzawszy na twarz Jackie. Ktoś tu naprawdę cierpi.

Po raz pierwszy Jackie pozwoliła Tess usiąść za kierownicą ukochanego lexusa. Sama osunęła się na fotel pasażera i patrzyła przed siebie z nieruchomą twarzą.

- Uważam, że dobrze zrobiłaś - odezwała się Tess ostrożnie. - Życie samotnej matki to piekło.

- Mam pieniądze - powiedziała tępo Jackie. - Z pieniędzmi zawsze jest łatwiej. Gdybym chciała, mogłabym ją wychowywać. Tylko co mogłabym jej dać? Żyję jak w laboratorium. Sterylnie. Nie mam przyjaciół. Nie mam nic. Nie robię nic poza zarabianiem pieniędzy.

- Tego bym nie powiedziała - stwierdziła Tess nerwowo. - Żyjesz samodzielnie, samowystarczalnie, ale nie sterylnie.

- Jestem, kim jestem, Tess. Przystosowałam się i przeżyłam. Pytanie, z czego po drodze zrezygnowałam? Zrezygnowałam z córki. Zrezygnowałam z siebie.

Tess pomyślała o Takich sobie bajeczkach z tomu dzieł zebranych Kiplinga. Każda historia opowiadała o kimś, kto musiał się zmienić, żeby przeżyć. Wielbłądowi musiał urosnąć garb, na sierści lamparta pojawiły się cętki, a słoniowi potrzebna była trąba - choćby po to, żeby przypominała o niebezpieczeństwach nadmiernej ciekawości.

Kilka kilometrów jechały w całkowitym milczeniu.

- Dasz sobie radę? - zapytała Tess, skręciwszy na wschód, w stronę Wzgórza Rzeźnika. - Muszę być dzisiaj wieczorem u mamy, ale jeśli chcesz, wybiorę się później albo wyjdę wcześniej.

- Nie, ty już swoje zrobiłaś - odparła Jackie. - Prosiłam, żebyś znalazła moją córkę. Znalazłaś ją. Ile jestem ci winna?

- Zaliczka pokryła wszelkie koszty. Nie musisz nawet zwracać mi za benzynę. Wszędzie jeździliśmy twoim wozem.

Kiedy znalazły się przed biurem Tess, Jackie nagle przycisnęła dłoń do czoła.

- Masz aspirynę? Chyba nie dam rady w tym stanie dojechać do Columbii.

Tess wbiegła do biura i wróciła zaraz z proszkami, szklanką wody i dyszącą Esskay, która chciała się przywitać.

Jackie z wdzięcznością wypila wodę, pogłaskała sukę i przesiadła się na fotel kierowcy, podając Tess jej plecak i pustą szklankę.

- Dziękuję. - Przybrała oficjalny ton, wyciągając rękę. - Muszę powiedzieć, że w ostatnich dwóch tygodniach nawet cię polubiłam.

- A ja ciebie. Jak to leci w piosence? Może i męczysz ludzi, ale nikt się z tobą nie nudzi. Poza tym mamy coś wspólnego. W końcu, jak się zastanowić, jesteśmy rodziną.

- Ty masz coś wspólnego z Sam. Ja nie.

- Och. - Tess poczuła się odrzucona. Sądziła, że całkiem sporo je łączy. Jackie uśmiechnęła się nagle.

- Co cię tak bawi?

- Myślałam o naszych przygodach. Spotkanie z panem Kretem, wyprawa do lesbijskiego pubu, ta idiotyczna historia o Świeżym pstrągu, którą kazałaś mi opowiadać. A tak przy okazji, znalazłaś tego dzieciaka?

- Tak. - Jackie musiała rzeczywiście żyć jak na bezludnej wyspie, skoro nie dotarło do niej, że Tess znalazła Sala Hawkingsa. - Wszystko potoczyło się trochę inaczej, niż myślałam, ale go znalazłam.

- No i ta parszywa Willa Mott ze swoimi kłamstwami. Myślisz, że naprawdę istnieli jacyś Johnsonowie, którzy chcieli nazwać córkę Caitlin?

- Chyba nigdy się nie dowiemy.
- Chyba nie - powiedziała Jackie, pomachała jej i odjechała, znikając na zawsze z życia Tess.

Weszły z Esskay do biura. Tess usiadła przy komputerze i popatrzyła na kalendarz na blacie, niedawno tak nieskazitelnie czysty. Dzisiaj pokrywały go nazwiska, notatki i bazgroły, rozlewające się nawet na dni, których Tess jeszcze nie przeżyła. Na kartkach zostały odciski puszek z colą, kleksy sosu z rogan dżosz, tłuste plamy i, oczywiście, smugi czekolady. Niezły bałagan. Życie to bałagan. Musi pamiętać, żeby powiedzieć o tym Jackie. Życie to bałagan.

Wtedy przypomniała sobie, że nigdy już jej nie zobaczy.

# Rozdział 25

TESS NIE ZNOSIŁA OWOCÓW MORZA. Z wzajemnością. Najmniejsze włókienko kraba w gulaszu albo dipie wywoływało u niej szok anafilaktyczny z obrzękiem tchawicy. Po stronie zalet alergii Tess należało wymienić niezapomnianą scenę na ósmych urodzinach Noama Fischera. Ilekroć później przypadkiem spotykała Noama - zazwyczaj w dziale historycznym na wyprzedaży książek w college'u Smith - wspominał ten incydent z uniesieniem, jakby był najpiękniejszym momentem jego dzieciństwa. „Zrobiłaś się całkiem niebieska! O mało się nie udusiła!”

Dwadzieścia dziewięć lat to - zdawałoby się - dość, aby zapamiętać, że córka ma alergię na kraby.

Kiedy jednak Tess pojawiła się w domu rodziców, okazało się, że Judith zapomniała przygotować dla niej jakieś inne danie. Tess uświadomiła sobie, że o ile nie znajdzie czegoś w spiżarni, jej obiad będzie się składać z surówki coleslaw, gotowanej kukurydzy i sałatki owocowej przyrządzonej własnoręcznie, za którą niespecjalnie przepadała.

- Nie masz masła orzechowego? - zapytała matki, przeglądając słoiki i puszki. Judith nigdy nic nie wyrzucała, więc półki spiżarni wypełniały ustawione w równych rzędach egzotyczne, acz przeważnie niejadalne przysmaki, które otrzymała w prezencie przy różnych okazjach. Czatnej, ciasteczka owocowe, jakieś dziwaczne dżemy. - Mogłabym chociaż zrobić sobie kanpkę.

- Mogę skoczyć do Arby'ego po rostbef z grilla - zaproponował uczynnie ojciec. Nie zdążył jeszcze zdjąć ubrania, w którym wicie chodził do pracy: białej koszuli z krótkim rękawem i przypinanego niebieskiego krawata, o ton jaśniejszego od oczu. Jego włosy miały odcień zaledwie nieco ciemniejszy niż świeżo opalona twarz.

Tess pomyślała, że wolałaby skorzystać z okazji i sama się wymknąć.

- Może po prostu zamówię coś na wynos u pana G. albo w chińskiej restauracji na Ingleside, tej z tańczącą krową. Tak, wezmę pierożki i może żeberka.

- Nie! - krzyknęła matka histerycznie. Ton głosu sprawił, że oboje zatrzymali się w drzwiach kuchni, ale to Judith wydawała się najbardziej zaskoczona piskliwym dźwiękiem, który wydobył się z jej gardła.

- To znaczy... nie zostawiajcie mnie. Potrzebuję was obojga. Pat, jeśli mi teraz pomożesz, pojedę w sierpniu z twoją rodziną nad ocean, wytrzymam w tym koszmarnym domku cały tydzień i nie powiem ani słowa.

Tess i jej ojciec wymienili spojrzenia. Trzeba przyznać, że było to prawdziwe poświęcenie: jak dotąd podczas każdego sierpniowego zjazdu Monaghanów Judith upierała się, że będzie nocować w hotelu, i zwykle znajdowała jakiś powód, żeby zniknąć po dwóch dniach.

- Dobrze, kotku - zgodził się ojciec. - Zostaniemy. Tess musi znaleźć coś do jedzenia w domu.

Otworzył ramiona, a Judith pozwoliła się w nich zamknąć. Widząc tę czułą scenę, Tess nie mogła nie pomyśleć o szczególnej chemii, która łączyła jej rodziców przez te wszystkie lata i była jedyną stałą rzeczą w ich małżeństwie. Zaczęli się spotykać w niecałe dwa tygodnie od mityngu Klubu Demokratycznego West Side, kiedy to Donald Weinstein poznał swoją młodszą siostrę z chłopakiem Monaghanów, który tak dobrze się zapowiadał. Obie rodziny miały nadzieję, że związek się rozpadnie, wznosiły w tej intencji gorące modły i przepowiadały rychłe zerwanie. Nic takiego jednak nie nastąpiło, a w ponad trzydzieści lat od pierwszego spotkania między Patrickiem i Judith wciąż iskrzyła ta sama magnetyczna moc. Tess mogłaby uznać relację swoich rodziców za inspirującą, gdyby nie była przekonana, że wypaczyli ją na całe życie. W końcu ze swoim ostatnim chłopakiem rozstała się tylko dlatego, że był zbyt miły i zbyt łatwy w pożyciu.

- Pójdę rozłożyć gazety - oznajmiła. - Przykleić je taśmą czy tylko przycisnąć nakryciami?

- Przyklej pierwszą warstwę - powiedziała Judith stłumionym głosem, nie odrywając twarzy od ramienia męża. - Na wierzch daj jeszcze jedną. Potem ją zdejmujemy i wyrzucimy prosto do śmietnika.

Godzinę później pokryte gazetami stoliki, rozstawione w ogródku, zasłaniała gruba warstwa skorup i kawałków krabowego mięsa, które wylatywały w powietrze przy każdym uderzeniu młotków. Nawet brzydząca się krabami Tess była pod wrażeniem, obserwując profesjonalizm, z jakim jej krewni rozprawiali się z niekoszernym rarytasem. Wujek Jules i ciotka Sylvia mieli oczywiście specjalnie wykonane młotki z drewnianą główką, osadzoną na srebrnym uchwycie z monogramem.

Jedli nieporządnie i łakomie, zostawiając w skorupach sporo mięsa. Z kolei kuzynka Deborah pożywiała się elegancko, lecz jej delikatne paluszki łatwo kaleczyły się o brzegi skorup, a ostra przyprawa dodatkowo drażniła bolesne ranki. Mały Samuel siedział między dziadkami, waląc w stół własnym młoteczkim z monogramem, jakby już szykował się do dnia, w którym, zamiast jeść przecieraną zupkę i kukurydź, wreszcie będzie mógł pochłaniać skorupiaki.

Wujek Donald, specjalista w wydobywaniu dużych kawałków mięsa z tylnej części ciała, najsmaczniejszych ze wszystkich, swoje kraby rozcinał nożem. Jednak najwprawniej, najczyściej i najszybciej z krabami radziła sobie babcia. Kiedyś udało jej się nawet wygrać w konkursie - dla lokalnych znakomitości - jedzenia krabów; było to trzydzieści lat temu, kiedy żona właściciela drogerii Weinsteina zaliczała się do swego rodzaju miejscowych sław. Opowiadała tę historię podczas każdej rodzinnej uczyty krabowej. I właśnie zaczęła na nowo.

- Drugie miejsce zajęła ta kobieta z lodziarni, jak ona się nazywała? Ale gdzie jej tam było do mnie. Miała mocne nadgarstki, bo tyle lat nakładała lody. - Babcia zrobiła dłonią gest, jakby nabierała coś twardego: lody z kawałkami czekolady albo z orzechami. - Tylko że skórę miała za miękka i strasznie się pieściła. No, ale w końcu ich lodziarnię w zeszłym roku kupiła sieć Beatrice Foods, więc to ona się śmiała ostatnia. Jej mąż umiał prowadzić interesy. Mogła więc mieć miękkie rączki.

Tess, żując bez zapału kanapkę z masłem orzechowym i dżemem z gujawy, przyglądała się babci badawczo. Teraz rozumiała, dlaczego jest tak rozgoryczona i wciąż narzeka na niezaradność dziadka. Musiała wiedzieć o jego zdradzie albo przynajmniej się domyślać. Z drugiej strony babcia zawsze była zgorzkniała i niezadowolona. Dawniej, w czasach, kiedy trzymała straż przy latającym króliku, nie było jeszcze Jackie. A może była? Może Jackie nie była jednorazową przygodą, ale jedną z wielu? Tess odłożyła kanapkę; całkiem odechciało jej się jeść.

Apetyt wrócił wraz z ciotką Sylwią, która wyniosła do ogrodu własnej roboty niemieckie ciasto czekoladowe. Przy swoich licznych wadach ciasta piekła wyborne. Babcia podniosła się z krzesła stojącego u szczytu stołu, i zastukała widelcem w szklanę, a ponieważ Samuel dalej walił młotkiem w stół, rzuciła mu piorunujące spojrzenie. Babcia nie lubiła, kiedy ktoś ją zagłuszał - nawet dwuletni najukochańszy prawnuczek. Oboje zresztą zaraz stracili uwagę widzów, ponieważ przed domem zatrzymał się wóz policyjny.

- Pewnie ktoś się poskarżył na samochody na ulicy - mruknął Patrick, idąc w stronę bramy.

Jednak samochód należał do policji hrabstwa, nie miejskiej, a policjanci, którzy z niego wysiedli, przyjrzeni się zebranym niepewnie, jakby ze skrepowaniem.

- Czy jest tutaj pani Tess Monaghan?

Wszyscy obecni odwrócili się, mierząc ją oskarżycielskim spojrzeniem, gotowi uwierzyć najgorszym wieściom na jej temat. Tess poczuła się odrobinę - naprawdę odrobinę - urażona.

- To ja - odezwała się, odkładając worek na śmieci pełen skorup, który właśnie zawiązywała.

- Nie musisz im nic mówić - pośpieszył z radą ojciec. - Zaraz zadzwonię do naszego prawnika.

- Chcesz, żebym zadzwonił do szefa policji stanowej? Albo do Arnolda Weinerja? - zapytał wujek Donald. - Nie pojmuję, co tu ma do roboty policja hrabstwa.

Penfield School leży na terenie hrabstwa Baltimore, pomyślała Tess w połowie drogi do furtki. Nagle zaschło jej w gardle. Jeśli cokolwiek stało się Salowi Hawkingsowi, śledztwo będzie prowadzić policja hrabstwa, która przesłuchają i będzie chciała się dowiedzieć, czy Luther Beale ma niepodważalne alibi.

- Jak mogę panom pomóc?

- Znaleźliśmy kogoś - powiedział wyższy z policjantów, prawdziwy olbrzym. Jego plakietka z nazwiskiem znajdowała się na wysokości oczu Tess. Oficer Krepke. Ze swoją szeroką klatką piersiową i czarnymi, lśniąco-czarnymi włosami wyglądał jak jeden z tych uśmiechniętych chłopaków w kraciatkach, biało-czerwonych koszulkach, którzy serwują hamburgery w lokalach Shoney's Big Boys.

- On... nie żyje?

Oficer Krepke popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

- Nie żyje? On? Nie, to kobieta. Mówi, że nigdzie nie pojedzie, zanim nie porozmawia z panią. Trafiliśmy na nią na Hanover Pike, szła w kierunku granicy stanu. Boso. Mówi, że została uprowadzona, ale nie chce złożyć zawiadomienia o przestępstwie. Twierdzi, że pani się wszystkim zajmie. Miała w kieszeni pani wizytówkę. Zawieźliśmy ją do pani biura, a ponieważ nikogo nie zastaliśmy, pojechaliśmy do pani mieszkania. Pani ciotka powiedziała, że znajdziemy panią tutaj. - Krepke nagle się zarumienił. - Ładniutka ta pani ciotka.

W głowie Tess wbrew jej woli pojawił się obraz barczystego chłopaka, siedzącego przy kuchennym stole we flanelowym szlafroku, który Kitty sprawiła specjalnie dla odwiedzających ją miłych dżentelmenów. Krzepki Krepke.

- Momencik - odezwała się. - Kogo panowie znaleźli na Hanover Pike? Jakąś ofiarę porwania, która chce rozmawiać ze mną? Nic z tego nie rozumiem.

Niższy policjant - w rzeczywistości miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów, ale przy wielkoludzie Krepkiem każdy wyglądał jak karzełek -



otworzył tylne drzwi wozu i na chodnik wyszła, kulejąc i posykurując, Willa Mott. Stopy miała równie czerwone jak wiecznie zatkany nos, ale zdecydowanie znacznie bardziej obolałe.

- Willa?

- Powiedziałam, że się mną zajmiesz - odezwała się Willa sucho. - Że pracujesz dla mojego prawnika.

Tess postanowiła włączyć się do gry, chociaż nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Oczywiście. Tyner bardzo się zmartwi, jak się dowie, co się stało. To znowu twój były mąż? Złożysz wreszcie skargę?

- Powinniśmy porozmawiać na osobności - stwierdziła Willa Mott i się zachwiała. Miała nie tylko otarcia na opuchniętych stopach. Jej kostki pokrywało mnóstwo małych szram i śladów po ukąszeniach owadów.

Olbryzi policjant zniżył głos.

- Mówiąc szczerze, naszym zdaniem powinna iść na obserwację do psychiatryka. Przez całą drogę gadała pod nosem, że wszystkich trzeba wybić, a klęła jak najgorszy margines.

- Owszem, ma pewne problemy, ale wszystko jest w porządku, póki bierze leki - wyjaśniła Tess. - Zawsze to samo. Co pół roku dochodzi do wniosku, że nie musi już łykać litu, bo się dobrze czuje. Efekty panowie widzicie.

Willa spojrzała spode łba, ale nie odważyła się zaprzeczyć. Oficerowie z niejakim wahaniem wsiedli do samochodu, zameldowali się przez radio i odjechali. Kiedy zniknęli za rogiem, Willa odwróciła się do Tess.

- To ta pokręcona czarna sucz! - wrzasnęła. Tess nie mogła uwierzyć, że z jej myszowatego ciała wydobył się tak donośny dźwięk. - Ta twoja przyjaciółeczka porwała mnie, zabrała mi buty i wysadziła mnie na jakimś pustkowiu!

Tess zerknęła na swoją rodzinę. Matka wydawała się wstrząśnięta, jakby od zawsze bała się dokładnie takiej sytuacji: że jakaś niepoczytalna przyjaciółka Tess wpadnie do domu podczas miłego rodzinnego obiadu i zacznie obrzucać wszystkich wyzwiskami. Kuzynka Deborah pochylała się nad stołem: oprócz szoku na jej twarzy malował się cień zachwytu. Babcia wyglądała po prostu na mocno zniecierpliwioną. Mały Samuel znów zaczął walić w stół młotkiem.

- Okjeciona ciałna siuc, okjeciona ciałna siuc - zaśpiewał radośnie. Tess musiała się wreszcie odezwać.

- Zje pani z nami deser? - zapytała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

Willa Mott nie chciała spróbować ciasta, za to pozwoliła ojcu Tess, by zajął się jej stopami. Jęczała i piszczała, kiedy woda utleniona pienila się w otwartych ranach.

- To tylko znaczy, że woda działa - uspokajał ją Patrick.

- Teraz powiedz, co się stało z Jackie - poleciła Tess.

Siedzieli w łazience na piętrze, z dala od reszty rodziny. Judith uparła się, że pójdzie z nimi; w końcu to był jej dom. Willa przycupnęła na zamkniętej pokrywie toalety, Patrick klęczał u jej stóp, a Judith stała w drzwiach. Dla Tess pozostał brzeg wanny. Ze swojego miejsca widziała jedynie profil Willi, której najwyraźniej to odpowiadało. Patrzyła tylko na Patricka.

- Koło wpół do piątej, kiedy wszystkie dzieci pojechały już do domów, ta pokręcona czarna sucz pojawiła się w swoim luksusowym aucie i powiedziała, że chce ze mną porozmawiać.

- Jackie - poprawiła Tess. - Ona ma na imię Jackie. Przestań ją tak nazywać albo rozkwaszę ci nos.

Willa wzruszyła ramionami, jakby po wydarzeniach dzisiejszego dnia jeden cios więcej czy mniej nie robił już żadnej różnicy.

- I nagle mówi, że wie. Wie i mnie zabije, jeśli nie dam jej tego, co chce.

- Co wie?

Willa powiedziała coś tak cicho, że nikt nie usłyszał.

- Mów głośniej.

- Wie, że mam akta z Alternatywy w Planowaniu Rodziny, i zabije mnie, jeśli nie dostanie swojej teczki.

Patrick i Judith patrzyli na nią zaskoczeni, ale Tess momentalnie przypomniała sobie, ile razy Willa przechodziła przez duży pokój z kartonami soków. Przyniesienie ich z garażu zajęło jej znacznie więcej czasu niż powinno, ale wtedy Tess przypisała to ślamazarności Willi. No tak, przypomniała sobie szczegóły sprawy Jackie dopiero po powrocie z garażu. Szybki rzut oka na dokumenty odświeżył jej pamięć znacznie skuteczniej, niż wszystkie dwudziestki, które Tess rzuciła jej na kolana.

- Jak Jackie się domyśliła?

Willa obojętnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chyba przez coś, co powiedziałam o ojcu dziecka. Nie bardzo mogłam z nią dyskutować, kiedy tak wrzeszczała i groziła mi śmiercią. No dobrze, mam te akta. I co z tego? Ci dranie, dla których pracowałam, znikli w środku nocy. Byli mi winni pensję za dwa tygodnie. Pomyślałam, że wezmę akta jako swoją odprawę.

- A do czego mogą się przydać dokumenty adopcyjne rozwiązanej agencji?

- Inni prywatni detektywi też szukają adoptowanych dzieci. Myślisz, że tylko ty do mnie dotarłaś?

Rzeczywiście, tak właśnie myślała.

- Więc sprzedajesz informacje.

- Dopiero po rozmowie z adopcyjnymi rodzicami.

Teraz z kolei Tess nic nie rozumiała, a jej ojciec pokiwał głową. Jako kontroler obrotu alkoholem o łapówkach wiedział wszystko.

- Wojna ofert - wyjaśnił Tess i Judith. - Dawała rodzicom adopcyjnym szansę: jeśli zapłacą jej więcej, nie ujawni informacji. Rodzice muszą płacić, bo ma na nich straszak i może go w każdej chwili użyć.

- O tym nie pomyślałam. - Willa sposepniała, rozważając utracone okazje szantażu. - Po prostu brałam od nich po pięć tysięcy dolarów. Udało mi się zebrać pieniądze na dom i założenie firmy. Ale od dawna nikt do mnie nie przyszedł. Może powinnam się skontaktować z którąś z tych grup na rzecz praw adopcyjnych i powiedzieć im, co mam. Tylko że wtedy by mnie zamknęli.

Coś tutaj zgrzytało. Tess stuknęła palcami w brzeg wanny, zastanawiając się, co nie gra w tej opowieści.

- Dziecko Jackie nie zostało adoptowane. Nie było rodziców, których mogłabyś szantażować. Dlaczego nie podałaś ceny i nie powiedziałaś jej, że dziecko jest pod opieką państwa? Dlaczego nie powiedziałaś nam tego, kiedy rozmawialiśmy?

Willa spuściła oczy.

- Ludzie, którzy wzięli jej dziecko, a potem oddali... cenią swoją prywatność. Nie chcieliby, żeby ta pokręcona cza... pokręcona sucz wpakowała się im do domu i narobiła zamieszania.

Tess chwyciła ją za ramię i potrząsnęła, dość mocno.

- Co powiedziałaś Jackie?

- To, co chciała wiedzieć. - W swoich najlepszych momentach Willa Mott miała całkowicie przeciętną, niczym się niewyróżniającą twarz. Kiedy była wściekła, jej rysy się kurczyły, oczy zapadały, a usta robiły się maleńkie jak dziurka od klucza. - Podałam jej nazwisko ludzi, którzy wzięli jej dziecko i oddali, kiedy się okazało, że jest półczarnuchem. Rozumiesz, zapłacili za białe dziecko i powiedzieli, że nie ma tylko wyglądać jak białe - musi naprawdę być białe. Agencja proponowała, że zejdzie z ceny, ale nie chcieli o tym słyszeć. I wcale nie mam im tego za złe.

Tess pochyliła się w kierunku ściany, aż jej prawa skroń dotknęła chłodnych, czarno-białych kafelków. Łazienka była spora, ale nie zaprojektowano jej dla czterech osób. Nagle zrobiło się strasznie duszno i ciasno.

- Ale tego Jackie nie powiedziałaś?

- Musiałam. - Willa Mott westchnęła. - Nie miałam wyboru.

- Mogłaś skłamać, tak jak przedtem. Dlaczego akurat dzisiaj musiałaś być taka szlachetna?

- Bo właśnie dzisiaj twoja szykowna przyjaciółka przyłożyła mi pistolet do głowy i zagroziła, że mnie zabije, jeśli nie powiem wszystkiego, co wiem.

- Pistolet? Skąd Jackie wzięła pistolet? - Tess pobiegła na dół, do przedpokoju, gdzie przy drzwiach wejściowych rzuciła swój plecak. Oczywiście pistoletu nie było. Jackie musiała udać, że boli ją głowa, żeby Tess na chwilę zostawiła plecak w samochodzie. Cały czas to planowała - może już w chwili, kiedy wyjechały od Edelmanów. „Myślisz, że naprawdę istnieli jacyś Johnsonowie, którzy chcieli nazwać córkę Caitlin? Chyba nigdy się nie dowiemy”.

- Dokąd Jackie pojechała, kiedy wyrzuciła cię z samochodu? - zapytała Willę, zdyszana po szybkim biegu na piętro. - Do rodziców adopcyjnych, prawda? Gdzie oni mieszkają? Jak mają na nazwisko?

Willa nagle przycichła i założyła skromnie ręce.

- Nie wiem. Nie mogę sobie tak od razu przypomnieć. Dlaczego chcesz szukać tej pokręconej czarnej suczy?

Tess walnęła ją w twarz. Głowa Willi odskoczyła do tyłu, uderzając z głuchym hukiem w ścianę. Willa musiała to poczuć - może nawet mocniej niż planowała Tess.

- Tess! - krzyknęła Judith. - To tak pracujesz?

Za to ojciec był najwyraźniej pod wrażeniem.

- Koniec ze sprzedawaniem informacji, Willo. Rozumiesz? - Tess chwyciła ją za ramiona, jak niezdolne dziecko, i potrząsnęła solidnie, aż głowa Willi Mott zakotyła się na cienkiej szyjce. - Nigdy więcej tego nie zrobisz. A teraz mów, co powiedziałaś Jackie.

- Państwo Becker, Edgevale Road, Roland Park - miauknęła Willa. - A ta pokręcona... ta kobieta i tak zabrała mi akta.

- W takim razie wszystko, co nam mówiłaś, to cholerne kłamstwo? Nazwisko, miejsce, zawód adopcyjnego ojca. Zadałaś, żebyśmy ich nigdy nie znalazły, bo chciałaś sama ich doić.

Babcia wybrała akurat ten moment, żeby wejść na piętro.

- Jeszcze nie skończyliście? - powiedziała z pretensją, stając w drzwiach. Łazienka Monaghanów nie widziała tyłu ludzi naraz od czasu pamiętnej imprezy, podczas której Tess i jej koledzy ze szkoły średniej odkrywali mieszane przyjemności mieszania napojów. - Wszystkich zatrzymujecie.

- To dość ważne - warknęła Tess przez zaciśnięte zęby; za bardzo jednak bała się babci, żeby po prostu przepchnąć się obok niej i rzucić się do samochodu. - Może chodzić o czyjeś życie. Jacqueline Weir, może pamiętasz ją jako Susan King. Pracowała u dziadka w drogerii na Felis Point. Właśnie ma zamiar popełnić największy błąd w życiu.

Nie mogła się powstrzymać — chciała zobaczyć wyraz twarzy babci, przekonać się, jak zareaguje, słysząc to nazwisko. Babcia była nieporuszona.

- Ta mała rozrabiała? Ciekawe, że znowu się pokazała, akurat kiedy mamy dostać większe pieniądze. Zawsze miała nosa do pieniędzy. Powiedz jej, że nie dostanie więcej ani centa. Powiedz, że nic się nie zmieniło.

„Znowu się pokazała”?

- O czym ty mówisz, babciu? Kiedy Jackie... Susan... już się pokazała?

- Przyszła tu jakieś dwanaście lat temu i prosiła Samuela o pieniądze na college, ale powiedziałam „nie”. No dobrze, zrobił jej dziecko ten dureń i musiał dać na aborcję. Właściciel drogerii mógłby pomyśleć o jakichś środkach. Sprzedać sobie prezerwatywę, ile to wysiłku? Ale oczywiście jemu to do głowy nie przyszło i musiał płacić. Zgodziłam się. Raz. Mam do końca życia płacić za jego głupotę? Kiedy znów przyszła po pomoc, powiedziałam Samuelowi, że nie ma mowy. Inaczej nigdy nie zniknie z naszego życia. A teraz mi mówisz, że wróciła. Wcale mnie to nie dziwi. Ciekawe, skąd się dowiedziała o sprzedaży gruntu?

- Wiedziałaś? Wiedziałaś cały czas?

- Oczywiście, że wiedziałam. Twój dziadek nie umiał nic przede mną ukryć. Wierz mi, więcej już nie zbłądził. Przypominałam mu wystarczająco często, że prawo stanu Maryland chroni własność. Najpierw był za bogaty, żeby ode mnie odejść, a potem za biedny. Ile to będzie: połowa z niczego?

- O czym wiedziałaś? - zapytała Judith. - Kto to jest Susan King? Czy ktoś zechce mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

- Wyjaśniłabym ci, mamó, ale muszę powstrzymać tę kobietę, zanim popełni kolejne przestępstwo - odparła Tess. - Niech babcia wszystko ci wytłumaczy. Wie o tej sprawie dłużej niż ja.

- Nie ma czego tłumaczyć. - Babcia machnęła ręką, jakby cała przeszłość była tylko drobnym kłopotem, jak mucha, którą wystarczy trzepnąć packą, albo plama na szybie, łatwa do usunięcia odrobiną płynu Mr Muscle.

- Owszem, ktoś tu musi wytłumaczyć się z kilkudziesięciu lat - powiedziała Judith. - Mam dość tych wszystkich tajemnic i kłamstw. Thereso Esther Monaghan, nigdzie nie pojedziesz, póki mi wszystkiego nie wyjaśnisz.

Tess chwyciła matkę za rękę.

- Powiem ci w samochodzie, skoro tak bardzo chcesz. Ale uprzedzam, mam zamiar złamać parę przepisów.

## Rozdział 26

MIMO ŻE W DRODZE DO ROLAND PARK Tess przejechała niemal wszystkie skrzyżowania na pomarańczowym świetle, a kilka nawet na czerwonym, bynajmniej nie jej styl jazdy zaprzętał teraz myśli Judith.

- Więc ta kobieta, twoja klientka, była... związana z dziadkiem? - zapytała. - A mama o tym wiedziała? Wiedziała cały ten czas i nic nam nie powiedziała?

Na kolejnym skrzyżowaniu był zakaz jazdy w prawo, ale Tess postanowiła nie brać tego do siebie. Rozejrzawszy się, czy nie ma w pobliżu policji, skrzyła w prawo i dodała gazu.

- Nie wiedziała, że Jackie oddała dziecko do adopcji, bo dziadek nigdy się nie dowiedział, że się urodziło. Jackie powiedziała mu, że przerwie ciążę, ale pieniądze odłożyła. Wiem od niej, że kiedy przyszła prosić dziadka o pomoc w opłaceniu college'u, odmówił, bo kiepsko mu szło w interesach. Ale moim zdaniem po prostu nie mógł zdobyć takiej dużej sumy bez wiedzy babci, a kiedy do niej z tym przyszedł, powiedziała „nie”.

- Więc mam przyrodnie rodzeństwo.

- Tak, siostrę.

- Zawsze chciałam mieć siostrę - stwierdziła Judith i się uśmiechnęła. - Gadam głupoty.

- Dzisiaj ją widziałyśmy. Jackie była załamana, ale nie sądziłam, że do tego stopnia straci głowę.

Tess jechała Northern Parkway. Gdyby ruszyła ze swojego biura albo mieszkania, byłaby w Roland Park w ciągu piętnastu minut. Za to dom rodziców znajdował się dokładnie na przeciwległym końcu miasta. Gdyby wyobrazić sobie Baltimore jako tarczę zegara, otoczoną obwodnicą, Tess musiała dotrzeć z godziny siódmej na dwunastą.

- Edgevale jest we wschodniej części Roland Park. Odchodzi od Falls Road - odpowiedziała Judith. - Ale jak znajdziemy ten dom, skoro nie znamy numeru?

- Po samochodzie Jackie.

Jechały mroczną Edgevale Road; wokół błyskały lampki świetlików. Cokolwiek robiła Jackie, z pewnością robiła to cicho. Wśród tych milczących, rozległych trawników dźwięki rozchodziły się bez przeszkód. W przeciwieństwie do zaprawionych w bojach sąsiadów Keishy Moore mieszkańcy Roland Park z pewnością donieśliby o strzale z broni - zakładając, że odróżniliby go od huku gaźnika. Z drugiej strony domy stały w sporej odległości od siebie, co sugerowało, że ich właściciele, niechętni kontaktom, ograniczają się do powierzchownej uprzejmości i najwyżej pozdrawiają się z daleka. W takich miejscach obowiązywała zazwyczaj niepisana umowa, że nie należy się zbytnio interesować życiem sąsiada. W którymś z tych domów ktoś mógłby latami bić żonę lub dziecko, a jeśli przestępstwo wyjdzie na jaw, właściciele najbliższych posesji wygłoszą tylko tradycyjne: „To był taki spokojny człowiek”. Za to gdyby w okolicy pokazał się czarnoskóry chłopak, w ciągu minuty wezwaliby policję.

Jackie dysponowała jednak rekwizytami, które uspiły czujność mieszkańców. Jej biały lexus stał na podjeździe ozdobionego stiukami budynku przy końcu ulicy, blokując drogę nowiutkiej toyocie camry z naklejką Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich na zderzaku. Za lexusem parkował jeszcze jeden samochód, czarny mercedes, na którego tablicach rejestracyjnych widniało hasło „Ratujmy Zatokę!” Tess stanęła za nim. Sąsiedzi mogliby się zainteresować starą toyotą, gdyby zostawiła ją na ulicy.

- Zostań w samochodzie, mamo.

- Nie ma mowy.

- W tym domu jest kobieta z pistoletem. Z moim pistoletem. Jest rozhisteryzowana i nigdy cię nie widziała. Nie wiadomo, co może zrobić.

- Zgadza się. To dlaczego nie dzwonicz po policję? Niech oni to załatwią.

- Bo jest jeszcze odrobina nadziei, że uda mi się odkręcić to, co narobiła Jackie, o ile jeszcze nikomu nie zrobiła krzywdy, bez mieszania w sprawę policji. Liczę, że nie jest aż taka twarda, jak jej się wydaje. - Ale może zrobić krzywdę sobie, pomyślała Tess. Możliwe, iż spotkanie z Samanthą tak bardzo nią wstrząsnęło, że spróbuje się zastrzelić na oczach ludzi, którzy wzgardzili jej córką.

Drzwi wejściowe były otwarte.

Tess, nasłuchując, zatrzymała się w przedsionku. Judith weszła za nią. Nie próbowała już powstrzymać matki, dała jej tylko znak, by zachowywała się cicho. Judith odpowiedziała gestem, że wie, co robi. Boże, jakie to irytujące.

Dom był duży i cichy, aż trudno sobie wyobrazić, żeby jakieś dziecko mogło biegać po tych schodach, tak lśniących, że wydawały się mokre, i zostawiać odciski palców wzdłuż ścian oklejonych drogimi tapetami. Z wnętrza dobiegał jakiś szmer, może ktoś zostawił włączony telewizor, a może przez otwarte drzwi dochodził szum drzew. Tess i Judith, minąwszy salon oraz jadalnię, weszły przez wahadłowe drzwi do jasnej, zimnej kuchni, urządzonej w granicie i nierdzewnej stali.

- Kim jesteście? - Głos kobiety był zbyt głośny, zbyt drżący, nawet jak na kogoś, kto spostrzega nagle dwoje obcych w swojej kuchni. Niewysoka i tęga, miała srebrnoblond loki, o kolorze niespotykanym w naturze. Siedziała na prostej, małej kozetce na końcu przebudowanej kuchni, gdzie utworzono salonik z dawnej alkowy lub jadalni. Obok niej siedział niski mężczyzna w okularach, marszcząc brwi.

Jackie siedziała dokładnie naprzeciwko nich na dobranym do wystroju wnętrza krześle, trzymając na kolanach otwartą torbę. Czy był w niej pistolet? Użyłaby go, zanim Tess przeszłaby przez pokój?

- Hej - powiedziała Jackie, tak chłodno i spokojnie, jak tego dnia, gdy Tess po raz pierwszy przyszła do jej mieszkania. - Nie spodziewałam się, że spotkamy się dziś wieczorem. To twoja mama? Widać podobieństwo. Szczęściara z ciebie, jeżeli masz ten sam kościec. Będziesz wyglądać nieźle przez następne dwadzieścia, trzydzieści lat, jeśli kiedykolwiek nauczysz się dobrze ubierać.

Judith wpatrywała się w Jackie, jakby usiłując pojąć łączącą ich więź. Zarumieniła się.

- Dziękuję. Zawsze uważałam, że Tesser jest do mnie podobna, chociaż ma w sobie też coś z ojca.

- Tesser? Pierwszy raz słyszę.

Cała scena wydała się Tess surrealistyczna. Znalazły się w urządzonej za jakieś sto tysięcy dolarów kuchni, należącej do małżeństwa, które odwróciło się od Samantha, bo jej matka była czarna. Rozmawiały tak, jakby wpadły na siebie w dziale nabiału w SuperFresh. Para na kozetce wyglądała na zdennerwowaną. Czy Jackie trzymała broń w torbie? Ostrzegła ich, by nic nie mówili? Powinna jednak wiedzieć, że Tess nie wyszłaby bez niej, że nigdy nie pozwoliłaby jej zniszczyć sobie życia w ten sposób.

- Mamy do omówienia poufną sprawę - odezwał się doktor Becker, jakby zniecierpliwiony obecnością Tess. - Czy mogłaby pani porozmawiać z panną Weir później, kiedy skończymy?

Jackie pochylała się do przodu i poklepała go po małych dłoniach, które splecione oparł o brzeg stołu. Coś - jego ręce, kolana, nogi pani Becker -



drżało tak bardzo, że filiżanki przed nimi wibrowały delikatnie. Filizanki, pomyślała Tess. Co to za morderstwo - samobójstwo?

- W porządku, doktorze. Tess i ja naprawdę nie mamy przed sobą nic do ukrycia. Chociaż pani Monaghan... - Spojrzała na Judith, która nieśmiało skinęła głową. - Powiedziałaś mamie - zwróciła się do Tess.

- Musiałam, kiedy Willa Mott zakłóciła naszą krabową uroczystość.

Czy Tess tylko się zdawało, czy państwo Becker drgnęli na wzmiankę o Willi Mott?

- A więc dzięki temu mnie znalazłaś. - Jackie pokiwała głową. - Cóż, prawie skończyliśmy. Pozostała tylko drobna kwestia: czek. Zresztą wcale nie taka drobna: ćwierć miliona dolarów to dużo pieniędzy, ale wszystko w słusznej sprawie, prawda? Kapitał początkowy na ośrodki wychowawcze. Na domy dla dzieci, których nikt nie chce. Możecie sobie wyobrazić coś podobnego? Odrzucić dziecko?

- Wyjaśniłem już, co się stało - powiedział doktor. - Zażądałem dokumentacji medycznej dziecka. Szpital popełnił głupią pomyłkę, i zamiast do agencji, wysłał papiery do mnie. Wynikało z nich, że dziewczynka jest Mulatką, a nam powiedziano, że dostajemy białe dziecko. Stwierdziliśmy, że skoro agencja mogła skłamać w tak ważnej sprawie, nie jest w ogóle godna zaufania. Adopcja nie została jeszcze sfinalizowana, więc mieliśmy prawo ją unieważnić.

- To nie znaczy, że mamy jakieś uprzedzenia - wtrąciła się pani Becker.

- Wspieramy wszelkie inicjatywy korzystne dla czarnych.

Jackie skinęła głową, uśmiechając się nie bez satysfakcji.

- Tak, rozumiem. Odesłaliście jedenastomiesięczne dziecko, jak sweter od J. Crew w złym kolorze: „Ach, nie zamawiałam ciemnoszarego, chciałam coś brzoskwiniowego”.

- Założyliśmy, że znajdą dla niej inny dom - odparł doktor.

- A jeśli nie? Wiecie, co się z nią stało? Wiecie, gdzie jest dziś moja córka i jakie ma życie?

Nie odpowiedzieli. Tess, zakłopotana, już chciała się wtrącić, powiedzieć jak cudownie żyje się Sam u Edelmanów, ale nagle zdała sobie sprawę, że słowa Jackie były celowe i przemyślane. Pieniądze to za mało. Chciała zburzyć spokój tych ludzi, przekonać się, czy potrafi sprawić, aby i oni mieli kilka bezsensownych nocy. Powodzenia, pomyślała Tess. Jeśli Beckerowie zastanowią się kiedykolwiek nad tym, co zrobili, to za sprawą czeku, który doktor wypisywał teraz piórem Mont Blanc należącym do Jackie.

- Jest na to nazwa - oświadczył, wręczając Jackie czek. - Wymuszenie. Szantaż. Nie myśl, że nie doniosę o tym na policję.

- Na ciebie też znajdują się określenia. - Jackie sprawdzała uważnie czek.  
- Bigot. Rasista. Fiut. Nie rozumiesz, że te pieniądze muszą zmienić właściciela? Bo w tym wszystkim chodzi właśnie o pieniądze. Gdybym zatrzymała córkę, państwo dawałoby mi, powiedzmy, około dwustu dwudziestu pięciu dolarów miesięcznie plus bony żywnościowe. Wy zapłaciliście za nią dziesięć tysięcy dolarów, ale to trafiło do agencji, nie do mnie. Naprawdę mam nadzieję, że dostaniecie zwrot kosztów. Kiedy trafiła do ośrodka opiekuńczego, tamta rodzina otrzymała dwa razy tyle pieniędzy, ile ja mogłam mieć na jej utrzymanie. Edelmanowie nie mogą narzekać, pobierają może pięćset dolarów miesięcznie na wychowanie dziecka, na które ja miałabym dwieście dwadzieścia pięć. Czy ktoś mógłby mi to wyjaśnić?

Pani Becker najwyraźniej chciała coś powiedzieć, ale zamilkła pod srogim spojrzeniem męża. Tess pomyślała, że wstrzymana adopcja była jedną z najlepszych rzeczy, która mogła się przydarzyć Samancie King. Doktor Becker zdołałby szybko stłamsić żywiołowość dziewczynki, a jego głupia żona by się temu nie przeciwstawiła.

- Wiesz, mam liczne znajomości - zaczął doktor. - Ważne znajomości. Twoja praca może ci się wydać o wiele cięższa w przyszłości, jeśli zrealizujesz ten czek.

Po raz pierwszy Jackie się zawahała. Jej kariera zależała od ustnych poleceń i Tess zdała sobie sprawę, że może być zniszczona w ten sam sposób.

- Wydaje ci się, że teraz zawojujesz miasto. - Becker wykorzystał przewagę i napierał ostro. - Złudzenie. To bogaci mają władzę, biali czy czarni. Ten czek może być ostatni, jaki dla ciebie wypisano. Przemyśl to.

Gdy Jackie studiowała czek, Tess podeszła do doktora i podała mu rękę.

- Tess Monaghan, powinnam była przedstawić się przy wejściu. Jestem prywatnym detektywem, ale kiedyś byłam miejską reporterką i mam wielu znajomych w tej branży. Myślę, że byliby zachwyceni opowieścią o poważnym doktorze Beckerze, członku ACLU, walczącym o ochronę zatoki Chesapeake, który wycofał się z danego słowa, odmówił adopcji, bo dziecko nie było białe. Wystarczy podać taką informację Willi Mott i o tej historii dowie się cały kraj, czyż nie?

- Już mówiłem, to agencja nas okłamała. - Becker prawie bełkotał ze złości. - Usiłujecie przenieść sprawę na rasistowskie podłoże.

- I takie ono będzie, jeśli nie zostawi pan Jackie w spokoju. Zapewniam. Redaktor naczelny „Beacon-Light” jest mi winien przysługę, i na pewno się zrewanżuje, gdy upomnę się o artykuł na ten temat.

- A ja pracuję dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - wtrąciła nagle Judith. - Lepiej nie myśleć, co ja mogę panu zrobić.

Tess miała wątpliwości, czy matka mogłaby zrobić coś więcej niż nakażać podległym jej maszynistkom napisanie naprawdę strasznego listu, jednak rzeczywiście pracowała w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Kto wie, jakie naprawdę ma możliwości?

Doktor skinął głową, ale Tess mu nic ufała. Nic nie mogło go powstrzymać przed wezwaniem policji, kiedy tylko wyjdą, albo przed wykorzystaniem znajomości, by zniszczyć Jackie.

- Zaraz wychodzimy i chciałabym się upewnić, czy wszystkie papiery łączące państwa z Samantha King są zniszczone, choć Jackie zatrzyma kopie. Czy to zagwarantuje państwa milczenie?

Becker bez słowa znów skinął głową.

- On nie odpuści - odezwała się Jackie, gdy wyszły. - Znajdzie sposób, żeby się na mnie odegrać, choćby dlatego, że został upokorzony.

- Nie, nie znajdzie - powiedziała Judith z naciskiem. - Poza tym, masz alibi. Nigdy cię tu nie było.

- Ach tak? Gdzie więc byłam?

- Po drugiej stronie miasta, zajadałaś się krabami, w towarzystwie dwudziestu innych osób.

Tess spojrzała na matkę. Myślała zawsze, że jej zdolność do kłamstw, szybkość reakcji musi pochodzić ze strony jej ojca Patricka, ale może to także cecha Weinsteinów.

- Nie rozumiem. - Jackie była zdziwiona. - Kto by to dla mnie zrobił?

- Rodzina twojej córki - odparła Tess.

Judith odjechała samochodem córki do domu, a Tess pilotowała Jackie w jej białym lexusie.

- Nie powinnaś była kraść mojego pistoletu - ofuknęła ją, gdy tylko zostały same.

- Następnym razem nie zostawiaj go bez opieki. - Jackie nie okazała odrobiny skruchy.

- Śmiertelnie mnie przeraziłaś. Myślałam, że masz zamiar się zabić... Albo ich...

- Dlaczego miałabym nagle niszczyć sobie życie po tylu staraniach o jego odbudowanie? Chciałam ich zranić, a pieniądze stanowiły tylko sposób, żeby to osiągnąć. Prawdopodobnie jedyny, w wypadku ludzi tego pokroju.

Jackie zaśmiała się, zadowolona. Przez następnych parę kilometrów nic nie mówiły, ale to była przyjemna cisza. Taka, którą mogą znieść tylko przyjaciele. Kiedy Jackie znów się odezwała, jej głos brzmiał łagodnie i niepewnie:

- Czuję się zraniona i chciałam zranić kogoś innego. Wiesz, na początku chciałam zranić ciebie.

- Zranić mnie?

- A dlaczego zatrudniłam właśnie ciebie? Chciałam się odegrać na dziewczynie, która zawsze była po tej lepszej stronie, która miała prawdziwe dzieciństwo, podczas gdy ja musiałam sama torować sobie drogę, utrzymywać się w liceum i na studiach.

- Dziadek chciał płacić za twoje wykształcenie. To babcia mu nie pozwoliła.

- Wiedziała?

- Na to wygląda.

- Biedna kobieta.

- Biedna? Zmusiła dziadka, by wycofał się z danej ci obietnicy.

- Cóż, jak miała się zachować kobieta, której mąż wraca do domu i mówi: „Pamiętasz tę osiemnastolatkę, z którą wpadłem? Myślę, że powinniśmy wysłać ją do college'u”.

Jackie trafiła w sedno. Doskonale panowała nad emocjami, umiała patrzeć na sprawę z różnych punktów widzenia. Tess powinna tego się nauczyć. Uśmiechnęła się. Prawdę mówiąc, rozbawił ją obraz Jackie siedzącej naprzeciwko Beckerów na „herbatce z wymuszeniem”, gdy rozprawiała na temat opieki społecznej. Tylko Jackie mogła podbudować schemat zemsty takim materiałem dydaktycznym.

- To co mówiłaś o ekonomii systemu... to prawda, czy zmyśliłaś?

- Och, może nie jestem na bieżąco z aktualnymi liczbami i wiele się zmieniło od ostatniej reformy. Jednak proporcje takie są. Ludzie płacą tysiące, by adoptować dziecko, matki na zasiłku dostają grosze, by je zatrzymać.

- Rodziny zastępcze dostają większą pomoc niż matki?

- O tak, ale one muszą też spełniać wyższe standardy niż matki na zasiłku, osobne sypialnie, coś w tym rodzaju. Dlatego zabrali Sam od krewnych. Dlaczego nagle jesteś tak tym zainteresowana?

- Dodaję sobie w pamięci.

## Rozdział 27

BIURO CHASE'A PEARSONA W ANNAPOLIS BYŁO ZNACZNIE WIĘKSZE, niż Tess przypuszczała. Miał mało znaczącą posadę, zajmował stanowisko, które mógł utracić wraz z odejściem obecnego kierownika. Specjalny sekretarz do spraw dzieci i młodzieży. Ale takie myślenie oznaczało po prostu naiwność, nie ma nieznaczących posad w sektorze państwowym, małych ról i małych aktorów. I małych zbrodni.

- Panna Monaghan - powiedział Pearson.

Na tym etapie ich znajomości nawet nie zwróciła uwagi na błysk jego zesputych zębów. Cokolwiek planował na przyszłość, widocznie zdecydował, że obejdzie się bez jej głosu. - Myślałem, że postawiłem sprawę jasno: nie życzę sobie, by pani znów mnie niepokoiła.

- Wyraził się pan jasno, będę aresztowana, jeśli spróbuję pojechać do Penfield, dlatego przybyłam tutaj, by się z panem zobaczyć. Może mi pan odpowiedzieć na znacznie więcej pytań, niż Sal mógł kiedykolwiek.

Pearson odchylił się do tyłu na krześle.

- Mów - rzucił tonem odpowiednim dla psa lub tresowanej foki. Obeszła gabinet, oglądając pamiątkowe tabliczki zawieszane na ścianie. Wyjrzała przez okno - nic ciekawego, tylko dachy Annapolis, ani skrawka zatoki Chesapeake.

- „Dla Chease'a Pearsona” - odczytała, patrząc na jeden z największych, oprawionych dyplomów. - „W podziękowaniu za pracę na rzecz dzieci z Maryland”. Czy to nagroda za pana obecną bezczynność, czy za wcześniejsze nieróbstwo w oddziale specjalnym do spraw młodzieży i przemocy?

- Nie uważam ratowania następnego pokolenia za coś bez znaczenia.

- Ja też nie - zapewniła Tess. - Ale czy nie spełniał się pan bardziej jako pracownik społeczny? W bezpośrednim kontakcie z ludźmi?

- Mogłaby pani wyrażać się jaśniej?

- Pracownik społeczny. Przecież tak pan zaczynał. Mam znajomego w Beacon-Light, który pokazał mi pana życiorys. Całe osiemnaście miesięcy na pierwszej linii frontu. Bardzo szlachetnie, zgodnie z tradycją Pearsonów służby na rzecz wspólnoty, ale wydaje mi się, że pańskie pokolenie naprawdę nie umiało jej sprostać. Pięć lat temu, zanim burmistrz powołał pana do tego zespołu zadaniowego, co pan robił?

- Pracowałem w opiece społecznej, w administracji.

- Tak, w wydziale nadzorującym rodziny zastępcze. - Tess uśmiechnęła się, zdołała zaniepokoić Pearsona. - Miałam ostatnio krótkie przeszkolenie w państwowym wydziale zasobów ludzkich. Teraz znam wszystkie skróty, jakimi się posługujecie. Poznałam nawet określenia, jakich używacie na nadużycia i zaniedbania w dochodzeniach: „odnotowane” i „bezpodstawne”. To najlepsze określenia typu KCD jakie w życiu słyszałam, a słyszałam wiele.

- KCD?

- Krycie czyjejś dupy. Pracownik nigdy nie ponosi winy, bo nadużycie albo zostaje „odnotowane”, albo uznane za „bezpodstawne”. Jeśli dziecko jest odnalezione martwe, pracownika nie pociąga się do odpowiedzialności.

Ponieważ Pearson zawsze przybierał minę pogardliwą, trudno było wyczuć, czy teraz wyraz twarzy miał coś wspólnego z tym, co powiedziała Tess. Jednak kącik ust zdawał się delikatnie unosić.

- Taki żałosny cynizm często próbuje uchodzić za wymyślną, taktyczną analizę. Uczęszczała pani może do szkoły w Baltimore, panno Monaghan?

- Tak, i ciągle umiem dodawać w pamięci, a także rozpoznać okazyjne naginanie zasad. Albo, jak w pana wypadku, faktów.

- Co pani ma na myśli?

- Matka Donniego Moore'a, Keisha, była „odnotowana” za zaniedbanie, prawda?

- Skąd miałbym wiedzieć?

- To zabawne, bo wiedział pan dokładnie, o czym mówiłam tej nocy, gdy Keisha Moore została zamordowana. „Ona zawsze miała złe towarzystwo”. To, jak Keisha straciła syna, nigdy nie zostało odnotowane. Ale opiekun społeczny chłopca powinien znać towarzystwo Keishy.

Podbródek Pearsona drgnął. To nie było nawet skinięcie, po prostu delikatny ruch podbródka, znak, że słuchał.

- To pan umieścił Donniego w domu Nelsonów, prawda? Także Destiny i Treasure'a, Eldona i Sal. Piątkę dzieci w domu z trzema sypialniami. Piątkę dzieci, które nigdy nie były dobrze ubrane i wyglądało, że nie dojadają. Z wyjątkiem Eldona. Na tej podstawie Nelsonowie dostawali co najmniej dwa

i pół tysiąca dolarów miesięcznie, może nawet więcej, jeśli uznano, że któreś dziecko ma „szczególne potrzeby”. Gdzie podziały się te pieniądze, panie Pearson?

- O to powinna pani zapytać Nelsonów.

- Myli się pan, bo to do pana obowiązków należało zadanie tego pytania Nelsonom. To pan był zobowiązany do upewnienia się, czy właściwie zajmowano się dziećmi. To pan był jednym z tych nastawionych na reformy młodych pracowników zatrudnionych po procesie sądowym. Dlaczego miałby pan ignorować zasady i umieścić piątkę dzieci w rozpadającym się domu w podejrzaney okolicy? Co pan z tego miał?

Pearson przesunął dłońmi po pustym blacie biurka w poszukiwaniu dla nich zajęcia, w końcu złożył je na kolanach.

- Nelsonowie byli kochającą, troskliwą rodziną zastępczą - zaczął. - Wie pani, jak trudno znaleźć młodych, energicznych rodziców zastępczych przed czterdziestką? Nelsonowie wierzyli, że mogą zapewnić dzieciom lepsze warunki niż niejedna rodzina, mimo że nie posiadali wiele w znaczeniu dóbr materialnych. Ja też uwierzyłem w ich wizję.

- Ile panu zapłacili za tę szczególną wiarę?

Pearson był bardziej opanowany, niż sądziła, trudniejszy do złamania.

- Pani wymyśliła sobie kolejną spiskową teorię, panno Monaghan. Przyznaję, że jest bardzo interesująca. Pracownicy społeczni za pieniądze umieszczają dzieci w określonych domach. Wiem, jak to możliwe, teoretycznie.

- To nie jest aż tak skomplikowane. Czternastolatek by na to wpadł. I rzeczywiście tak było; Sal Hawkins poskładał elementy tej układanki. Wstrząsnął tym jego dawnego opiekuna społecznego, który załatwił mu stypendium do Penfield. Oczywiście pan nie zapłaciłby za to z własnej kieszeni. Nawet teraz, kiedy zarabia pan całkiem niezłe pieniądze, ciągle jest pan bardzo oszczędny, prawda?

Słyszała, jak Pearson uderza w biurko od spodu drżącym kolanem.

- Proszę dalej - powiedział. - Ciekaw jestem, do czego pani zmierza, opowiadając tę bajeczkę.

- Zmierzam do tego, co wydarzyło się pewnej nocy, pięć lat temu. Zabito wtedy chłopca na oczach czterech jego przyjaciół. To straszne przeżycie, nawet dla twardych dzieciaków ulicy. Jednak ich opiekun społeczny i zastępczy rodzice nie przejmowali się tą traumą. Obchodziło ich tylko rozdzielanie dzieci najszybciej jak to możliwe, przeniesienie ich do nowych domów, tak by żaden reporter nie zainteresował się bliżej dziwnym faktem, że piątka dzieci mieszka w rodzinie zastępczej w maleńkim szeregowym domu w parszywej okolicy, i pozostaje właściwie bez nadzoru.

- Działania podejmowane w celu wydobycia dzieci z naprawdę szkodliwego otoczenia mogą być czasem trudne do zrozumienia dla laika - odparł

Pearson. - Nie mogłaby pani sobie wyobrazić, co wcześniej znosiły te dzieci. Dom Nelsonów był dla nich jak raj.

- Jasne.

- Bliźnięta - ciągnął - bardzo przywiązane do matki, żyły w piwnicy, bez elektryczności, kanalizacji. Przydzielono je mnie, kiedy matka omal nie spała świeczką ich lokum. Były zachwycone, że mogą mieszkać w domu z trzema sypialniami i toaletą. Donnie... wie pani, co zrobiła jego matka, kiedy zostawiła go na wiele dni samego i wyruszyła do Atlantic City. Eldon. Ojciec przyłapał go, gdy bił psa kijem, i postanowił tak samo ukarać chłopca. W każdym razie taką wersję opowiedział, ubiegając się o odzyskanie syna. Moim zdaniem najpierw pobił Eldona, a ten później odegrał się na psie. Wie pani, to dobry wskaźnik przemocy w rodzinie, przemoc wobec zwierząt domowych. Aż do końca XIX wieku nie było ustawowego zakazu krzywdzenia dzieci.

Pearson ściszył głos. Uciekł się prawie automatycznie do biurokratycznej sztuczki, martwego sprawozdania, które zdawał przed komisją senacką. Przypomniał sobie widownię. Zagapił się w okno, na ten nieciekawny widok.

- Co z Salem?

- Z Salem? - Był wyraźnie zmieszany, nie mógł skojarzyć imienia. - A, Sal. To prawdziwy sierota, co dziś jest rzadkością. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Ośmiolatek, bez żadnej rodziny, po prostu nie miał dokąd pójść. Wysłano go do jednego z naszych najlepszych domów, prowadzonego przez cudowną kobietę. Świętą, naprawdę świętą. Zmarła wskutek wylewu, kiedy Sal miał jedenaście lat, i musiałem znaleźć dla niego nowy dom. Był pierwszym dzieckiem, które umieściłem u Nelsonów. - Przerwał. - Zawsze lubiłem Sala. Pomógłbym mu z tym stypendium do Penfield niezależnie od okoliczności. Dałem mu nawet kiedyś książkę, jedną z ulubionych z dzieciństwa.

Kiplinga, cennego Kiplinga Sala.

- Sal kiedyś panu opowiedział?

- O czym?

- O tym, co dzieci widziały na Wzgórzu Rzeźnika tej nocy, kiedy zginął Donnie. Dlaczego musiały kłamać, nigdy nie wspominały o samochodzie, o innych strzałach?

Pearson patrzył na nią z czymś bliskim litości w oczach, choć nie lubił jej wystarczająco, by naprawdę współczuć.

- Panno Monaghan, proszę dać sobie spokój. Tak, Nelsonowie i ja mieliśmy finansowy układ, korzystny dla obu stron, ale nigdy nie zdoła pani tego udowodnić. To także nie znaczy, że Luther Beale nie zabił Donniego Moore'a czy bliźniaków. Niech pani spojrzy prawdzie w oczy. Człowiek, który strzela do dzieci, jest zdolny do wszystkiego.



- Dlaczego nie zadzwoni pan do Penfield i nie powie, że musimy porozmawiać z Salem? Może jeśli zagrozę jego dobroczyńcy więzieniem, Salowi nagle poprawi się pamięć.

- Jeżeli zrobię to dla pani, i przekonam Sala, by powiedział prawdę, jakkolwiek by ona była, zostawi nas pani w spokoju?

- Tak.

Tess traktowała obietnicę wiążąco. Chase'em Pearsonem można było się zająć później.

- Proszę teraz poprosić go do telefonu, a zniknę z pańskiego życia raczej prędzej niż później.

Person sięgnął po słuchawkę i zadzwonił.

- Chase Pearson. Mógłby pan poprosić Sala do telefonu? Wiem, że to ostatni dzień szkoły, ale to bardzo pilne.

Minęło kilka minut. Tess pomyślała o sklepie Jackie - im dłużej się czegoś szuka, tym trudniej się to znajduje. W końcu po drugiej stronie popłynął potok słów, przyspieszył i nabrał intensywności.

- Jesteś pewien? - zapytał Pearson. - Jesteś absolutnie pewien? Dobrze, jak dawno go widziałeś? Co się stało z ochroniarzem? Co z ciebie za idiota? Ostatnie pytanie musiało być retoryczne, bo odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

- Zaginął. Razem z ciężarówką ogrodnika. Poszedł do łazienki pół godziny temu i już nie wyszedł. Znaleźli jego mundurek w kabinie. Musiał to zaplanować, przebrał się w strój robotnika. Zostawił kartkę: prosi, by się nie martwić o niego, że robi to dla swojego bezpieczeństwa i że sam będzie podróżował szybciej.

- Jezu.

- Zapewniam panią, że wiem, gdzie pojechał. - Pearson podniósł wzrok, podekscytowany. - Jest takie jedno miejsce. Zawsze tam wraca, kiedy jest zmartwiony lub nieszczęśliwy.

- Proszę powiedzieć. Zmrużył oczy.

- Nie. Sam go znajdę.

- Chce pan dopaść go pierwszy, wyłożyć mu jasno swoje bajeczki, przekonać, by dalej kłamał, jak przez te wszystkie lata. - Tess uchyliła klapę torebki, tak by Pearson zobaczył pistolet w środku. - Gdzie jest Sal?

- Ucieknij przed panią, jeśli pójdzie tam pani sama. On ufa tylko mnie.

- Świetnie. Wobec tego pojedziemy razem. - Pearson zaczął protestować, więc Tess jeszcze raz pokazała mu broń w torebce. - I tak bym pana śledziła, więc równie dobrze może pan zabrać mnie ze sobą.

# Rozdział 28

WZIĘLI SAMOCHÓD PEARSONA, lśniące małe porsche 911, o którym Sal mówił z takim entuzjazmem. Tess od początku chciała prowadzić, a na widok wozu była tego pewna. Kupił go za pieniądze z interesu, który robił na dzieciach? Mogła zapytać Pearsona później.

- Powie mi pan w końcu, gdzie jedziemy?
- Jeszcze nie, dopóki nie będziemy trochę bliżej.

Przyspieszyła. To porsche było marzeniem każdego kierowcy. Prędkość stu trzydziestu kilometrów odczuwało się jak dziewięćdziesięciu. Pokonanie odległości między Annapolis a Baltimore Beltway zajęło im piętnaście minut zamiast dwudziestu pięciu.

- Teraz? - spytała, gdy skręcali na międzystanową autostradę 95.
- Jeszcze nie.

Zastanawiała się, co Pearson chciał osiągnąć, jeśli ciągle miał nadzieję odnaleźć chłopca pierwszy. Jeżeli tak, to jej nie doceniał.

- To w okolicy jego dawnego domu, powiem pani aż tyle.
- Dobrze. - Minęli zjazdy z autostrady do miasta.
- Dlaczego będziemy jechać tunelem McHenry? - Pearson stał się podej-

rzliwy.

- Zaoszczędzimy więcej czasu, jadąc Wschodnią Aleją - skłamała, gdy wpadli do tunelu. Nagle zdjęła stopę z pedału gazu i pozwoliła, by pędzący samochód zaczął dryfować, wytracając prędkość. Goniące ich wycie klaksonów odbijało się zgrzytliwym echem od pokrytych płytkami ścian.

- Zabijesz nas - jęknął Pearson, chwytając za kierownicę. Samochód ześlizgnął się w lewo, a później powrócił na prawy pas.

- Możliwe. Ale raczej spowoduję straszliwy korek i nie wydostaniemy się stąd przez kilka godzin. Będzie za późno, by odnaleźć Sala. Teraz powie mi pan, gdzie dokładnie jedziemy.

- Jeśli tylko zacznie pani znów normalnie prowadzić.

Tess nacisnęła pedał gazu. Jechali teraz z prędkością nie przekraczającą pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ciągle trochę za wolno jak na tunel, jednak wystarczająco szybko, by uniknąć tylnego zderzenia.

- Chodzi o Kiplinga - powiedział Pearson.

- Kiplinga?

- Sal nawiązał do jednego z jego wierszy w notatce, którą zostawił. Podróżuje się szybciej samemu. Przypomniało mi to o innym wierszu, który lubił, i którego nauczył inne dzieci.

- Jaki to wiersz?

- „Obok starej pagody w Moulmein, wpatrzone w morze, na wschód/  
Stoi birmańskie dziewczę, myśli o mnie, wiem. Poprzez wiatr w palmowych liściach, świątynnych dzwonów chłód/  
Woła: wróć, brytyjski żołnierzu, do mnie, Mandalay, wróć”.

- Bardzo ładne, ale co to ma wspólnego z Salem?

- Pagoda. Pewnie jest w pagodzie w parku Pattersona.

Birmańskie dziewczę... Czy Treasure nie powiedział kiedyś, że Destiny pojechała do Birmy? Pagoda musi być tym bezpiecznym miejscem, o którym mówił Sal. Cóż, może nie tak bezpiecznym dla Destiny, która umarła nieopodal. Porsche powoli pięło się poza tunel. Tess skręciła na prawo, żeby zapłacić za przejazd, i pstryknęła przełącznik, opuszczając szybę.

A jeśli ktoś chciał zabić Sala? Jeśli wezwano go do pagody tak jak Destiny, by spotkał mordercę?

- Niech mi pan poda telefon. Jest w bocznej kieszeni torebki.

- Po co pani telefon?

- Myślę, że Sal jest w niebezpieczeństwie. Destiny zginęła przy pagodzie, Treasure w pobliżu. Może policja będzie szybsza od nas.

A jeśli to Sal wezwał wtedy Destiny? Jeśli to on był zabójcą? To kto kogo zabije tym razem?

Pearson wyciągnął telefon z torby, opuścił szybę i rzucił go pod koła samochodu, który właśnie wyjechał z tunelu.

- Ty sukinsynu!

- Żadnej policji - powiedział spokojnie Pearson. - Zgodnie z umową. - Tess chciała się sprzeczać, ale była jej kolej by podjechać do rogatki. Rzuciła okiem na odległy prawy przejazd, gdzie stał zaparkowany wóz policyjny.

- Należy się jeden dolar - poinformował obsługujący.

Zamiast dostać pieniądze, usłyszał rozziewający uszy krzyk Tess:

- On ukradł mój samochód! O mój Boże, wezwij policję, on mnie zabije! Staranowała szlaban, który okazał się twardszy, niż przypuszczała. Cóż, Person na pewno ubezpieczył wóz. Nie żeby chciała go uszkodzić, ale to był jedyny sposób zemsty. Oko za oko, porsche za telefon komórkowy.

- Co ty do cholery robisz?!

- Zapewniam nam eskortę policji. W parku Pattersona jest morderca: albo Sal, albo osoba, z którą zamierzał się spotkać. Obawiam się, że w tej sytuacji twoja przyszła polityczna kariera ma mniejsze znaczenie.

- Idiotka! - Pearson złapał za uchwyt nad drzwiczkami. - Sal nigdy nie wyjawi ci tego, co chcesz wiedzieć. Nie pozwolę!

Policja w Baltimore zabraniała szybkich pościgów na terenie miasta, więc Tess, spoglądając w tylne lusterko, widziała, jak policyjne wozy nadjeżdżają z ociąganiem, zwalniając na przecięciach dróg. Na szczęście dla niej, światła na Wschodniej Alei, denerwujące w zwykłych okolicznościach, okazały się perfekcyjnie zsynchronizowane, kiedy kierowca jechał z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Dojechała do południowo-wschodniej części parku pięć minut, ale pagoda znajdowała się po stronie północno-zachodniej. Przejechała z piskiem opon wzdłuż południowej granicy, skręciła na północ, pędząc chodnikiem i rozganiając spacerowiczów z psami, gdy samochód pokonywał ostatnie pięćdziesiąt metrów. Ciągle mogła widzieć policyjne wozy w tylnym lusterku. Oczywiście myśleli, że jest ofiarą, sterroryzowaną zakładniczką szalonego złodzieja samochodów.

Sal stał przed pagodą, czekał otulając się wiatrówką, bo było zimno. Nie spuszczał wzroku z wysokiego, muskularnego młodzieńca w workowatych džinsach i bezrękawniku, który szedł w jego stronę. Mężczyzna wyglądał znajomo, ale Tess nie mogła skojarzyć, gdzie go widziała. Wjechała do parku, chwyciła pistolet z torby i wypadła z samochodu, krzycząc na całe gardło:

- Próbował mnie zabić, próbował mnie zabić! - Biegła w stronę pagody  
- Niech ktoś mi pomoże, on mnie zabije!

Jak przewidywała, krzyki zdezorientowały Sala i zbliżającego się do niego mężczyznę. Wbiegła między nich, strzeliła w powietrze, by pokazać, że umie posługiwać się bronią. Jednak czy nie tak właśnie zaczął Luther Beale, oddając jeden strzał w niebo?

- Rzućcie broń! - Miała nadzieję, że rozkaz zabrzmiał pewniej, niż się czuła. - Obydwaj.

Sal wyglądał na osłupiałego, a muskularny mężczyzna się uśmiechnął. Teraz go poznała. To dyżurny z Akademii Nelsonów, trudny do rozpoznania bez uniformu. Ten, który uczył się sztuki przetrwania.

- Dlaczego pani myśli, że mam broń? - zapytał. Na okrągłej twarzy miał wypisaną niewinność i szczerłość. - To on jest mordercą. Prawdopodobnie planował mnie zabić, kiedy poprosił, bym tu przyszedł. W końcu jestem jedyną osobą, która wie, co zrobił. Gdy tylko pozbędzie się mnie, będzie wolny.

Sal rozplakał się jak dziecko.

- To nie fair, Eldon. Przynieśliśmy sobie, że nigdy, przenigdy nikomu nie powiemy. Przecież to ty chciałeś, żebym tu przyszedł.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jasne. Nie zauważyłem, byś pomógł reszcie zdobyć ekstrastypendia. Od dnia, kiedy nas rozdzielili, każdy troszczył się o siebie.

- Nie wiedziałem, gdzie cię znaleźć. Spytaj ją, nawet włamałem się do jej biura, żeby zdobyć twój adres.

A więc to mały, puciołowaty Eldon. Jak on wyrósł. Teraz nie słuchał, sięgał ręką do tyłu, jak zauważyła Tess. Żeby podrapać się po plecach, czy wyciągnąć broń? To było prawdziwe piekło wahania przed podjęciem błyskawicznej decyzji. Gliniarze zrobili to za nią.

- Stójcie! - wrzasnął ktoś i sześciu policjantów przebiegło przez trawnik. - Rzućcie broń! Wszyscy! To dotyczy także pani.

Tess rzuciła na ziemię swoją trzydziestkę ósemkę. Eldon cisnął półautomatyczny, groźnie wyglądający pistolet. Sal wyciągnął z kurtki ząbkowany, rzeźnicki nóż i upuścił na trawę. Nędznie wyglądał obok pistoletu Eldona. Jasne, trudno byłoby znaleźć w Penfield coś lepszego w tak krótkim czasie.

- Eldon powiedział, że mnie potrzebuje - mówił Sal, szlochając. - Ze potrzebuje mojej pomocy. Pewnie to samo powiedziałeś Destiny i Treasure'owi, ty skurwysynu! Dlaczego ich zabiłeś? Co oni ci zrobili?!

- Pieprz się - warknął Eldon, trzymając ręce w górze, podczas gdy gliniarze go obszukiwali. - To ty wszystko zacząłeś, gdyby nie ty, nic by się, kurwa, nie stało.

Tess, którą również obszukiwano, przyglądała się im obu. Mogła też zacząć zadawać pytania.

- Tam był samochód, prawda? Tej nocy, gdy zginął Donnie. I padły jeszcze dwa strzały, jak twierdził Luther Beale?

- Nie pamiętam samochodu! - wykrzyknął Sal.

Eldon wzruszył ramionami. Mógł uczynić tylko mały gest, skoro ręce trzymał nad głową. - Samochód? Możliwe. To nie ma znaczenia.

- Ma, dla Luthera Beale'a.

- Naprawdę nic nie kapujesz? - Eldon wyglądał na zniesmaczonego. - Głupia dziwka, wszędzie miesza i o niczym nie ma pojęcia. Nic z tego się nie liczy, bo Sal zabił Donniego Moore'a. Prawda, Sal? Byłeś taki dorosły,

nosiłeś wszędzie broń, bo chciałeś nas chronić. Donniego chronićś aż do grobowej deski.

Na posterunku, podczas gdy policjanci starali się rozwikłać zagadkę zbrodni, Tess prawie poczuła litość dla reportera „Beacon-Light”, młodego człowieka, o którym wiele słyszała. Herman Peters był znany jako Hermanator i krążyła o nim plotka, że nigdy, przenigdy nie rozstaje się z pagerem. Miał zaróżowione policzki, ciemne kręcone włosy, i wyglądał jak jeden z tych uśmiechniętych chłopców, którzy upiększają swoimi podobiznami pudełka rozpuszczalnego kakao. Jednak był nieustępliwym, twardym fachowcem, wyczulonym na fakty i niuansy, nie zadowalały go „ochłapy”, jakie rzucano telewizyjnym reporterom.

- Nie bardzo rozumiem - mówił z naciskiem do Tulla, który obsługiwał media, gdy jego kolega z wydziału zabójstw przesłuchiwał Eldona, Sala i Pearsona. Z powodu publicznego charakteru zbrodni, reporter stawiał się na komisariacie w ciągu kilku minut od ostatecznej rozgrywki w parku Pattersona. - Więc twierdzisz, że Donnie Moore został zamordowany przez swojego przyjaciela Sala Hawkingsa, ale macie zamiar obciążyć Eldona Kane'a zarzutami zamordowania Keishy Moore i jej chłopaka, i że on jest też podejrzany o zabicie bliźnięt Teeter?

- Przypuszczamy, że Eldon był płatnym mordercą, pracującym dla Nelsonów. Zabijał wszystkich, którzy zagrażali ich działaniom w Dystrykcie Columbia. Policja wysłała za nim list gończy. W Akademii Benjamina Bankera znaleziono piwnicę pełną skradzionych rzeczy i poddasze pełne broni. Poszerzyli zakres działalności, odkąd przenieśli się do Waszyngtonu.

- Poczekaj chwilę - przerwał mu Hermanator. - Nie łapię tego wszystkiego.

- W porządku. - Tull uśmiechnął się szeroko. - Wszystko zaczęło się od Nelsonów, którzy stwierdzili, że mogą pozyskiwać tanią siłę roboczą z miejskiego systemu opieki społecznej nad dziećmi. „Operacja mama i tata”, że tak powiem.

Sal powinien czytać Dickensa zamiast Kiplinga, pomyślała Tess, słuchając jednym uchem mrocznej opowieści Tulla. Nelsonowie wysługiwali się w swoich działaniach dziećmi z opieki społecznej, na początku powierzając im małe zadania. Tworzyli „zespół włamaniowy mamy i taty”. Dzieciaki kradły radia samochodowe i wszystko, co dało się oderwać od podłogi, ale największą kasę przynosiła broń. Sal nawet wziął sobie pistolet ze skrytki Nelsonów. Gdy Luther Beale otworzył ogień tamtej nocy, Sal strzelił również. Problem w tym, że to nie był dobry strzał, i okazało się, że strzelił do Donniego. A przynajmniej tak myślał.

Dzieci złożyły przysięgę, że nigdy nie wyjawią tego, co się stało, nie wspomną o pistoletach i skradzionych przedmiotach. Zakładały, że kłamstwa pozwolą utrzymać ich małą rodzinę nienaruszoną, ale śmierć Donniego

rozpoczęła nieubłagany proces, w którego wyniku je rozdzielono.

Dwa lata później Sal wyszedł Pearsona i wywalczył dla siebie stypendium, grożąc, że go zdemaskuje. „Byłem sprytniejszy niż inni”, chwalił się wcześniej Tess. „Oni byli głupimi fiutkami”. Eldon zrobił to samo, przekonując Nelsonów, by go ukryli, gdy wyszedł za kaucją. Opłaciło mu się, za kilka drobnych przysług tu i tam. Destiny też była wystarczająco sprytna, by żądać od Nelsonów pieniędzy. Chyba jednak wystarczająco głupia, biorąc pod uwagę ostateczny rezultat.

Nelsonowie zwlekali tak długo, aż Eldon mógł ją zabić, ale potrzebowali Tess, by odnaleźć Treasure'a. I kiedy Keisha Moore zaczęła zadawać pytania, Eldon również ją zabił. W gruncie rzeczy miał równie ponadprzeciętne osiągnięcia jak Sal, tylko inaczej ukierunkował swoją energię.

W końcu pojawił się Tyner, ciągnąc za sobą Luthera Beale'a. Ciężyły na nim pewne zarzuty w związku z Tess - nieumyślne narażenie na niebezpieczeństwo, zniszczenie mienia - chociaż Tull był prawie pewny, że kryminalne zarzuty zostaną oddalone.

- Ubezpieczyciel Pearsona nie pozwoli ci się łatwo wywinąć - powiedział ponuro Tyner. - Firmy ubezpieczeniowe nie robią wyjątków, nawet jeśli próbujesz ratować czyjeś życie.

- Hej, ale właśnie tak było, czyż nie? - Tess, która zastanawiała się nad swoją rolą w każdej ze zbrodni na Wzgórzu Rzeźnika, poczuła się rażniej. - Mam nadzieję, że trochę się zrehabilitowałam względem Treasure'a. I Keishy. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że to ja doprowadziłam Eldona prosto do nich.

- Znalazłby ich tak czy inaczej - zapewnił ją Tull. I znów ręka wyciągnięta do zgody. Dlaczego nie? Jakkolwiek na to patrzeć, miał rację.

Beale stał w milczeniu, trzymając swoją panamę. Miał na sobie brązowy garnitur, tym razem z niebieską koszulą z białym kołnierzykiem. Tess nie mogła się powstrzymać od myśli, czy ma on jakąkolwiek koszulę, która pasowałaby do tego garnituru.

- A więc tego nie zrobiłem? - spytał. - Naprawdę nie zabiłem tego chłopca?

Tull wzruszył ramionami, niezbyt go obchodziła poprawa stosunków z Beale'em.

- Nigdy się tego nie dowiemy. Pan strzelił, on strzelił, Donnie umarł. To mógł być każdy z was.

- Jednak Beale nie zostałby skazany, gdyby sąd o tym wiedział - zauważył Tyner. - Dostaniemy za to przeprosiny od rządu, może nawet trochę pieniędzy. Czuję, że dojdzie do sprawy sądowej.

Tull przewrócił oczami.

- Może pan pozwać państwo za to, że wypełniało swoje obowiązki, Tyner. Proszę próbować, może wyciągnie pan od nich małe odszkodowanie.

Dwóch policjantów właśnie wprowadziło Sala. To ciągle jeszcze chłopiec, pomyślała Tess. Siedemnastolatek nie był tak dorosły, jak mu się zdało. I nie ukrywał zbrodni dlatego, że obawiał się konsekwencji swoich czynów, po prostu chciał utrzymać „rodzinę” razem. Być może jak wszyscy inni w Baltimore założył, że Luther Beale nigdy nie będzie odsiadywać tego wyroku. Jak mały chłopiec mógł zrozumieć zawiłości użycia broni palnej w granicach miasta?

- Chudzielec - powiedział Luther Beale. - To ty jesteś ten chudy.

Sal spojrzął w górę. Wyglądał na rozgniewanego i winnego jednocześnie, i w ogóle się nie bał.

- Tak, ja też pana pamiętam.

- Mam ci coś do powiedzenia - oświadczył Beale. - Chcę, żeby wszyscy to usłyszeli.

Tull spojrzął na Tess, jakby chciał powiedzieć: mówiłem ci, że jest sukin-synem. Nawet Tess nie mogła uwierzyć, że Beale dąży do zrobienia sceny. Nie wystarczyło mu udowodnienie, że miał rację. Musiał to obwieścić.

- Moim zdaniem zawiodło cię wielu twoich bliskich - zaczął Beale, a Hermanator szybko zanotował jego słowa. - Ludzie, z którymi mieszkałeś, mężczyzna, który umieścił cię w ich domu... Nie nauczyli cię odróżniać dobra od zła. Oni byli dorośli, a ty byłeś małym chłopcem. To nie twoja wina, że nie zaznałeś nic lepszego. Ja też byłem dorosły - ciągnął. - Gdybym tamtej nocy nie wyszedł na ulicę z bronią, nie wystrzeliłbyś ze swojego pistoletu i Donnie Moore nie zginąłby. Przynajmniej nie tamtej nocy. Zawie-dliśmy cię, wszyscy dorośli w twoim życiu. Rozczarowaliśmy cię. Zatem... Wszystko, co mogę teraz powiedzieć... - Przerwał, gniotąc rondo swojego kapelusza. Tess pamiętała ten gest od ich pierwszego spotkania. - Mogę powiedzieć tylko przepraszam, to wszystko.



# Epilog

Sierpień

PO NIEWIARYGODNIE PIĘKNYM LECIE nastąpiła pogoda, którą mieszkańcy Baltimore znają najlepiej: wilgotny, duszny upał. Każdego popołudnia nad miastem szalały burze, trwały akurat tyle, żeby przerwać pikniki czy grillowanie, ale za krótko, by nawodnić wysuszone ogrody i trawniki. W Camden Yards obsługa stadionu ruszała się zwaśniej niż bejsboliści Orioles: pracownicy przynajmniej codziennie rozwijali i zwijali ochronny brezent nad boiskiem, a zawodnicy rzadko wypuszczali się na murawę. Ich kije były jedyną naprawdę chłodną rzeczą w umęczonym żarem mieście.

Inaczej mówiąc, wszystko wróciło do normy. Przyszły rachunki za czerwiec i lipiec; nie pozostawało nic innego, jak zapłacić i ruszyć naprzód. Świeże skandale zacierały już pamięć o tym, co dawno temu wydarzyło się na Wzgórzu Rzeźnika.

- Wzgórze Rzeźnika? A, to tam, gdzie wtedy dzieciak próbował zabić starszego gościa - usłyszała wczoraj Tess, siadając u Jimmy'ego obok jakiegoś mężczyzny.

- Nie - zaprzeczyła jego towarzyska. - To stary próbował zabić dzieciaka, bo mu wybił szybę.

- Ile rękopisów ta kobieta schowała po kątach? Całkiem jak wiewiórka - burknęła pod nosem Tess, przesuwając stos egzemplarzy odkrytej niedawno, nieznannej powieści Louise May Alcott. Potrzebowała miejsca, żeby postawić obok fontanny z wodą sodową w księgarni ciotki Kitty kolejną tacę z przystawkami. Jej matka gotowała, zdaje się, już od kilku dni: nieustannie

przychodziła z kolejnymi półmiskami, aż wreszcie ciotce zabrakło półtek w lodówce.

- Myślałam, że Judith nienawidzi gotować - zdziwiła się Kitty, próbując wcisnąć talerz z minitartami między sałatkę z makaronem a dip karczochowy.

- Nienawidziła - powiedziała Tess. - Chyba wchodzi w jakąś nową fazę. Zaczekaj, aż zobaczysz jej nowe ubrania.

- Nie wszystkie do siebie pasują?

- Będziesz w szoku, ale nie.

Cóż, nic dziwnego, że Judith nieco wariowała. Miała prawo: przyjęcie było jej pomysłem.

- Chciałabym uczcić... no, uczcić - mówiła. - To znaczy nie uczcić, tylko potwierdzić... uznać... wiesz przecież.

- Wiem - przytaknęła wtedy Tess. Czowała, że stacją na wyrozumiałość wobec matki. Nie jest łatwo być świętą Judith. Nie jest łatwo być babcią. W ogóle nie jest łatwo.

Kitty ledwie zdążyła otworzyć beczułkę ze słodkim piwem od Sissona, które smakowało jak ciastko z jagodami, kiedy zaczęli się schodzić goście. Przybyła większość rodziny Weinsteinów, którzy chcieli pokazać, że są po stronie Judith, chociaż jej postrzelona córka znowu narobiła wszystkim kłopotów. Monaghanowie przyszli głównie po to, żeby napawać się wstydem, jaki dotknął zadzierających nosa powinowatych. Czarna, nastoletnia kochanka! Odkryte po latach dziecko! Za kogo miał się ten Samuel Weinstein, za Thomasa Jeffersona? Monaghanowie musieli jednak przyznać, że rodzina Weinsteinów wykazała się w tej sprawie zaskakującą przyzwoitością. Nawet babcia zachowała się dość poprawnie: postanowiła nie blokować sprzedaży ziemi, kiedy się dowiedziała, że Tess chce, żeby Samantha King uwzględniono przy podziale zysków.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. To twoje własne słowa - przypomniała jej Tess. - Mówiłaś, że twoje dzieci i wnuki będą się wreszcie musiały dogadać.

- Mówiłam o moich dzieciach - poprawiła z naciskiem babcia. Po chwili dodała jednak, uśmiechając się przebiegle: - Słyszałam, że jest bystra, dobrze zbudowana i ładna. Wiem, czyje to geny. Krew zawsze się odezwie.

Tess nie zamierzała zaprzeczać. Oczywiście, że krew zawsze się odezwie, ale nie zawsze mówi to, co chciałoby się usłyszeć. Długonoga Samantha o kasztanowatych włosach bardziej dobitnie niż Jackie przypominała wszystkim swoją obecnością, że każdy, nawet najbliższy człowiek może skrywać jakąś tajemnicę. Tess nie żałowała, że dziewczynka wyjechała na obóz lacrosse i nie może być na przyjęciu. Nie rozpracowali jeszcze do końca uczuć, które budził w nich jej widok.

Dotyczyło to zwłaszcza Jackie. Po incydencie na Edgevale Road postanowiła zgodzić się na propozycję Edelmanów i nawiązać ograniczone kontakty z Sam. Tak jak przepowiadała, dla nikogo nie było to łatwe. Sam potrafiła zaakceptować decyzje zdeterminowanej osiemnastolatki, lecz wiadomość, że jej ojciec miał ponad sześćdziesiąt lat, okazała się dla niej wstrząsem. I chociaż nie chciała opuścić jedynej rodziny, jaką знаła, żeby przenieść się do Jackie, była zazdrosna, że ta postanowiła założyć własną rodzinę. Sam chciała mieć wszystko. Czy jakikolwiek nastolatek chce mniej?

W drzwiach stanął Tull.

- Lody kawowe - powiedział, podnosząc oszronioną srebrną torbę.

- Wiedziałam, że nie przyjdiesz bez kofeiny. Jak tam życie na zabójczych ulicach?

- Z przyjemnością donoszę, że od czterdziestu ośmiu godzin w Baltimore nie zgłoszono żadnego sztywniaka. Możliwe, że stracę robotę. Gdzie nasz gość honorowy?

- Spóźnia się. Punktualność Jackie ostatnio bardzo ucierpiała. Okazuje się, że pewnych rzeczy nie da się zaplanować co do minuty.

W tej chwili weszła Jackie w żółtej sukience w kratę. Na biodrze niosła gościa honorowego, również ubranego na żółto.

- Co tam u mojej dziewczynki? - Tess wyciągnęła ręce po Laylę, ale Judith była pierwsza.

- Mogę? - zapytała dla porządku, kołysząc małą w ramionach. - Och, Jackie, włożyłaś jej to ubranko ode mnie. Wygląda uroczo.

- Jedno z ubranek od ciebie - uściśliła Jackie. - Dziękuję, że urządziłaś nam przyjęcie, żeby uczcić adopcję, ale chyba wiesz, że oficjalnie Layla będzie moja dopiero za kilka miesięcy?

- To tylko formalność - stwierdziła Judith. - Dla mnie jest twoją córką.

Layla, która od dłuższej chwili wpatrywała się jak urzeczona w twarz Judith, sięgnęła nagle po jeden z jej kolczyków. Matka Tess, śmiejąc się, zdjęła oba, wrzuciła je do kieszeni fartuszka i zaczęła obchodzić pokój z dzieckiem na rękach, żeby każdy mógł się pozachwycać honorowym gościem.

- Mam u ciebie dług, Jackie - odezwała się Tess. - Teraz dadzą mi spokój w kwestii wnuków. Przynajmniej na parę lat.

- Ja pomogłem - przypomniał Tull. - Nie zapominaj, że ja też pomogłem.

To właśnie Tull wyszedł Laylę w labiryncie systemu opieki społecznej. Wujek Donald poruszył wszystkie trybiki w wydziale zasobów ludzkich, do których zdołał sięgnąć. Z początku urzędnicy odmówili: zezwolenie samotnej kobiecie, żeby zabrała dziecko do domu przed zakończeniem postępowania

adopcyjnego, byłoby sprzeczne z przepisami.

- Tak samo, jak zgubienie dziecka w systemie i wezwanie matki do wstecznego opłacenia kosztów opieki? - zapytał niewinnie wujek i od tego momentu wszystko potoczyło się gładko.

Gdyby tylko tak mogło być w przyszłości; dla Jackie i Sam, dla Jackie i Layli. Czy Layli będzie lepiej u Jackie, niż było u Keishy? Tess nic śmiała już wyrokować w takich sprawach. Z pewnością mała będzie żyła w lepszych warunkach i będzie kochana. Ale pewnego dnia zacznie zadawać pytania, a odpowiedzi okażą się o wiele bardziej niepokojące i wstrząsające niż te, z którymi musiała dać sobie radę Samantha King. Krew zawsze się odzwie. Krew odzywa się i odzywa, bez przerwy. Czasem zwyczajnie nie chce siedzieć cicho.

Eldon także zaczął mówić. Z początku stoicko spokojny, ostatecznie postanowił, że nawet w imię lojalności wobec Nelsonów nie weźmie na siebie czterech morderstw. Nelsonowie mieli więc stanąć przed sądami dwóch rejonów administracyjnych. Znów działali na dwa fronty: dwa przestępcze systemy, dwóch prokuratorów, dwie ławy przysięgłych. Chase Pearson został wezwany na świadka w procesie w Baltimore, choć był w tej sprawie tylko płótką. Niemal żał brał na myśl, jak mało skorzystał na „operacji mama i tata”, która rozrosła się w przynoszący miliony interes. Ośmieszył się; teraz opowiadając o kimś głupim, kto przepuszcza wielką okazję, ludzie mówili „gość jest zupełnie jak Pearson”. Ostatnio tego porównania użył nawet felietonista z „Blight”, kiedy natrząsał się z wyjątkowo bezsensownego posunięcia jednego z wyższych urzędników miejskich. Pearson mógłby wrócić na scenę, gdyby chodziło jedynie o proces: w Maryland nawet przestępcy z wyrokiem dostawali drugą szansę w polityce. Ale złapać tylko wisiennkę, jeśli mogło się pożreć cały tort? Tego Baltimore nie wybacza.

- Dobrze wyglądasz - pochwaliła Jackie. - Kwitniesz.

Rzeczywiście, Tess wyglądała jak kobieta, której dobrze się powodzi. Dziś upięła włosy i włożyła czarną lnianą sukienkę od Ruth Shaw, którą wybrała dla niej Jackie, a do tego kolczyki z czarnych onyksów w złotej oprawie; przypominały jej rudbekie, „czarnookie Susan”. Odmówiła jednak kupienia czarno-żółtych szpilek. Przecież nie zamierza się zmienić we własną matkę. Jeszcze nie.

- W pracy też świetnie. Muszę odrzucać zlecenia. Wszyscy chcą wynająć prywatnego detektywa, który oczyścił z zarzutów Luthera Beale'a. Bez obrazy, Martinie.

- Nie ma sprawy, Tess.

Tess popatrzyła na dwoje swoich przyjaciół. W czerwcu czuła się taka samotna. Jak to powiedziała Kitty? Była jak Donkiszot, szukający Sanczo Pansy.

Ale ani Jackie, ani Tull nie mieli nic z Sanczo Pansy. Wszyscy troje, każde na swój sposób, byli Donkiszotami. Wszyscy musieli uporać się z utratą złudzeń.

W zeszlórocznych gniazdach dzisiaj nie ma ptaków. Będą za to nowe gniazda, prawda? Można stracić jedne złudzenia, ale zyskać nowe. Tess żywiła nadzieję, że właśnie tak to działa. Wciąż nie miała pojęcia, jak potoczyły się losy Donkiszota u Cervantesa.

Do pokoju wpadł Sal Hawkins, ściskając w rękę małą paczuszkę. Był ubrany w zachlapaną farbą dżinsy i koszulkę: w sierpniu pomagał Lutherowi Beale'owi remontować domy przy Fairmount Avenue. Nie pracował społecznie z wyroku sądu. Prokurator postanowił nie oskarżać Sala w związku ze śmiercią Donniego Moore'a. Doszło do wypadku, a Sal miał wtedy tylko dwanaście lat. Dzisiaj, mając prawie siedemnaście, zachowywał się tak, jakby starał się odzyskać utracone dzieciństwo.

- Pan Beale czeka w samochodzie. Poprosił, żebym to pani przekazał. Otworzy pani od razu?

- Oczywiście - odpowiedziała Jackie. Rozwiązała wstążkę i wyjęła z pudełka medalion w kształcie serca. Tess dobrze go pamiętała. Zdziwiło ją, że Beale postanowił się z nim rozstać. Luther Beale nie przestawał jej zaskakiwać. Zdecydował, że nie pozwie władz stanowych, nie będzie się ubiegać o oczyszczenie z zarzutów i rehabilitację. Kiedy próbowała rozmawiać z nim o tamtej nocy, zbywał ją tylko - to nieważne, przeszłość to przeszłość, teraz czas myśleć o przyszłości. Na przykład: do jakiego college'u powinien iść Sal? Podobno Princeton jest niezłe, ale może lepiej, żeby chłopak nie jechał tak daleko? W takim razie St. John w Annapolis? John Hopkins?

- Niech pani go otworzy - przynaglił Sal. - Z boku jest zatrask. Pokażę pani.

W środku znajdowało się zdjęcie chłopca z półotwartą buzią i wielkimi, lśniącymi oczami. Portret wycięto z kolorowej fotografii, niewyraźnej i prześwieczonej. Mimo to było jasne, że mały jest uradowany. Może zdjęcie zrobiono w Boże Narodzenie albo w jego urodziny. A może tylko podczas wyprawy do McDonalda. Żeby uszczęśliwić dziecko, trzeba tak mało. I tak wiele.

- To jej brat, Donnie - wyjaśnił Sal. - To znaczy brat przyrodni. Jego ciotka miała zdjęcia i kilka nam dała. Kiedyś, gdy Layla będzie starsza, może jej pani powiedzieć, że miała brata i że jej brat był fajnym chłopakiem.

Jackie dziękowała ze łzami w oczach. Biorąc z jej rąk medalion, Tess zastanowiła się, jak opowiedzieć o tym, co zdarzyło się na Wzgórzu Rzeźnika. Od czego zacząć? Od tej nocy, kiedy Luther Beale wyszedł na ulicę i zaczął strzelać, a może od dnia, w którym stanął na progu jej biura? Czy to wszystko zaczęło się, kiedy Chase Pearson dostał posadę w opiece społecznej czy

w chwili narodzin Donniego Moore'a? A może w dniu przyjścia na świat drażliwego i stanowczego Luthera Beale'a, któremu przyszłość przyniosła tragiczne wyzwanie i przydomek, dzisiaj skleiony w jedno z jego nazwiskiem? Rzeźnik ze Wzgórza Rzeźnika. Jak to wszystko się zaczęło?

„Dawno, dawno temu miałś brata, nazywał się Donnie Moore i był fajnym chłopakiem”.

Ostatecznie to brzmi całkiem dobrze. Niektórych świat zapamiętał znacznie gorzej.

# Podziękowania

Jestem wdzięczna - jak zwykle - Johnowi Rollowi i Joan Jacobson, moim pierwszym czytelnikom; Mike'owi Jamesowi, Peterowi Hermannowi, Kate Shatzkin i wielu innym kolegom z „Baltimore Sun”, którzy doradzali mi i udzielali wsparcia; Holly Selby i Connie Knox, którym powinnam była podziękować już dawno temu - na szczęście znają mnie na tyle, żeby tolerować moją opieszałość.

Dziękuję Lee Andersonowi, najbardziej pomysłowemu researcherowi, jakiego znam, i Patti White, która nas sobie przedstawiła.

Chcę również podziękować wszystkim pracownikom instytucji i wolontariuszom, którzy odpowiadali na moje pytania o bezdomność, ubóstwo, opiekę nad dziećmi, rodziny zastępcze czy adopcję. To wy sprawiacie, że Baltimore - i cały świat - stają się lepsze.